

DONNA LEON

ŚMIERĆ I SĄD

(Przełożyła: Julita Wroniak)

NOIR SUR BLANC

1999

**Toni Sepedzie
i Craigowi Manleyowi**

*Questo e i fin di chi fa mal;
E de' perfidi la morte
Alla vita e sempre ugual.*

*Taki koniec lotrów spotyka;
Nikczemna śmierć złoczyńcy
Zawsze z jego żywota wynika.*

libretto opery *Don Giovanni* Mozarta

Rozdział 1

W ostatni wtorek września, ponad miesiąc wcześniej niż można było oczekiwać, w górach oddzielających północne Włochy od Austrii spadł śnieg. Ciężkie chmury nadciągnęły nie wiadomo skąd i bez żadnego ostrzeżenia; śnieżycą rozpełtała się nagle. Wystarczyło pół godziny, aby drogi wiodące do przełęczy nad Tarvisio stały się śliskie i śmiertelnie niebezpieczne. Od miesiąca nie padał deszcz, toteż pierwszy śnieg pokrył nawierzchnię lśniąca od oleju i smarów.

Połączenie to okazało się katastrofalne dla szesnastokołowego tira z rumuńskimi tablicami rejestracyjnymi, według listy przewozowej transportującego dziewięćdziesiąt metrów sześciennych sosnowych desek. Tuż na północ od Tarvisio, na zakręcie przy wjeździe na autostradę prowadzącą w cieplejsze, bezpieczniejsze rejony Włoch, kierowca zahamował zbyt gwałtownie i stracił panowanie nad ogromnym pojazdem. Ciężarówka zjechała z szosy z prędkością pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, żłobiąc głębokie koleiny w nie zamrożonej jeszcze glebie, obijając się o drzewa i kładąc pokotem te, które znalazły się na jej drodze. Dotarła na samo dno wąwozu, gdzie roztrzaskała się o skałę u podstawy potężnej góry. Towary z rozbitej skrzyni rozsypały się wokół szerokim łukiem.

Pierwsi na miejscu wypadku byli kierowcy innych tirów, którzy zatrzymali się natychmiast, aby pomóc jednemu ze swoich. Rzucili się do szoferki, ale dla kierowcy nie było już ratunku: z czaszką wgnieciona przez konar wisiał bezwładnie na napiętym pasie, do połowy wychylony przez otwór po drzwiach wyrwanych z zawiasów przez ten sam konar. Kiedy ciężarówka zahaczyła o niego w swoim szaleńczym pędzie w dół zbocza. Mężczyzna wiozący transport świń do włoskiej rzeźni wspiał się na pogruchotaną maskę tira, żeby sprawdzić, w jakim stanie jest drugi kierowca. Fotel pasażera był pusty, co oznaczało, że drugi kierowca wypadł w chwili zderzenia.

Czterech mężczyzn, ślizgając się, rozeszło się po zboczu, żeby zbadać teren; piąty wrócił na górę, aby ustawić na szosie światła ostrzegawcze i zawiadomić przez krótkofalówkę *polizia stradale*. Śnieg padał gęsto, więc dopiero po dłuższym czasie ktoś zauważył skrzycone ciało leżące bliżej tira niż drogi. Dwóch mężczyzn puściło się biegiem, mając nadzieję, że przynajmniej jeden kierowca przeżył katastrofę.

Potykając się w pośpiechu, czasem nawet osuwając na kolana, z trudem pokonywali tę samą zaśnieżoną trasę, którą ogromny pojazd przebył z taką łatwością. Pierwszy z mężczyzn

ukłęknał przy nieruchomej postaci i zaczął strzepywać cienką warstwę bieli; chciał się przekonać, czy leżący wciąż oddycha. Nagle jego palce zaplątały się w długie włosy, a kiedy odgarnął śnieg z twarzy, ujrzał drobne, niewątpliwie kobiece rysy.

Wtem usłyszał za sobą wołanie. Odwrócił się szybko i przez padający śnieg dojrzał sylwetkę kolegi, który właśnie schylał się nad czymś, co leżało kilka metrów na lewo od kolein pozostawionych przez pędzącego tira.

- Co tam masz? - zawołał, przykładając palce do szyi dziwnie skrzywionej postaci.

- To kobieta! - odkrzyknął tamten.

I akurat kiedy pierwszy kierowca zdał sobie sprawę, że nie wyczuwa pod palcami tętna, tamten znów zawołał:

- Nie żyje!

Mężczyzna, który pierwszy znalazł się przy rozbitej skrzyni tira, powiedział później, że kiedy je ujrzał, przyszło mu do głowy, że ciężarówka wiozła manekiny, wiecie, takie plastikowe figury, które ubiera się w ciuchy i stawia w sklepowych witrynach. Widział ich przynajmniej sześć; leżały rozsypane na zaśnieżonym zboczu za wyłamanymi tylnymi drzwiami pojazdu. Jedna dostała się jakoś pomiędzy deski stanowiące jego ładunek; leżała przy samych drzwiach, z nogami przygwożdżonymi do dna skrzyni przez stos popaczkowanych desek, związanych tak solidnie, że nawet wstrząs wywołany zderzeniem tira ze skałą nie zdołał zerwać sznurów. Ale dlaczego wszystkie manekiny mają na sobie palta? - przemknęło mężczyźnie przez myśl. I skąd te czerwone plamy na śniegu?

Rozdział 2

Upłynęło ponad pół godziny od wezwania, zanim *polizia stradale* przybyła na miejsce wypadku, gdzie musiała się zaraz zająć rozstawianiem świateł i rozładowywaniem dwóch kilometrowych korków, ponieważ nadjeżdżający z obu stron kierowcy, którzy i tak jechali ostrożnie z powodu złych warunków atmosferycznych, teraz zwalniali jeszcze bardziej, aby popatrzeć przez szeroką wyrwę w metalowej balustradzie na leżący w dole wrak ciężarówki. Ofiar nie widzieli.

Kiedy tylko pierwszy funkcjonariusz, który nie mógł zrozumieć, co wykrzykują do niego kierowcy, zszedł na dół i zobaczył leżące za tirem poskręcane ciała, natychmiast wrócił na górę i połączył się przez radio z komendą w Tarvisio. Minęło zaledwie parę chwil, a zator na szosie powiększył się o kolejne dwa samochody, z których wysiadło sześciu odzianych na czarno *carabinieri*. Pozostawiając wozy na poboczu, zbiegli do ciężarówki. Kiedy zorientowali się, że kobieta z nogami przygwożdżonymi przez deski wciąż żyje, wszelkie myśli o rozładowaniu korka na szosie wyleciały im z głowy.

Zamieszanie, które nastąpiło, byłoby komiczne, gdyby okoliczności nie były tak groteskowe. Stosy desek przygniatające nogi kobiety mierzyły co najmniej dwa metry wysokości; mógłby je z łatwością usunąć dźwig, ale nie było jak sprowadzić dźwigu w dół zbocza. Mogliby je też pozrzucać ludzie, ale aby to zrobić, musieliby się na nie wdrapać, tym samym zwiększając nacisk na ciało kobiety.

Monelli, najmłodszy funkcjonariusz, klęczał przy tylnych drzwiach ciężarówki, dygocząc z zimna, które stawało się coraz bardziej dotkliwe w miarę nadciągania alpejskiej nocy. Jego regulaminowa puchowa kurtka do połowy okrywała przygwożdżoną do dna tira kobietę. Dolna część ciała była niewidoczna, zdawała się przechodzić w solidny stos desek, zupełnie jak na fantastycznym obrazie Magritte'a.

Funkcjonariusz widział, że kobieta jest młoda i ma blond włosy; widział też, że z każdą minutą staje się coraz bledsza. Leżała na boku, z policzkiem przyciśniętym do blaszanej powierzchni. Oczy miała zamknięte, ale chyba jeszcze oddychała.

Nagle usłyszał głośny łoskot i coś ciężkiego uderzyło w dno skrzyni. To pozostałych pięciu karabinierów zmagających się z deskami. Wspinali się niczym mrówki na stos równo powiązanych paczek, szamotali z nimi, usiłując je poluzować, potem spychali w dół.

Następnie sami zeskakiwali ze stosu, podnosili paczkę i wyrzucali z tira, mijając po drodze raną dziewczynę i Monellego.

Ilekoć przechodzili obok młodszego kolegi, widzieli, że kałuża krwi sącząca się spod desek jest coraz bliżej jego kolan. Atakowali stos z szaleńczą energią, nie zważając na to, iż kaleczą sobie dłonie. Kiedy Monelli zakrył kurtką twarz dziewczyny i podniósł się z klęczek, trzech funkcjonariusze przerwali pracę, ale dwaj pozostali nadal z furią wyszarpywali deski i ciskali je w gęstniejący mrok. Uspokoiли się dopiero wtedy, gdy podszedł do nich sierżant i położeniem ręki na ramieniu dał znać, że mogą zaniechać dalszych wysiłków. Wtedy zostawili dziewczynę, której już nic nie mogło pomóc, i zaczęli przeprowadzać rutynowe oględziny miejsca wypadku. Zanim skończyli i zadzwonili do Trivisio po karetki, żeby przyjechały zabrać zwłoki, wszystko pokryła znacznie grubsza warstwa śniegu, zapadła noc, a ruch na autostradzie był zablokowany aż do austriackiej granicy.

Tego dnia nic więcej nie można było zrobić, więc carabinieri oddalili się; najpierw jednak, wiedząc, że ludzi fascynują miejsca, w których nastąpiła śmierć, i obawiając się, że ślady zostaną zatarte, a materiał dowodowy zniszczony lub rozkradziony, jeśli wrak nie będzie pilnowany, postawili przy nim dwóch strażników.

Jak to się często zdarza o tej porze roku, nazajutrz nastał różowy świt, a do godziny dziesiątej śnieg był już tylko wspomnieniem. Ale pozostał rozbity tir oraz wiodące do niego głębokie koleiny. W ciągu dnia pojazd rozładowano, ustawiając deski w niskich stosach kawałek drogi od wraku. Podczas gdy carabinieri dźwigali paczki, narzekając na ich ciężar, na drzazgi wbijające się w dłonie i błoto oblepiające buty, ekipa dochodzeniowa badała dokładnie szoferkę, zdejmując z różnych powierzchni odciski palców, opisując i chowając do numerowanych torebek znalezione dokumenty i przedmioty. Siła uderzenia obluzowała fotel kierowcy; dwaj funkcjonariusze zdemontowali go do końca, po czym ściągnęli z niego płócienny pokrowiec i plastikowe obicie. Szukali czegoś pod spodem, ale nic podejrzanego nie wykryli, podobnie jak pod miękką wyściółką na ścianach szoferki.

Dopiero w skrzyni tira znaleźli osiem plastikowych reklamówek, w jakie pakuje się zakupy w supermarketach; każda zawierała zmianę kobiecej odzieży, a jedna niewielki modlitewnik w obcym języku, zidentyfikowanym przez technika jako rumuński. Na odzieży w torbach nie dostrzeżono ani jednej metki; zostały pieczołowicie usunięte, podobnie jak wszystkie metki z ubrań ośmiu kobiet zabitych w wypadku.

Dokumenty znalezione w szoferce były takie, jakich należało oczekiwać: paszport i prawo jazdy kierowcy, ubezpieczenie, deklaracje celne, listy przewozowe oraz faktura z nazwą składu drewna, do którego tir wiozł deski. Papiery kierowcy były wystawione w

Rumunii, kwity celne się zgadzały, a deski miały być dostarczone do składu w Sacile, niedużym mieście położonym około stu kilometrów na południe.

Niczego więcej nie zdołano się dowiedzieć z wraku tira, który w końcu, z wielkim trudem i nie bez poważnych zakłóceń ruchu, trzy wozy holownicze za pomocą kołowrotów wciągnęły z powrotem na szosę. Umieszczono wrak na platformie ciężarówki i odesłano rumuńskiemu właścicielowi. Deski przekazano z czasem do adresata w Sacile, który jednak odmówił zapłacenia naliczonych dodatkowych kosztów.

Dziwną sprawę śmierci kobiet podchwyciły austriacka i włoska prasa; artykuły o „ciężarówce śmierci” ukazały się pod takimi tytułami, jak *Der Todeslater* oraz *Il Camion della Morte*. Austriaccy dziennikarze zdobyli nawet trzy zdjęcia zwłok leżących na śniegu. Wszystkie dzienniki zgodnie twierdziły, że prawdopodobnie chodziło o emigrację zarobkową. Upadek komunizmu sprawił, że obyło się bez spekulacji, które dawniej nasuwałyby się w pierwszej kolejności, a więc dotyczących szpiegostwa. Ostatecznie nie udało się nigdy ustalić prawdy; dochodzenie ugrzęzło w martwym punkcie, gdyż władze rumuńskie ani nie udzieliły żadnych wyjaśnień, ani nie nadesłały żądanych dokumentów; w końcu włoska opinia publiczna przestała się interesować całą sprawą. Zwłoki kobiet oraz kierowcy odesłano samolotem do Bukaresztu, gdzie zostały pochowane pod warstwą ojczystej ziemi i przywalone ciężarem miejscowej biurokracji.

Temat szybko znikł ze szpalt gazet, wyparty przez takie wydarzenia, jak zbezczeszczenie żydowskiego cmentarza w Mediolanie i zabójstwo kolejnego sędziego. Przedtem jednak o śmierci kobiet zdążyła przeczytać *professoressa* Paola Falier, adiunkt literatury angielskiej na Uniwersytecie Ca' Pesaro w Wenecji, a zarazem - co nie jest bez znaczenia dla niniejszej opowieści - żona Guida Brunettiego, *commissario* policji w tym mieście.

Rozdział 3

Carlo Trevisan, czy raczej *avvocato* Carlo Trevisan - bo osobiście wolał, żeby ludzie nie zapominali tak go tytułować - był człowiekiem o bardzo zwyczajnej przeszłości, co jednak w najmniejszym stopniu nie wpływało na fakt, że jeśli chodzi o przyszłość, wszystko stało przed nim otworem. Urodzony w Trento, mieście położonym w pobliżu granicy austriackiej, na studia wybrał się do Padwy, gdzie ukończył prawo z najwyższą lokatą i jednogłośnym uznaniem wszystkich profesorów. Następnie podjął pracę w firmie prawniczej w Wenecji i wkrótce stał się ekspertem prawa międzynarodowego, jednym z niewielu w tym mieście. Zaledwie po pięciu latach odszedł z firmy i założył własną kancelarię specjalizującą się w prawie handlowym, a szczególnie w zagadnieniach międzynarodowych.

Włochy to państwo, w którym jednego dnia ustanawia się nowe prawa, a nazajutrz je uchyla. W kraju, w którym sens nawet najprostszego artykułu prasowego bywa czasem nieuchwytny, nie dziwi, iż właściwe znaczenie prawa często pozostaje niejasne. Możliwość wielu interpretacji stwarza bardzo pomyślny klimat dla prawników, którzy twierdzą, iż wszystko rozumieją. Takich jak *avvocato* Carlo Trevisan.

Ponieważ był zarazem pracowity i ambitny, powodziło mu się coraz lepiej. A ponieważ ożenił się dobrze, z córką bankiera, wszedł w związki rodzinne i towarzyskie z wieloma spośród najważniejszych, najpotężniejszych przemysłowców oraz bankierów regionu Veneto. Jego praktyka adwokacka rozrastała się wraz z jego tuszą, aż w końcu, w tym samym roku, w którym skończył pięćdziesiąt lat, zatrudnił u siebie siedmiu prawników. Przez dwie kadencje zasiadał w radzie miejskiej Wenecji, w niedziele chodził na msze do kościoła Santa Maria del Giglio, miał dwoje mądrych, uroczych dzieci, chłopca i dziewczynkę.

We wtorek przed świętem La Madonna della Salute pod koniec listopada *avvocato* Trevisan spędził popołudnie w Padwie, dokąd wybrał się na prośbę Francesca Urbaniego, starego klienta, który po dwudziestu siedmiu latach małżeństwa postanowił oficjalnie wystąpić o separację. Podczas dwugodzinnej rozmowy Trevisan doradził mu, aby przerzucił część posiadanych pieniędzy za granicę, na przykład do Luksemburga, i natychmiast sprzedał udziały w dwóch fabrykach w Weronie, których był cichym współwłaścicielem, a sumy uzyskane z transakcji też szybko wyekspediował z kraju.

Po rozmowie, którą Trevisan zaplanował tak, aby nie kolidowała z jego następnym spotkaniem, mecenas udał się na kolację z człowiekiem, z którym od lat łączyły go interesy. Widywali się co tydzień, na zmianę w Wenecji i Padwie. Jak wszystkie ich spotkania, także i to upłynęło im w świetnym nastroju - w nastroju, na jaki niewątpliwie wpływ mają sukcesy i życie w dostatku. Dobre jedzenie, dobre wino, dobre wieści.

Wspólnik Trevisana odwiózł go na dworzec kolejowy, gdzie - jak co drugi tydzień - *avvocato* wsiadł do pociągu Intercity do Triestu, który zatrzymywał się w Wenecji o 22.15. Chociaż mecenas miał bilet pierwszej klasy, zajął miejsce w jednym z prawie pustych wagonów drugiej klasy na początku składu; uczynił tak - podobnie jak inni weneccjanie - ponieważ wagon pierwszej klasy znajdował się na samym końcu, tak więc jadący nim pasażerowie, którzy wysiadali na stacji Santa Lucia, musieli iść do wyjścia przez cały długi peron.

Na siedzeniu naprzeciw siebie Trevisan położył teczkę z cielejącej skóry, otworzył ją i wyjął prospekt przysłany mu niedawno przez Narodowy Bank Luksemburga; odsetki sięgały nawet osiemnastu procent, choć nie dotyczyło to rachunków prowadzonych w lirach. Trevisan wydobyl mały kalkulator z przegródki po wewnętrznej stronie wieka teczki, zdjął nasadkę z pióra firmy Mont Blanc i na kartce papieru zaczął przeprowadzać wstępne obliczenia.

Kiedy drzwi przedziału się rozsunęły, *avvocato* obrócił się, aby wyjąć bilet z kieszeni płaszcza i podać go konduktorowi. Jednakże osoba, która stała w drzwiach, chciała czegoś więcej niż biletu.

Zwłoki odkryła konduktorka Cristina Merli, kiedy pociąg przebywał lagunę oddzielającą Wenecję od Mestre. Mijając przedział, w którym elegancko ubrany jegomość drzemał skulony przy oknie, w pierwszej chwili postanowiła nie budzić go i nie prosić o okazanie biletu, lecz zaraz pomyślała sobie, że pasażerowie na gapę - nawet elegancko ubrani - często udają pogrążonych we śnie podczas krótkiej przeprawy przez lagunę, licząc, że konduktor nie będzie ich niepokoił i zdołają w ten sposób zaoszczędzić tysiąc lirów. Pomyślała też, że jeżeli jegomość ma bilet i faktycznie śpi, to będzie jej wdzięczny za zbudzenie, zwłaszcza jeśli zamierza zdążyć na *vaporetto* linii numer jeden do Rialto, który odpływa z embarcadero przed stacją równo trzy minuty po przybyciu pociągu.

Otworzyła więc drzwi i weszła do małego przedziału.

- *Buona sera, signore. Suo biglietto, per favore.*

Później, kiedy o tym opowiadała, wciąż pamiętała zapach; mówiła, że od razu uderzył ją w nozdrza, ledwo wetknęła głowę do nagrzanego przedziału. Postąpiła dwa kroki do przodu i powtórzyła, podnosząc nieco głos:

- *Suo biglietto, per favore.*

Czyżby spał tak mocno, że nic nie słyszał? Niemożliwe; najpewniej nie miał biletu i próbował tylko uniknąć zapłacenia czekającej go kary. Przez lata pracy na kolei Cristina Merli polubiła ten moment, kiedy prosi gapowicza o okazanie dokumentu tożsamości, po czym wypisuje bilet i inkasuje należność wraz z przewidzianą karą. Bawiły ją rozmaite wymówki, które wymyślali pasażerowie; znała wszystkie tak dobrze, że mogłaby je recytować we śnie: kupiłem bilet, musiał mi wypaść z kieszeni; pociąg właśnie odjeżdżał, nie miałem czasu stać w kolejce do kasy; mój bilet ma żona, która siedzi w innym przedziale.

Wiedząc to wszystko i nie chcąc niepotrzebnie tracić czasu, zwłaszcza teraz, na końcu długiej trasy z Turynu, była szorstka, a nawet gwałtowna w obejściu.

- Proszę się obudzić i pokazać mi bilet - rzekła, po czym schyliła się i potrząsnęła pasażera za ramię.

Ledwo go dotknęła, mężczyzna odchylił się wolno od okna, przewrócił na siedzenie i zsunął na podłogę. Kiedy upadał, poły jego marynarki rozchyliły się i konduktorka ujrzała czerwone plamy na koszuli. Nad ciałem unosił się smród moczu i kału.

- *Maria Vergine!* - szepnęła Cristina Merli i wycofała się tyłem z przedziału.

Na lewo od siebie zauważyła dwóch nadchodzących korytarzem mężczyzn; najwyraźniej zamierzali wysiąść przez drzwi znajdujące się na przedzie wagonu.

- Przykro mi, ale drzwi z przodu są zamknięte, muszą panowie wysiąść tylnymi - oświadczyła.

Ta wiadomość ich nie zaskoczyła: odwrócili się i ruszyli na koniec wagonu. Konduktorka wyjrzała przez okno. Stwierdziła, że pociąg zaraz zjedzie z grobli i najwyżej za trzy, cztery minuty dotrze na stację. Kiedy się zatrzyma, pasażerowie wysiądą, a wszelkie spostrzeżenia i obserwacje, jakie mogli poczynić w trasie, na przykład dotyczące osób widzianych na korytarzach, przepadną raz na zawsze. Wtem usłyszała znajome traski i zgrzyty - pociąg kierował się na właściwy tor; chwilę później elektrowóz wjeżdżał pod dach stacji.

Cristina Merli uczyniła jedyną rzecz, jaka w tej sytuacji przyszła jej do głowy, choć w ciągu piętnastu lat pracowanych na kolei ani razu sama czegoś takiego nie zrobiła, ani nikt w jej obecności: weszła do następnego przedziału i pociągnęła za hamulec bezpieczeństwa. Usłyszała ciche pyknięcie, kiedy pękł wytarty sznurek podtrzymujący uchwyt; od tego momentu czekała na to, co będzie. Czekala z chłodną, wręcz naukową ciekawością.

Rozdział 4

Koła zablokowały się i pociąg ze zgrzytem zatrzymał się na stacji: pasażerowie, straciwszy równowagę, lądowali na podłodze lub na kolanach tych, którzy siedzieli przed nimi. W ciągu kilku chwil w otwartych mocnymi szarpnięciami oknach ukazały się głowy; ludzie rozglądali się w lewo i w prawo, szukając przyczyn nagłego zahamowania. Cristina Merli otworzyła okno na korytarzu, z ulgą odetchnęła mroźnym, zimowym powietrzem i wystawiwszy głowę, patrzyła, kto podejdzie do pociągu. Na peron wbiegli dwaj umundurowani funkcjonariusze *polizia ferrovia*. Konduktorka wychyliła się i pomachała do nich.

- Tutaj, tutaj! - zawołała. Ponieważ nie chciała, żeby ktokolwiek poza policją słyszał, co ma do zakomunikowania, nie powiedziała nic więcej, dopóki nie znaleźli się pod jej oknem.

Kiedy wyjawiała im, co się stało, jeden z funkcjonariuszy ruszył biegiem w kierunku budynku stacji, drugi natomiast udał się na początek składu, żeby powiadomić maszynistę. Pociąg szarpnął raz i drugi i zaczął wolno sunąć do przodu, centymetr po centymetrze, aż w końcu zatrzymał się na swoim zwykłym miejscu na torze piątym. Po peronie spacerowało kilka osób; jedne przyszły kogoś odebrać, inne zamierzały jechać do Triestu. Drzwi pozostawały zamknięte, czekający zbili się w ciasną gromadkę, dyskutując, co się mogło stać. Pewna kobieta, przekonana, że chodzi o kolejny strajk, cisnęła walizkę na ziemię, po czym wyrzuciła w powietrze obie ręce. Podczas gdy tak stali, rozmawiając i irytując się coraz bardziej z powodu nie wyjaśnionej zwłoki, którą uważali za jeszcze jeden przejaw nieudolności kolei, na peron weszło sześciu funkcjonariuszy policji uzbrojonych w pistolety maszynowe. Ustawili się wzdłuż składu, przy co drugim wagonie. W oknach pociągu pojawiło się więcej głów; niektórzy pasażerowie zaczęli gniewnie wykrzykiwać, ale nikt ich nie słuchał. Drzwi wciąż były zamknięte.

Trwało to przez dłuższy czas, aż wreszcie ktoś poinformował sierżanta dowodzącego policjantami, że pociąg jest radiofonizowany. Sierżant wspinał się po stopniach do elektrowozu i wyjaśnił przez radiowęzeł, że w jednym z wagonów popełniono przestępstwo, toteż podróżni muszą pozostać na miejscu, dopóki policja nie spisze ich personaliów.

Kiedy skończył mówić, maszynista odblokował drzwi i funkcjonariusze weszli do wagonów. Niestety nikt o niczym nie poinformował pasażerów czekających na peronie, więc

ci również wsiedli do pociągu i szybko przemieszali się z tymi, którzy byli w środku. W drugim wagonie dwóch mężczyzn usiłowało się przepchnąć obok policjanta, twierdząc, że nie widzieli i nic nie wiedzą, a są już mocno spóźnieni. Zablokował im drogę pistoletem maszynowym uniesionym w poprzek na wysokość piersi, po czym zmusił ich do wejścia do przedziału; zaczęli narzekać na arogancję policji i nierespektowanie przez nią praw obywatelskich.

Ostatecznie stwierdzono, że w pociągu znajduje się tylko trzydziestu czterech pasażerów, nie licząc tych, którzy wsiedli przed chwilą, za funkcjonariuszami. W ciągu półgodziny policjanci zdążyli spisać nazwiska i adresy podróżnych oraz zapytać ich, czy nie zauważyli nic podejrzanego. Dwie osoby przypomniały sobie czarnego handlarza, który wysiadł w Vicenzie: ktoś widział długowłosego, brodatego mężczyznę wychodzącego z toalety przed Weroną; ktoś inny wspomniał, że w Mestre wysiadła kobieta w futrzanej czapie, ale poza tym nic niezwykłego nie rzuciło się nikomu w oczy.

Wszystko wskazywało na to, że pociąg pozostanie na stacji przez całą noc. Część pasażerów wysiadła, aby zadzwonić do krewnych w Trieście i uprzedzić ich o spóźnieniu, kiedy na torze za pociągiem pojawił się elektrowóz. Połączono go z ostatnim wagonem, który tym samym przemieniono w początek składu. Następnie trzej mechanicy w niebieskich kombinezonach zeszli z peronu na szyny i odłączyli dotychczasowy pierwszy wagon, w którym wciąż znajdowały się zwłoki. Wzdłuż wagonów przebiegł konduktor, wołając: *In partenza, in partenza, siamo in partenza*, i pasażerowie na peronie zaczęli pośpiesznie wskakiwać do środka. Konduktor zatrzasnął jedne drzwi, drugie, po czym wsiadł, akurat kiedy pociąg wolno ruszył z miejsca. W tym czasie, w gabinecie naczelnika stacji, Cristina Merli starała się wytłumaczyć, dlaczego powinno się ją zwolnić z zapłacenia kary w wysokości miliona lirów za pociągnięcie hamulca bezpieczeństwa.

Rozdział 5

Guido Brunetti dowiedział się o zamordowaniu mecenasa Carla Trevisana dopiero nazajutrz rano, w dodatku w zupełnie nieprofesjonalny sposób, gdyż z ogromnego nagłówka w „Il Gazzettino”, tego samego dziennika, który dwukrotnie wychwalał *avvocato* Trevisana podczas jego kadencji radnego. *Avvocato Assassinato sul Treno* - głosił napis w „Il Gazzettino”, „La Nuova” zaś, jak zawsze skora do melodramatyzowania, przyciągała uwagę sformułowaniem *Il Treno della Morte*. Brunetti zobaczył nagłówki w drodze do pracy i zatrzymał się, żeby kupić obie gazety, po czym przeczytał zamieszczone w nich artykuły, stojąc na Ruga Orefici i nie zwracając uwagi na przepychających się obok przechodniów robiących poranne sprawunki. Oba artykuły podawały tylko garść podstawowych faktów: *avvocato* został zastrzelony w pociągu, zwłoki znaleziono, kiedy pociąg przejeżdżał przez lagunę, policja rozpoczęła rutynowe dochodzenie.

Brunetti uniósł głowę i przesunął wolno nic nie widzącym wzrokiem po straganach uginających się od owoców i warzyw. Rutynowe dochodzenie? Kto miał wczoraj dyżur? Czemu go nie powiadomiono? A skoro nie skontaktowano się z nim, to w takim razie z kim?

Ruszył dalej w kierunku komendy, przypominając sobie po drodze wszystkie dochodzenia prowadzone aktualnie i zastanawiając się, komu przydzielone zostanie śledztwo w sprawie morderstwa. Sam właśnie kończył sprawę, która na drobną, wenecką skalę wiązała się z ogromną pajęczyną przekupstwa i korupcji, jaka w ciągu ostatnich kilku lat wyrosła w Mediolanie i rozprzestrzeniła się na cały kraj. Pobudowano autostrady, w tym jedną łączącą miasto z lotniskiem, wydając na to miliardy lirów. Dopiero po ukończeniu budowy zaczęto się zastanawiać, że połączenie z niedużym lotniskiem, przystosowanym do obsługi poniżej stu lotów dziennie, znakomicie zapewniały istniejące drogi, tym bardziej że wielu podróżnych i tak wolało korzystać z regularnie kursujących tramwajów wodnych oraz prywatnych łodzi. Zakwestionowano sens wyłożenia tak ogromnych kwot z pieniędzy publicznych na budowę autostrady, której powstania w żaden logiczny sposób nie dawało się uzasadnić. W końcu sprawa trafiła do Brunettiego, co doprowadziło do wystawienia nakazu zamrożenia aktywów oraz aresztowania właściciela firmy budowlanej, wykonawcy większości prac przy kładzeniu autostrady, a także trzech członków rady miejskiej, którzy najzgorzalej walczyli o to, aby miasto z tą konkretną firmą podpisało kontrakt.

Drugi *commissario* zajmował się sprawą kasyna: okazało się, że krupierzy po raz kolejny wpadli na to jak pokonać system i ciągnąć nielegalnie zyski. Trzeci prowadził dochodzenie w sprawie przedsiębiorstw w Mestre kontrolowanych przez mafię; śledztwo zataczało coraz szersze kręgi i, niestety, coraz dalej było do końca.

Tak więc, doszedłszy do gmachu komendy. Brunetti wcale się nie zdziwił, gdy strażnicy przy drzwiach oznajmili mu na powitanie:

- Szef chce pana widzieć.

Jeśli *vice-questore* Patta chciał go widzieć tak wcześnie rano, mogło to oznaczać, że ubiegłego wieczoru zadzwoniono właśnie do Patty, a nie do jednego z *commissari*. I skoro Patta uznał za stosowne pojawić się w pracy niemal o świcie, oznaczało to, że Trevisan był znacznie ważniejszą osobą lub o wiele lepiej ustosunkowaną, niż się Brunettiemu zdawało.

Brunetti wszedł do swojego gabinetu, powiesił płaszcz, po czym zerknął na biurko. Nie dojrzał na nim nic, czego nie było tam ubiegłego wieczoru, zatem raporty sporządzone w związku z morderstwem trafiły bezpośrednio do Patty. Zbiegł tylnymi schodami na dół i otworzył drzwi pokoju, w którym urzędowała sekretarka szefa. Signorina Elettra Zorzi, podobna do konwalii w białej sukience z krepdeszyny prowokująco pofałdowanej na piersiach, wyglądała tak, jakby zjawiała się w biurze wyłącznie po to, aby spotkać się z fotografem z „Vogue”.

- *Buongiorno, commissario* - powiedziała z uśmiechem, unosząc głowę znad pisma, które leżało otwarte na biurku.

- Trevisan? - spytał Brunetti.

Skinęła głową.

- Szef od dziesięciu minut rozmawia przez telefon. Z burmistrzem.

- Kto zadzwonił do kogo?

- Burmistrz do szefa - odparła. - A dlaczego pan pyta? Czy to istotne?

- Tak, bo oznacza, że pewnie nic nie wiemy.

- Dlaczego?

- Gdyby szef zadzwonił do burmistrza, oznaczałoby to, że chce zapewnić burmistrza, że nad wszystkim panujemy, że mamy podejrzanego, który wkrótce przyzna się do winy. Ale jeśli dzwoni burmistrz, oznacza to, że sprawa Trevisana jest ważna i zależy mu, byśmy się z nią szybko uporali.

Signorina Elettra zamknęła pismo i przesunęła je na skraj biurka. Brunetti pamiętał, że na początku chowała pisma do szuflady; teraz nawet nie przekreślała ich wierzchem do dołu.

- O której się zjawił? - spytał.

- O ósmej trzydzięci. - I zanim Brunetti zdążył zapytać o cokolwiek więcej, oznajmiła: - Powiedziałam mu, że pan już jest w pracy, ale musiał na chwilę wyjść, żeby przesłuchać służącą Leonardisów.

Brunetti rozmawiał ze służącą wczorajszego popołudnia w związku ze śledztwem w sprawie właściciela firmy budowlanej; rozmawiał, ale niczego się od niej nie dowiedział.

- *Grazie* - rzekł. Nieraz się dziwił, jak to możliwe, że osoba o tak naturalnych skłonnościach do kłamstwa jak signorina Elettra zdecydowała się pracować w policji.

Zerknąwszy na biurko, sekretarka szefa spostrzegła, że czerwone światelko na telefonie przestało mrugać.

- Skończyli rozmawiać.

Brunetti skinął głową i ruszył do drzwi gabinetu. Zastukał, poczekał na okrzyk *Avanti*, po czym wszedł do środka.

Chociaż *vice-questore* zjawił się wcześniej w pracy, nie zaniedbał porannej toalety; w powietrzu unosił się ostry zapach wody po goleniu, a przystojna twarz Patta była tak gładko ogolona, że aż lśniła. Brunetti zwrócił uwagę na wełniany krawat i jedwabny garnitur: Patta wyraźnie nie był niewolnikiem tradycji.

- Gdzieś się podziewał? - spytał szef zamiast powitania.

- Wpadłem do Leonardisów. Porozmawiać z ich służącą.

- I co?

- Nic nie wie.

- Nieważne. - Patta wskazał krzesło stojące przed biurkiem. - Siadaj, Brunetti. - A kiedy komisarz spełnił polecenie, zapytał: - Słyszałeś już? - Nie musiał tłumaczyć, co ma na myśli.

- Tak - potwierdził Brunetti. - Jak to się stało?

- Ktoś zastrzelił go wczoraj wieczorem w pociągu z Turynu. Oddał dwa strzały, oba w korpus. Jeden pocisk pewnie rozerwał tętnicę, bo było mnóstwo krwi.

Skoro Patta powiedział „pewnie”, oznaczało to, że tylko zgaduje - jeszcze nie wykonano sekcji.

- Gdzie pan był wieczorem? - zapytał *vice-questore*, zupełnie jakby chciał wyeliminować Brunettiego z kręgu podejrzanych, zanim powie mu cokolwiek więcej.

- Z żoną na kolacji u przyjaciół.

- Dzwoniono do ciebie do domu.

- Byliśmy u przyjaciół - powtórzył Brunetti.

- Dlaczego nie kupisz sekretarki automatycznej?

- Mam dwoje dzieci.

- Co to ma do rzeczy?

- Musiałbym wiecznie odsłuchiwać wiadomości nagrane przez ich kolegów i koleżanki.

Albo wiadomości od własnych dzieci, dodał w myślach Brunetti tłumaczących się wykretnie, dlaczego się spóźnił lub dlaczego wciąż ich nie ma w domu.

- Ciebie nie zastali, więc zadzwonili do mnie - oświadczył *vice-questore*, nie kryjąc niezadowolenia.

Brunetti odniósł wrażenie, że Patta oczekuje przeprosin. Nic nie powiedział.

- Pojechałem na stację. *Polizia ferrovia* oczywiście wszystko skopała. - Patta spojrzął na biurko i przesunął kilka zdjęć w stronę Brunettiego.

Commissario schylił się, podniósł zdjęcia i zaczął je oglądać, podczas gdy Patta wyliczał dowody na brak kompetencji policji kolejowej. Pierwsze zdjęcie, zrobione z drzwi przedziału, przedstawiało zwłoki mężczyzny leżącego na plecach na podłodze między fotelami. Kąt, pod jakim wykonano zdjęcie, sprawiał, że niewiele było widać poza wierzchem głowy oraz wydatnym, sterczącym do góry brzuchem, ale czerwone plamy mówiły same za siebie. Następne zdjęcie, zrobione przez okno przedziału, ukazywało zwłoki od drugiej strony. Brunetti stwierdził, że denat ma zamknięte oczy. a w palcach jednej dłoni ściska długopis. Na pozostałych zdjęciach niczego więcej nie sposób się było doszukać, choć wykonano je wewnątrz przedziału. Martwy wyglądał tak, jakby spał; śmierć starła z jego twarzy wszelkie emocje.

- Obrabowano go? - zapytał Brunetti. przerywając ciąg narzekań Patty.

- Co?

- Obrabowano go?

- Chyba nie. Portfel nadal tkwił w kieszeni, a teczka, jak sam widzisz, leżała naprzeciwko miejsca, na którym siedział.

- Kto go załatwił? Mafia? - To pytanie musiało paść. w każdej sprawie trzeba było je zadać.

Patta wzruszył ramionami.

- Był prawnikiem - rzekł, pozostawiając domyślności Brunettiego, czy mafijna egzekucja jest przez to bardziej czy mniej prawdopodobna.

- Żona? - spytał Brunetti, poświadczając tym pytaniem po pierwsze, że jest Włochem, a po drugie, człowiekiem żonatym.

- Odpada. Jest sekretarzem Klubu Lwów.

Odpowiedź była tak absurdalna, że Brunetti mimo woli parsknął śmiechem, ale kiedy zobaczył zgorzone spojrzenie Patta, spróbował pokryć swoją reakcję pozorowanym atakiem kaszlu, po którym rzeczywiście rozkaszał się na dobre; łzy napłynęły mu do oczu, twarz nabiegła krwią.

Kiedy zapanował nad sobą na tyle, aby mógł normalnie oddychać, zadał następne pytanie:

- Współpracownicy? Wspólnicy? Istnieje taka możliwość?

- Nie wiem. - *Vice-questore* zabębnił palcami po blacie biurka, żeby przyciągnąć uwagę rozmówcy. - Przejrzałem przed chwilą akta prowadzonych przez nas spraw i śmiem sądzić, że obecnie akurat ty jesteś najmniej obciążony pracą.

Właśnie tego rodzaju trafnymi spostrzeżeniami Patta zjednywał sobie sympatię Brunetti.

- Dlatego zamierzam przydzielić ci tę sprawę, ale najpierw chciałbym mieć pewność, że przeprowadzisz dochodzenie w należyty sposób.

Brunetti domyślił się, co to oznacza: że musi obiecać, iż z głębokim szacunkiem będzie odnosił się do przesłuchiwanym osób, o których wysokiej pozycji społecznej miało świadczyć sekretarzowanie Klubowi Lwów przez żonę zamordowanego. Ponieważ jednak wiedział, że Patta nie wzywałby go do siebie, gdyby już wcześniej nie postanowił powierzyć mu sprawy, zamiast udzielić szefowi oczekiwanych zapewnień, spytał:

- Co z pasażerami w pociągu?

Rozmowa z burmistrzem musiała przekonać Patta, że szybkie zakończenie śledztwa jest ważniejsze od utarcia nosa Brunettiemu, bo odpowiedział natychmiast:

- Policja kolejowa spisała nazwiska i adresy wszystkich podróżnych, którzy przebywali w pociągu, kiedy wjechał na stację.

Brunetti przechylił lekko głowę. Milczał.

- Kilku podobno widziało jakieś podejrzone osoby. Szczegóły znajdziesz tutaj. - Patta postukał palcem w żółtą tekturową teczkę leżącą na biurku.

- Który sędzia został przydzielony do sprawy? - spytał Brunetti. Od nazwiska sędziego zależało to, z jakim szacunkiem będzie musiał się odnosić do członków Klubu Lwów.

- Vantuno - odpowiedział Patta.

Była to kobieta mniej więcej w wieku Brunetti, z którą w przeszłości współpraca układała mu się całkiem nieźle. Tak jak Patta, sędzia Vantuno pochodziła z Sycylii; wiedziała, że nigdy nie zdoła przeniknąć złożoności i niuansów weneckiej socjety, i na tyle

ufała miejscowym *commissari*, aby pozostawić im pełną swobodę, jeśli chodzi o sposób prowadzenia śledztwa.

Brunetti skinął głową, nie chcąc zdradzić, jak bardzo odpowiedź szefa go zadowala.

- Spodziewam się codziennie otrzymywać sprawozdania - ciągnął Patta. - Trevisan był ważną postacią. Miałem już telefon od burmistrza; nie będę ukrywał, że zależy mi, abyśmy jak najszybciej znaleźli winnych.

- Miał jakieś sugestie?

Przywykły do impertynencji podwładnego. Patta odchylił się w fotelu i przez chwilę bez słowa w niego wpatrywał.

- Dotyczące czego? - spytał w końcu, kładąc nacisk na ostatnie słowo, aby wyrazić swoją dezaprobatę.

- Tego, w co Trevisan mógł być zamieszany - wyjaśnił uprzejmie Brunetti. Pytał zupełnie poważnie. Fakt, iż ktoś został burmistrzem, wcale nie oznaczał, że brudne tajemnice przyjaciół przestają mu być znane; o wiele bardziej prawdopodobna była sytuacja odwrotna.

- Nie są to sprawy, o które wypada mi pytać burmistrza - odparł Patta.

- Więc może ja go spytam - oznajmił spokojnie Brunetti.

- Brunetti, nie rób z tego afery.

- Afery? Chyba już ją mamy - rzekł *commissario*, wsuwając zdjęcia do żółtej teczki. - Czy ma pan jeszcze coś do mnie, panie komendancie?

Patta zmarszczył z namysłem czoło.

- Nie, na razie to wszystko. - Przesunął teczkę w stronę podwładnego. - Możesz to wziąć. I pamiętaj, oczekuję codziennych sprawozdań.

Brunetti udał, że nie słyszy.

- Możesz je przekazywać porucznikowi Scarpie - dodał Patta, nie odrywając wzroku od *commissario*: chciał się przekonać, jak zareaguje na nazwisko jego powszechnie nie lubianego pomocnika.

- Oczywiście, panie komendancie - powiedział neutralnym tonem Brunetti, po czym wstał i sięgnął po teczkę. - Dokąd przewieziono zwłoki?

- Do Ospedale Civile. Spodziewam się, że sekcja zostanie przeprowadzona dziś rano. Proszę nie zapominać, że zmarły był przyjacielem burmistrza.

- Naturalnie, panie komendancie - odparł Brunetti i wyszedł z gabinetu szefa.

Rozdział 6

Signorina Elettra uniosła głowę znad pisma, kiedy Brunetti wyłonił się z gabinetu Patty, i zapytała:

- *Allora?*

- Trevisan. Mam się śpieszyć, bo był zaprzyjaźniony z burmistrzem.

- Jego żona to istna tygrysica - oświadczyła, po czym współczującym tonem dodała: - Nie pójdzie panu z nią łatwo.

- Czy jest w tym mieście ktoś, kogo pani nie zna?

- Właśnie jej nie znam. Ale była pacjentką mojej siostry.

- Barbary - powiedział odruchowo Brunetti, przypominając sobie okoliczności, w jakich poznał jej siostrę. - Lekarki.

- Właśnie, commissario. - Uśmiechnęła się radośnie. - Ciekawa byłam, kiedy nas pan skojarzy.

Gdy signorina Elettra pojawiła się po raz pierwszy w komendzie, jej nazwisko wydało się Brunettiemu znajome. Zorzi nie jest pospolitym nazwiskiem, ale nie przyszło mu do głowy, że błyskotliwa, czarująca Elettra - inne przymiotniki, jakie nasuwały się na myśl. też miały związek z lotnością i rzucającą się w oczy urodą - może być spokrewniona z cichą, skromną panią doktor, do której pacjentów zaliczał się jego teść, a także - jak się przed chwilą dowiedział - signora Trevisan.

- Żona Trevisana leczyła się u pani siostry?

- Tak, aż do ubiegłego roku. Ona i jej córka, obie były pacjentkami. Ale pewnego dnia wparowała do gabinetu i zrobiła siostrze piekielną awanturę; domagała się, żeby Barbara wyjawiała, na co leczy jej córkę.

Brunetti słuchał, nic nie mówiąc.

- Dziewczynka miała dopiero czternaście lat. Kiedy siostra oznajmiła, że nic nie powie, bo obowiązuje ją tajemnica lekarska, pani Trevisan zaczęła krzyczeć. Oskarżała Barbarę o to, że albo ona sama wykonała dziewczynce aborcję, albo skierowała ją na zabieg do szpitala. Nawrzeszczała, nawrzeszczała, a potem cisnęła ilustrowanym pismem.

- W pani siostrę?

- Tak.

- I co zrobiła? - spytał Brunetti.

- Kto?

- Pani siostra.

- Wyprosiła ją z gabinetu. Signora Trevisan jeszcze trochę pokrzyczała, ale w końcu poszła.

- I co dalej?

- Nazajutrz Barbara wysłała jej listem poleconym wszystkie wyniki badań i napisała, żeby znalazła sobie innego lekarza.

- A co z córką?

- Też już się więcej nie pojawiła w gabinecie. Kiedy siostra spotkała ją przypadkiem na ulicy, mała powiedziała, że matka zabroniła jej przychodzić do Barbary. Zapisła ją do prywatnej lecznicy.

- Co jej dolegało?

Signorina Elettra przez moment się wahała. Szybko doszła jednak do wniosku, że Brunetti i tak się wszystkiego dowie.

- Miała chorobę weneryczną.

- Jaką?

- Nie pamiętam. Będzie pan musiał spytać siostrę.

- Albo panią Trevisan.

- Jeśli się dowiedziała, co dolegało córce, to na pewno nie od Barbary - stwierdziła gniewnym tonem sekretarka Patty.

Brunetti nie miał co do tego wątpliwości.

- Ile córka ma teraz lat? Piętnaście?

Skinęła głową.

Brunetti zamyślił się. Prawo nie było jasne w tym względzie - zresztą czy kiedykolwiek było? Lekarz nie musiał ujawniać policji danych dotyczących zdrowia chorego, ale chyba mógł udzielić informacji na temat zachowania pacjentki. Komisarz uznał, że lepiej będzie, jeśli sam pomówi z lekarką, zamiast prosić o to panią Elettrę.

- Czy *ambulatorio* pani siostry wciąż mieści się przy Campo San Barnaba?

- Tak. Siostra będzie tam dziś po południu. Czy uprzedzić ją, że pan do niej zajrzy?

- A nie uprzedziłaby pani, gdybym o to nie poprosił, signorina?

Spojrzała na klawiaturę komputera i najwyraźniej znalazła tam odpowiedź, bo zaraz znów popatrzyła na Brunettiego.

- Nie, nie uprzedziłabym. Co za różnica, czy Barbara dowie się o śmierci Trevisana ode mnie, czy od pana, *commissario*! Ona ma czyste sumienie.

- A gdyby miała brudne, postąpiłaby pani inaczej? - spytał z ciekawością Brunetti.

- Hm, gdybym w jakikolwiek sposób mogła jej pomóc, owszem, ostrzegłabym ją. To chyba oczywiste.

- Nawet gdyby to oznaczało złamanie policyjnej tajemnicy? - Komisarz uśmiechnął się, żeby pokazać, że żartuje, choć wcale nie żartował.

Na twarzy pani Elettry odmalowało się zdziwienie.

- Sądzi pan, że tajemnice policyjne są dla mnie ważniejsze od rodziny?

- Przepraszam, ma pani rację - odparł skruszony.

Uśmiechnęła się, zadowolona, że znów pomogła komisarzowi zrozumieć ważką prawdę.

- Czy wie pani coś jeszcze o żonie mecenasa? - Poprawił się: - To znaczy wdowie po nim.

- Nie. W każdym razie nic osobistego, bo oczywiście czytałam o niej w gazetach. Zawsze angażuje się w „godne sprawy” - powiedziała to takim tonem, że trudno było przegapić cudzysłów. - Wie pan, takie jak gromadzenie żywności dla Somalii, tylko że potem ktoś kradnie cały transport i wysyła do Albanii, gdzie żywność się po prostu sprzedaje. Albo jak urządzenie galowych koncertów w La Fenice, z których wpływy ledwo starczą na pokrycie kosztów, ale organizatorzy mają okazję się wystroić i zabłysnąć przed przyjaciółmi. Dziwi mnie, że nie słyszał pan jej nazwiska.

- Obiło mi się o uszy, ale to wszystko. A co pani wie o jej mężu?

- Specjalista od prawa międzynarodowego, w dodatku bardzo dobry. Chyba czytałam o jakimś kontrakcie z Polską czy Czechosłowacją, a w każdym razie jednym z tych krajów, w których ludzie jedzą kartofle i chodzą źle ubrani.

- O jakim kontrakcie?

Potrząsnęła głową, nie potrafiła sobie przypomnieć.

- Mogłaby się pani dowiedzieć?

- Gdybym poszła do „Gazzettino”...

- A miałyby pani czas?

- Tak, tylko zrobię szefowi rezerwację na obiad, a potem mogę wyskoczyć na chwilę...

Skoro już będę w redakcji, to czy popytać o coś jeszcze?

- O wdowę. Kto obecnie prowadzi kronikę towarzyską?

- Chyba Pitteri.

- Niech pani spróbuje z nim pogadać, może zna jakieś ciekawostki, których nie wolno mu zamieścić w druku.

- Pikantne szczegóły, o jakich marzą czytelnicy?
- No właśnie.
- Coś jeszcze, *commissario*?
- Nie, dziękuję, signorina. Przyszedł już Vianello?
- Jeszcze go nie widziałam.
- Niech go pani przyśle do mnie, kiedy się zjawi, dobrze?
- Oczywiście - powiedziała i wróciła do czytania.

Brunetti zerknął na pismo, ciekaw, jaki artykuł tak bardzo ją pochłania - chodziło o modne poduszki na ramionach - po czym wrócił do swojego gabinetu.

Teczka, jak zawsze na początku dochodzenia, zawierała niewiele więcej niż nazwiska i daty. Carlo Trevisan urodził się przed pięćdziesięcioma laty w Trento, studiował prawo na uniwersytecie w Padwie, po zrobieniu dyplomu otworzył praktykę adwokacką w Wenecji. Dziewiętnaście lat temu ożenił się z Francą Lotto, z którą miał dwoje dzieci: córkę Francescę, obecnie lat piętnaście, oraz syna Claudia, lat siedemnaście

Avvocato Trevisan nigdy nie zajmował się prawem kryminalnym i nie miał żadnych kontaktów z policją. Nigdy też nie interesowała się nim Guardia di Finanza, co albo zakrawało na cud, albo świadczyło, że zeznania podatkowe mecenasa były zawsze w absolutnym porządku, co też graniczyło z cudem. W teczce znajdowały się także nazwiska osób zatrudnionych w kancelarii Trevisana, jak również kopia jego podania o paszport.

- *Lavata con Perlana* - powiedział głośno Brunetti, kładąc papiery na biurku. Zacytował hasło reklamowe płynu do prania, który podobno tak wszystko idealnie wybielał, że było bielsze od bieli. Czy naprawdę zdarzali się ludzie tacy czysti jak Carlo Trevisan? I dlaczego ten, kto wpakował mu dwie kule w brzuch, nie zabrał mu portfela?

Brunetti wyciągnął czubkiem buta dolną szufladę biurka, oparł na niej stopy, po czym odchylił się wygodnie w fotelu. Ktokolwiek zastrzelił mecenasa, musiał zrobić to między Padwą a Mestre; na pewno chciał uniknąć ryzyka, że zostanie schwytany, kiedy pociąg wjedzie na stację w Wenecji. Ponieważ był to pociąg Intercity, między Padwą i Wenecją zatrzymywał się tylko w Mestre. Było mało prawdopodobne, aby któryś z pasażerów wysiadających w Mestre zwrócił czymś na siebie uwagę, ale należało to sprawdzić na tamtejszej stacji. Przedział konduktorski mieści się zwykle na początku składu; może jednak ktoś coś zapamiętał? Oczywiście należało też sprawdzić pociski; może zostały wystrzelone z broni użytej podczas innego przestępstwa? Ponieważ broń palna podlega we Włoszech rejestracji, istniała szansa, że ten trop dokądś zaprowadzi. Co Trevisan porabiał w Padwie? Z kim się tam widział? Trzeba sprawdzić żonę, koniecznie trzeba ją sprawdzić. Potem

przesłuchać sąsiadów i przyjaciół, żeby upewnić się, czy mówiła prawdę. No i córkę - dziwne, czternastolatka chora wenerycznie?

Brunetti schylił się, wyciągnął do końca szufladę i wyjął z niej książkę telefoniczną. Otworzył na literze Z. Pod „Zorzi, Barbara, *Medico*” widniały dwa numery: domowy i gabinetu. Wykręcił numer gabinetu; po chwili automatyczna sekretarka poinformowała go, że pacjenci przyjmowani są od godziny szesnastej. Kiedy wykręcił drugi numer, ten sam głos oznajmił, że *dottoressa* jest *momentaneamente assente*, po czym poprosił go, aby zostawił swoje nazwisko, wiadomość oraz numer telefonu, pod którym można się z nim skontaktować. Pani doktor oddzwoni *appena possibile*.

- Dzień dobry pani - powiedział po długim sygnale. - Mówi komisarz Guido Brunetti. Dzwonię w związku ze śmiercią mecenasa Carla Trevisana. Dowiedziałem się, że jego żona i córka...

- *Buongiorno, commissario* - przerwał mu lekko ochryply głos lekarki. Brzmiał przyjaźnie, chociaż nie widzieli się od ponad roku. - W czym mogę panu pomóc?

- Dzień dobry, pani doktor. Zawsze najpierw pani sprawdza, kto dzwoni?

- *Commissario*, pewna kobieta dzwoni do mnie codziennie rano od trzech lat i chce zamówić wizytę domową. Za każdym razem podaje inne objawy. Więc tak, zawsze sprawdzam. - Mówiła zdecydowanym tonem, ale nie bez nuty humoru.

- Nawet nie podejrzewałem, że może istnieć tyle objawów - rzekł.

- Układa z nich coraz to inne kombinacje - wyjaśniła Barbara Zorzi. - A wiec czym mogę panu służyć?

- Otóż jak wspomniałem, doszły mnie wieści, że signora Trevisan i jej córka były pani pacjentkami. - Zawiesił głos, czekając na reakcje lekarki. Nie było żadnej. - Słyszała pani o mecenasie?

- Tak.

- Byłbym wdzięczny, gdyby zechciał pani pomówić ze mną o jego żonie i córce.

- Jako osoba, która je zna, czy jako lekarka?

- Jak pani uzna za stosowne - odparł

- To się okaże dopiero w trakcie rozmowy Ale dobrze.

- Dziękuję, pani doktor. Czy moglibyśmy spotkać się dzisiaj?

- Na rano mam wyznaczonych kilka wizyt domowych, ale o jedenastej powinnam być już wolna. Gdzie chce się pan umówić?

- A gdzie pani będzie o jedenastej?

- Chwileczkę - powiedziała, odkładając na bok słuchawkę. Po chwili znów ją podniosła. - Wyjdę od pacjenta, który mieszka przy *embarcadero* w San Marco.

- Może w takim razie umówmy się u Floriana?

Nie odpowiedziała od razu; przypomniawszy sobie jej poglądy polityczne, Brunetti niemal spodziewał się, że zacznie mu czynić wyrzuty, iż szasta pieniędzmi podatników. Ale w końcu odparła:

- Dobrze, niech będzie u Floriana.

- Cieszę się. I jeszcze raz dziękuję.

- Zatem do jedenastej. - Rozłączyła się.

Wrzucił książkę telefoniczną na miejsce i zasunął szufladę butem. Kiedy uniósł głowę, w drzwiach gabinetu zobaczył Vianella.

- Wzywał mnie pan, panie komisarzu? - spytał sierżant.

- Tak. Proszę usiąść. *Vice-questore* zlecił mi śledztwo w sprawie zabójstwa Trevisana. Vianello skinął głową; najwyraźniej nie była to dla niego nowina.

- Co wiesz o tej sprawie? - spytał Brunetti.

- Tylko tyle, ile przeczytałem rano w gazetach i usłyszałem przez radio. Został zastrzelony, wczoraj wieczorem odkryto w pociągu zwłoki. Nie ma narzędzia zbrodni, nie ma podejrzanych.

Brunetti uzmysłowił sobie, że choć przeczytał oficjalny raport znajdujący się w teczce, sam wie na ten temat niewiele więcej. Gestem poprosił sierżanta, by usiadł.

- Wiesz coś o zamordowanym? - spytał.

- Ważny gość. - Vianello zaczął się wolno sadowić; przez kontrast z jego zwalistą sylwetką krzesło wydawało się małe i kruche. - Był radnym miejskim; o ile pamiętam, podlegały mu sprawy sanitarne. Żonaty, dwoje dzieci. Miał dużą kancelarię. Gdzieś w San Marco.

- Życie osobiste?

Vianello potrząsnął głową.

- Nic mi się nie obilo o uszy.

- Żona?

- Chyba o niej czytałem. Chce ratować amazońską dżunglę. A może nie ona, tylko żona burmistrza?

- Raczej ta druga.

- Więc signora Trevisan zajmuje się czymś podobnym. Też chce coś ratować. Może Afrykę? - Vianello prychnął pogardliwie, choć Brunetti nie był pewien, czy miało to wyrażać jego stosunek do żony mecenasa, czy też brak wiary w szansę uratowania Afryki.

- Nie orientujesz się, kto mógłby o nim coś wiedzieć?

- Rodzina? Klienci? Pracownicy? - Widząc minę Brunettiego, dodał szybko: - Niestety, nikt inny nie przychodzi mi do głowy. Nie przypominam sobie, aby ktoś ze znajomych wymieniał jego nazwisko.

- Zamierzam spotkać się z wdową, ale dopiero po południu. Wybierz się do jego kancelarii i sprawdź, jakie panują tam nastroje.

- Myśli pan, że kogoś zastanę? Dzień po morderstwie?

- Warto się przekonać - rzekł Brunetti. - Signorina Elettra wspomniała o jakimś kontrakcie z Polską albo Czechosłowacją. Mówi, że było o tym w prasie, ale nie pamięta szczegółów. Może ktoś w kancelarii coś na ten temat powie? Zresztą sam wiesz, o co najlepiej pytać.

Pracowali ze sobą tyle lat, że Brunetti nie musiał tłumaczyć, o co mu chodzi, a chodziło o informację, komu Trevisan mógł się narazić. Niezadowolonemu podwładnemu? Rozwścieczonemu wspólnikowi? Jakiemuś zazdrosnemu mężowi? Własnej zazdrosnej żonie? Vianello miał dar wyciągania z ludzi różnych wiadomości, zwłaszcza z weneccjan. Indagowane przez niego osoby zazwyczaj odnosiły się z sympatią do tego postawnego mężczyzny, który sprawiał wrażenie, jakby niechętnie mówił po włosku i z radością przechodził na miejscowy dialekt - to zawsze rozwiązywało języki.

- Coś jeszcze, panie komisarzu?

- Tak. Ponieważ wcześniej będę zajęty, a po południu chcę się zobaczyć z wdową, pošlij kogoś na stację, żeby porozmawiał z konduktorką, która znalazła zwłoki. I innymi konduktorami, może też coś widzieli. - Zanim sierżant zdołał zaprotestować, oświadczył szybko: - Wiem, wiem. Gdyby coś widzieli, zgłosiliby się sami. Ale na wszelki wypadek warto ich spytać.

- Dobrze.

- Chciałbym też mieć nazwiska i adresy wszystkich, którzy byli w pociągu, kiedy się zatrzymał, a także protokoły z przeprowadzonych przesłuchań.

- Dlaczego, pana zdaniem, zabitemu nic nie zabrano?

- Nie możemy wykluczyć motywu rabunkowego. Ktoś mógł przecież nadejść korytarzem i spłoszyć zabójcę, zanim ten zdążył ograbić ofiarę. Z drugiej strony może mordercy zależy, abyśmy wiedzieli, że nie była to zbrodnia na tle rabunkowym.

- Ale to chyba nie miałyby sensu, prawda? - spytał Vianello. - Nawet gdyby morderca działał z całkiem innego powodu, wołałby, abyśmy myśleli, że chodzi o rabunek. Żeby nas zmylić.

- Zależy od tego, kto jest mordercą.

- Hm, może rzeczywiście - przyznał po chwili Vianello, choć z jego tonu wynikało, że nie jest do końca przekonany. Dlaczego ktoś miałby ułatwiać zadanie policji? Nie chcąc tracić czasu na roztrząsanie tej kwestii, powoli wstał z krzesła. - Najlepiej od razu wybiorę się do kancelarii i zobaczę, czego zdołam się dowiedzieć. Wpadnie pan jeszcze do biura?

- Chyba tak. Zależy, o której wyjdę od wdowy. Zostawię ci wiadomość.

- Dziękuję. W takim razie zobaczymy się po południu - powiedział Vianello i wyszedł.

Brunetti ponownie otworzył teczkę, po czym odszukał i wykręcił numer domowy zamordowanego. Słuchawkę podniesiono dopiero po dziesiątym dzwonku.

- *Pronto* - powiedział męski głos.

- Czy to mieszkanie mecenasa Trevisana? - spytał Brunetti.

- A kto mówi?

- *Commissario* Guido Brunetti. Chciałbym rozmawiać z panią Trevisan.

- Siostra nie może podejść do aparatu.

Brunetti odnalazł szybko w aktach stronę, na której figurowało panińskie nazwisko żony mecenasa.

- Signor Lotto - rzekł - bardzo mi przykro, że zmuszony jestem niepokoić pana w tak smutnej chwili, a jeszcze bardziej mi przykro, że muszę niepokoić pańską siostrę, ale to naprawdę konieczne, żebym porozumiał się z nią jak najprędzej.

- Obawiam się, że to niemożliwe. Siostra bierze środki uspokajające i z nikim nie chce rozmawiać. Jest załamana.

- Rozumiem jej ból, signor Lotto, i współczuję z całego serca, ale muszę porozmawiać z kimś z rodziny, zanim rozpoczniemy dochodzenie.

- O jakiego rodzaju informacje panu chodzi?

- Musimy mieć jasny obraz prywatnego życia mecenasa, także spraw, którymi się zajmował, wiedzieć, z kim się kontaktował i tak dalej. Dopóki się tego nie dowiemy, w żaden sposób nie zdołamy stwierdzić, co mogło być motywem zabójstwa.

- Myślałem, że było to zabójstwo na tle rabunkowym.

- Nic nie zostało zabrane.

- Nie wyobrażam sobie innego powodu śmierci szwagra. Ktoś musiał spłoszyć bandytę.

- To bardzo prawdopodobne, signor Lotto, ale chcielibyśmy pomówić z pana siostrą, choćby po to, żeby wykluczyć inne ewentualności i móc skoncentrować na motywie rabunkowym.

- A jakie inne ewentualności mogą wchodzić w grę? - spytał gniewnym tonem Lotto. - Zapewniam pana, mój szwagier był prawym, prostolinijnym człowiekiem, jego życie to otwarta księga.

- Jestem o tym przekonany, signor Lotto, ale mimo wszystko muszę się widzieć z pańską siostrą.

Nastąpiła dłuższa chwila ciszy, po czym Lotto spytał:

- Kiedy?

- Dziś po południu - powiedział Brunetti i powstrzymał się przed dodaniem „o ile to możliwe”.

Na drugim końcu linii znów nastąpiła cisza.

- Proszę zaczekać.

Lotto odłożył słuchawkę. Nie wracał tak długo, że Brunetti wyjął z szuflady kartkę i, usiłując sobie przypomnieć prawidłową pisownię, napisał na niej „Czechosłowacja”. Napisał raz, drugi, trzeci, za każdym razem inaczej. Notował szóstą wersję, kiedy w słuchawce ponownie rozległ się głos Lotta.

- Jeśli przyjdzie pan dziś o czwartej, to albo siostra, albo ja porozmawiamy z panem.

- Będę o czwartej - oznajmił Brunetti, po czym szybko się rozłączył. Wiedział z doświadczenia, że nie należy okazywać wdzięczności świadkom, nawet jeśli są wyjątkowo uczynni.

Spojrzał na zegarek i zobaczył, że jest już po dziesiątej. Zatelefonował do Ospedale Civile, ale chociaż łączono go kolejno z czterema numerami wewnętrznymi, od żadnego z rozmówców nie zdołał uzyskać żadnych informacji na temat sekcji. Od dawna uważał, że sekcja to jedyny zabieg, jaki lekarze Ospedale Civile potrafią przeprowadzić, nie narażając na szwank zdrowia i życia pacjenta.

Z taką to niską oceną umiejętności jej kolegów po fachu udał się na spotkanie z panią doktor Zorzi.

Rozdział 7

Po wyjściu z komendy policji Brunetti skręcił w prawo, kierując się w stronę Bacino i Bazyliki Świętego Marka. Zdziwił się, że miasto skapane jest w słońcu; rano, zaskoczony wiadomością o zabójstwie Trevisana, w ogóle nie zwrócił uwagi na pogodę, choć już wtedy niebo było wyjątkowo przejrzyste jak na tę porę roku, teraz zaś słońce przygrzewało tak silnie, że płaszcz tylko przeszkadzał.

Na ulicach było niewiele osób, jednakże ci, których mijał, uśmiechali się promiennie, radując się nieoczekiwaną zmianą aury. Kto by uwierzył, że zaledwie wczoraj miasto otulała mgła, a *vaporetti* musiały używać radaru na krótkiej trasie do Lido? Brunetti żałował, że nie włożył cieńszego garnituru i nie wziął okularów słonecznych, bo kiedy doszedł do laguny, oślepił go blask bijący od wody. Przed sobą zobaczył kopułę i wieżę San Giorgio Maggiore - ktoś, kto był tu wczoraj, kiedy wcale nie było ich widać, mógłby sądzić, iż kościół i klasztor zakradły się do miasta pod osłoną nocy. Wysmukła wieża prezentowała się elegancko, wolna od rusztowań, pośród których - niczym więzień w klatce - od kilku lat tkwiła kampanila Świętego Marka, bardziej podobna do japońskiej pagody niż do kościelnej dzwonnicy. Patrząc na nią, Brunetti nie mógł się uwolnić od podejrzeń, że radni po kryjomu sprzedali Wenecję Japończykom, a ci zaczęli przerabiać miasto na swoją modłę, aby poczuć się jak u siebie w domu.

Komisarz skręcił w prawo; idąc przez *piazza*, ze zdziwieniem przyłapał się na tym, że spogląda z sympatią na mijanych po drodze turystów, którzy stoją z otwartymi ustami i rozglądają się dookoła. Wenecja, stara ladacznica, wciąż potrafiła przyprawić ich o zawrót głowy, a on, jej nieodrodny syn, opiekuńczo nastawiony do staruszki, odczuwał dumę przemieszana z radością i miał nadzieję, że przybysze z obcych stron zdołają rozpoznać w nim weneccjanina, a więc poniekąd dziedzica i współwłaściciela podziwianych przez nich wspaniałości.

Gołębie, które zwykle uważał za głupie i nieznośne, wydawały mu się niemal urocze, kiedy dreptały pod nosami podziwiających ich turystów. Nagle, bez powodu, setki ptaków poderwały się i obleciały plac, po czym wylądowały dokładnie w tym samym miejscu i zaczęły znów drobić nóżkami, kiwając się na boki. Tęga kobieta z trzema gołębiami na ramionach, wykrzywając twarz ze strachu lub radości, pozowała mężowi uzbrojonemu w kamerę wideo nie mniejszą od karabinu maszynowego. Kilka metrów dalej ktoś otworzył

torebkę kukurydzy i sypanął wokół kilka garści; ptaki znów się poderwały i wykonały honorową rundkę, po czym wylądowały i zaczęły dziobać ziarno.

Brunetti pokonał trzy niskie stopnie i wszedł przez dwuskrzydłowe oszklone drzwi do kawiarni Floriana. Chociaż zjawił się dziesięć minut przed czasem, na wszelki wypadek zajrzał do wszystkich niedużych sal, ale lekarki jeszcze nie było.

Kiedy podszedł do niego kelner w białej marynarce, Brunetti poprosił o stół przy oknie. W tak pięknym dniu miał wielką ochotę posiedzieć w towarzystwie atrakcyjnej młodej kobiety przy oknie eleganckiej kawiarni i pragnął, aby inni mu zazdrościli. Usiadł na jednym ze smukłych krzeseł o wygiętym fantazyjnie oparciu, po czym obrócił je, żeby mieć lepszy widok na plac.

Odkąd pamiętał, fasadę bazyliki przysłaniały częściowo rusztowania. Czy kiedykolwiek, choćby w dzieciństwie, widział ją całkiem odsłoniętą? Chyba nie.

- Dzień dobry, *commissario* - usłyszał za sobą i wstał, żeby przywitać się z Barbarą Zorzi.

Nic się nie zmieniła. Była szczupła i prosta jak trzcina, ale uścisk dłoni miała nadspodziewanie mocny. Włosy nosiła teraz krótsze niż przed rokiem; czarne loczki przylegały do głowy ciasno jak czapka. Oczy ciemne, prawie czarne - źrenica i tęczówka właściwie nie różniły się odcieniem. Podobieństwo do siostry ujawniało się w linii prostego nosa, pełnych ustach i zaokrąglonej brodzie, ale rozbuchana uroda Elettry została stonowana w wypadku Barbary; lekarka też była piękną kobietą, lecz w sposób bardziej spokojny, nie rzucający się w oczy.

- *Dottoressa*, cieszę się, że znalazła pani dla mnie czas - powiedział, wyciągając rękę, żeby pomóc jej zdjąć płaszcz.

Uśmiechnęła się w odpowiedzi i postawiła na krześle przy oknie pękatą torbę z brązowej skóry. Brunetti złożył jej płaszcz i przewiesił przez oparcie tego samego krzesła.

- Lekarz, który przychodził do nas, kiedy byłem mały, miał identyczną - rzekł, spoglądając na torbę.

Roześmiała się.

- Pewnie powinnam iść z duchem czasu i zacząć nosić aktówkę. Ale mama dała mi tę torbę, kiedy zrobiłam dyplom, i od tej pory się z nią nie rozstaje.

Kiedy kelner podszedł do stolika, zamówili kawę, po czym lekarka spytała:

- Jak mogę panu pomóc?

- Pani siostra wyjawiała mi, że signora Trevisan była pani pacjentką - oświadczył Brunetti, świadom, że nic nie zyska, ukrywając fakt, jak zdobył tę informację.

- Jej córka również - oznajmiła lekarka, sięgając po torbę i wyjmując zmiętą paczkę papierosów. Podczas gdy wciąż szukała na dnie torby zapalniczki, pojawił się kelner i nachylił się, żeby przypalić jej papierosa. - *Grazie* - powiedziała, zwracając głowę w stronę małego płomyka, jakby nawykła do tego rodzaju uprzejmości.

Po chwili kelner oddalił się bezgłośnie, a Barbara Zorzi, zaciągnąwszy się łączywie dymem, zamknęła torbę i spojrzała na Brunettiego.

- Czy to ma jakiś związek z jego śmiercią?

- Na tym etapie dochodzenia sam nie wiem, co ma związek z jego śmiercią, a co nie - rzekł Brunetti, ale kiedy lekarka wydeła wargi, zdał sobie sprawę, jak urzędowo i sztucznie musiało to zabrzmieć. - Taka jest prawda, pani doktor. Na razie jeszcze nic nie wiemy, dysponujemy tylko wstępnymi wynikami oględzin zwłok.

- Został zastrzelony?

- Tak. Dwa pociski. Jeden zapewne przeciął tętnicę, bo zgon nastąpił bardzo szybko.

- Co chciałby pan wiedzieć o jego rodzinie?

Uderzyło go, że właśnie tak sformułowała pytanie, że spytała ogólnie o rodzinę, a nie o to, kto konkretnie go interesuje.

- Wszystko. Nie tylko o rodzinie. Także o przyjaciółach i pracy. Dopiero wtedy będę mógł wyrobić sobie opinię, jakim był człowiekiem.

- Uważa pan, że to pomoże panu ustalić, kto go zabił?

- Tylko w ten sposób zdołam poznać motyw zabójstwa. A kiedy będę je znał, zidentyfikowanie winnego powinno już być stosunkowo proste.

- Optymista z pana.

- Nie, wcale nie. - Brunetti potrząsnął głową. - Ale faktem jest, że znajomość człowieka ułatwia cały proces.

- Czyli informacje o żonie i córce mogą się przydać?

- Tak.

Podszedł kelner, który postawił przed nimi na stoliku dwie kawy *espresso* oraz srebrną cukiernicę. Oboje wsypali do maleńkich filiżanek po dwie łyżeczki cukru; mieszały przez chwilę, traktując to jako naturalny przerywnik rozmowy. W końcu *dottoressa* upiła łyk kawy i odstawiała filiżankę na spodek.

- Nieco ponad rok temu signora Trevisan przyprowadziła do mnie córkę, która miała wówczas czternaście lat. Było jasne, że dziewczynka nie chce, aby matka wiedziała, co jej dolega. Signora Trevisan próbowała wejść do gabinetu razem z dziewczynką, ale ją powstrzymałam. - Strząsnęła popiół z papierosa i uśmiechnęła się. - Nie było to łatwe.

Znów upiła łyk kawy; Brunetti jej nie poganiał.

- Dziewczynka cierpiała na opryszczkę genitalną. Zadałam kilka rutynowych pytań: czy uprawia seks z jednym czy z kilkoma partnerami, czy partner stosuje prezerwatywy, od jak dawna występują objawy. W przypadku opryszczki zwykle zakażenie pierwotne ma najcięższy przebieg, więc chciałam się zorientować, czy mam do czynienia z początkiem choroby, czy z nawrotem. Ta informacja pozwoliłaby mi określić charakter zakażenia. - Umilkła i zgasła papierosa w popielniczce, po czym bez słowa odstawiła ją na sąsiedni stolik.

- To był początek?

- Tak twierdziła, ale podejrzewałam, że kłamie. Próbowałam jej wyjaśnić, że nie mogę przepisać odpowiedniego leczenia, nie znając przebiegu choroby. Trochę to trwało, ale w końcu przyznała się, że ma nawrót; pierwszy epizod był znacznie gorszy.

- Dlaczego wtedy nie przyszła do pani?

- Była na wakacjach. Bała się, że jeśli pójdzie do innego lekarza, o wszystkim dowiedzą się rodzice.

- Jakie miała objawy?

- Gorączkę, dreszcze, bóle narządów płciowych.

- I co zrobiła?

- Powiedziała matce, że ma bolesny okres, i przez dwa dni nie wstawała z łóżka.

- A matka?

- Co matka?

- Uwierzyła?

- Najwyraźniej.

- A tym razem?

- Tym razem Francesca też powiedziała matce, że ma bolesny okres i że chce się do mnie wybrać. Prowadziłam ją przez siedem lat, odkąd była małą dziewczynką.

- Dlaczego matka z nią przyszła?

Lekarka utkwiała wzrok w pustej filiżance.

- Signora Trevisan zawsze była nadmiernie opiekuńcza wobec córki. Początkowo wzywała mnie, ilekroć Francesca miała odrobinę podwyższoną temperaturę. Zdarzało się, że w zimie dzwoniła dwa razy w miesiącu i prosiła, żebym przyszła.

- I chodziła pani?

- Z początku tak. Chodziłam do wszystkich. Potem stopniowo zaczęłam się orientować, kto mnie wzywa, bo jest obłożnie chory, a kto... kto nie ma aż tak pilnego powodu.

- Czy signora Trevisan wzywała panią, kiedy sama się źle czuła?

- Nie, nigdy. Przychodziła do mnie do gabinetu.

- A co jej dolegało?

- To chyba nie ma związku ze sprawą, panie komisarzu - odparła lekarka.

Zdziwił się, że użyła jego tytułu; zrozumiał jednak, że nie powinien naciskać.

- A jak dziewczynka odpowiedziała na inne pani pytania?

- Powiedziała, że jej partner nie używa prezerwatyw, bo odczuwa wtedy mniejszą przyjemność. - Barbara Zorzi skrzywiła się, jakby niezadowolona, że musi powtarzać tę wyświechtaną, egoistyczną wymówkę.

- W grę wchodził tylko jeden partner?

- Tak twierdziła.

- Powiedziała kto?

- Nie pytałam. To nie moja sprawa.

- Uwierzyła jej pani? Że był tylko jeden?

- Nie miałam powodu nie wierzyć. Jak już panu mówiłam, znałam ją od dziecka.

Wydawało mi się, że nie kłamie.

- A jak to było z tym pismem, którym jej matka rzuciła w panią?

Spojrzała na komisarza, wyraźnie zaskoczona.

- Oj, ta moja siostra. Nie pomija niczego, prawda? - W jej głosie nie było jednak gniewu; raczej podziw dla pięknej Elettry. - To miało miejsce później. Kiedy wyprowadziłam dziewczynkę z gabinetu, pani Trevisan zaczęła się dopytywać, co dolega Francesce. Powiedziałam, że córka ma drobne zakażenie, które wkrótce powinno zniknąć. Ta informacja jej wystarczyła; obie wyszły spokojnie.

- W jaki sposób dowiedziała się prawdy? - spytał Brunetti.

- Przez lek, który zapisałam małej. Zovirax. Działa wyłącznie na opryszczkę. Pani Trevisan ma znajomego, który jest farmaceutą; podejrzewam, że nie mówiąc, o co chodzi, zapytała go, na co bierze się ten specyfik. Powiedział jej. Zovirax praktycznie nie ma innego zastosowania. Nazajutrz pojawiła się u mnie, tym razem sama. Czyniła mi obraźliwe sugestie.

- Barbara Zorzi umilkła.

- Jakie?

- Oskarżyła mnie o to, że skierowałam jej córkę na skrobankę. Kiedy powiedziałam, żeby opuściła *ambulatorio*, złapała ze stolika pismo i rzuciła we mnie. Dwóch starszych pacjentów, czekających na swoją kolej, wzięło ją pod rękę i wyprowadziło na zewnątrz. Od tego czasu jej nie widziałam.

- Franceski też?

- Spotkałam ją kilka razy na ulicy, ale nie jest już moją pacjentką. Niedawno otrzymałam od innego lekarza list z prośbą o potwierdzenie mojej diagnozy, co też uczyniłam. Historie choroby pani Trevisan i Franceski odesłałam im wcześniej.

- Co podsunęło matce pomysł, że skierowała pani córkę na aborcję?

- Nie mam pojęcia. Zresztą i tak nie mogłabym tego zrobić bez zgody rodziców.

Córka Brunettiego, Chiara, miała obecnie tyle lat co Francesca przed rokiem. Zastanawiał się, jak on i jego żona zareagowałiby na wiadomość, że Chiara jest chora wenerycznie. Na samą tę myśl wzdrygnął się z najwyższym przerażeniem.

- Dlaczego nie chce pani opowiedzieć mi o dolegliwościach pani Trevisan?

- Mówiłam panu. Nie widzę, jaki to mogłoby mieć związek ze sprawą.

- A ja pani mówię, że każda informacja może okazać się cenna - oświadczył łagodnie komisarz; miał nadzieję, że może tym razem jego słowa poskutkują.

- A gdybym panu powiedziała, że signora Trevisan cierpi na bóle kręgosłupa?

- Gdyby tak było, nie robiłaby pani z tego tajemnicy.

Przez chwilę lekarka milczała, w końcu potrząsnęła głową.

- Przykro mi. Była moją pacjentką, nie mogę omawiać z panem jej przypadku.

- Nie może pani, czy nie chce? - spytał; w jego głosie nie było już cienia humoru.

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Nie mogę - stwierdziła. Popatrzyła na zegarek; Brunetti zobaczył, że tarcza przedstawia Snoopy'ego. - Przed obiadem mam jeszcze jedną wizytę domową.

Komisarz zrozumiał, że nic więcej nie wskóra.

- Dziękuję, że zechciała mi pani poświęcić czas i odpowiedzieć na moje pytania - powiedział szczerze, po czym uczynił drobne wyznanie: - To zdumiewające, ale do tej pory nie zdawałem sobie sprawy, że pani i pani Elettra jesteście siostrami.

- Elettra jest pięć lat ode mnie młodsza.

- Nie chodzi mi o wygląd - oświadczył, a kiedy uniosła pytająco brew, dodał: - Jesteście podobne z charakteru.

Uśmiechnęła się szeroko.

- Wiele osób nam to mówi.

- Wcale się nie dziwię.

Przez chwilę milczała, po czym parsknęła śmiechem. Nie przestając się śmiać, odsunęła krzesło i sięgnęła po płaszcz. Przytrzymał go, potem zerknął na rachunek i zostawił

na stoliku kilka monet. *Dottoressa* wzięła torbę i wyszli razem na *piazza*; było jeszcze ciepiej niż przed godziną.

- Większość moich pacjentów powiedziałaaby, że taka pogoda zwiastuje srogą zimę - rzekła, zakreślając ręką łuk, który obejmował skąpany w słonecznym blasku plac.

- A co by powiedzieli, gdyby było bardzo zimno? - zapytał Brunetti.

- Dokładnie to samo. Że zanosi się na srogą zimę - odparła, przechodząc do porządku dziennego nad brakiem logiki swoich ziomków. Oboje byli weneccjanami; oboje to rozumieli.

- No cóż, jesteśmy pesymistami, prawda?

- Kiedyś byliśmy potęgą. A teraz... - Znów wykonała ten sam gest obejmujący bazylikę, kampanilę oraz mieszczącą się obok Libreria Sansoviniana. - Teraz mamy tu istny Disneyland. Myślę, że to wystarczający powód do pesymizmu.

Skinął głową, ale nic nie powiedział. Nie przekonała go. Zdaniem Brunettiego, choć naprawdę wspaniałe chwile, gdy wzruszenie chwytало za gardło, zdarzały się rzadko, miasto wciąż okryte było chwałą.

Rozstali się u stóp kampanili; lekarka udała się do pacjenta mieszkającego na Campo della Guerra, a Brunetti skierował się w stronę mostu Rialto, aby dojść piechotą do domu na obiad.

Rozdział 8

Tam, gdzie mieszkał, sklepy jeszcze były otwarte, więc wszedł do spożywczego na rogu i kupił cztery butelki wody mineralnej. Oczywiście szklane. W chwili słabości zgodził się uczestniczyć w bojkocie plastikowych butelek ogłoszonym z pobudek ekologicznych przez jego rodzinę i podobnie jak żona i dzieci - musiał przyznać, że żadne się nie wyłamywało - nabrał zwyczaju zaglądania po drodze do pobliskiego sklepu i uzupełniania zapasów. Ale woda mineralna zniknęła w tak zastraszającym tempie, że czasami podejrzewał, iż rodzina kąpie się w niej pod jego nieobecność.

Na czwartym piętrze zatrzymał się, postawił na podłodze torbę z butelkami i wyjął z kieszeni klucze. Z mieszkania dobiegał go głos spikera radiowego czytającego serwis informacyjny, w którym niewątpliwie znalazły się najnowsze wiadomości o zabójstwie Trevisana. Brunetti pchnął drzwi, wstawił do środka torbę, po czym zamknął je za sobą. Z kuchni doleciały go następujące słowa: „...oświadczył, że wysuwane przeciwko niemu oskarżenia są całkowicie bezpodstawne, a dwadzieścia lat wiernej służby w szeregach byłej Partii Demokracji Chrześcijańskiej najlepiej świadczy o jego poszanowaniu dla prawa. Jednakże Renato Mustacci, zabójca na usługach mafii, przebywający obecnie w więzieniu Regina Coeli, twierdzi, że działał na polecenie senatora, kiedy to wraz z dwoma innymi mężczyznami zastrzelił sędziego Filippa Preside i jego żonę Elvirę w Palermo w maju ubiegłego roku”.

Powązny głos spikera zastąpiła piosenka reklamująca płatki mydlane; przebijał się przez nią głos Paoli, która - jak to czasami miała w zwyczaju - mówiła do swojej ulubionej publiczności, czyli do siebie samej:

- Wredna, kłamliva świnia. Wredna, kłamliva świnia z PDC. Jak on może mówić o poszanowaniu prawa! Jak on śmie, ten... - Tu padło jedno z bardziej dosadnych określeń, jakimi żona Brunettiego posługiwała się, co ciekawe, wyłącznie wtedy, kiedy mówiła do siebie. Usłyszawszy kroki męża na korytarzu, zawołała: - Słyszałeś, Guido?! Słyszałeś go? Wszyscy trzej zabójcy twierdzą, że polecił im zamordować sędziego, a on bajdurzy o swoim poszanowaniu dla prawa. Powinno się drania powiesić na największym placu. Ale facet jest członkiem parlamentu, więc nawet nie można go tknąć. Powinno się pozamykać ich wszystkich. Wsadzić cały parlament do paki i oszczędzić sobie czasu i nerwów.

Brunetti przeszedł przez kuchnię i schylił się, żeby wstawić butelki do niskiej szafki przy lodówce. Wewnątrz znajdowała się już tylko jedna, choć sam przyniósł pięć poprzedniego dnia.

- Co na obiad? - spytał.

Paola cofnęła się o krok i oskarżycielsko wymierzyła palec prosto w jego serce.

- Republika się wali, a on myśli tylko o jedzeniu - powiedziała, tym razem zwracając się do niewidzialnego słuchacza, który od ponad dwudziestu był milczącym uczestnikiem ich małżeńskich rozmów. - Guido, ta banda łotrów zniszczy nas wszystkich. Może już zniszczyła. A ciebie obchodzi tylko, co na obiad.

Brunetti powstrzymał się przed stwierdzeniem, że osoba w kaszmirowym swetrze kupionym w Burlington Arcade jest kiepskim materiałem na rewolucjonistkę, i rzekł jedynie:

- Nakarm mnie, moja miła. Należy mi się; w końcu to ja pilnuję poszanowania dla prawa.

Wzmianka męża o pracy przypomniała jej o zwłokach znalezionych w pociągu; tak jak się Brunetti spodziewał, chętnie zrezygnowała z wygłaszania tyrad przeciwko politykom, żeby wysłuchać nowinek. Zgasiła radio i zapytała:

- Dostałeś tę sprawę?

Brunetti skinął głową.

- Tak. Powiedział, że niewiele mam teraz do roboty. Wcześniej dzwonił do niego burmistrz, więc możesz sobie wyobrazić, jaki był przejęty. - Nie potrzebował jej wyjaśniać, kogo ma na myśli; to było oczywiste.

- W gazecie podali, że Trevisana zastrzelono w pociągu z Turynu. Nic więcej.

- Z biletu, który znaleziono przy nim, wynika, że wracał z Padwy. Staramy się ustalić, co tam robił.

- Może odwiedzał kochankę?

- Może. Diabli wiedzą. To co jest na obiad?

- *Pasta fagioli*, a potem *cotoletta*.

- A sałatka?

Wydęła usta i wzniosła oczy do nieba.

- Guido, czy kiedykolwiek zdarzyło nam się jeść kotlety bez sałatki?

- Mamy jeszcze butelkę tego dobrego *dolcetto*? - spytał, zamiast odpowiedzieć.

- Nie wiem. Chyba wypiliśmy w zeszłym tygodniu.

Mruknął coś i znów ukląkł przy szafce. Za butelkami wody mineralnej stały trzy butelki wina, ale białego.

- Gdzie jest Chiara? - spytał, prostując się.
- U siebie w pokoju. A bo co?
- Zamierzam ją poprosić o drobną przysługę.

Paola spojrzała na zegarek.

- Już za kwadrans pierwsza, Guido. Sklepy są zamknięte.
- Do Mori jest otwarty do pierwszej.
- Chcesz ją wysłać taki kawał po głupią butelkę wina?
- Po trzy butelki - odparł.

Wyszedł z kuchni i skierował się do pokoju córki. Kiedy zastukał do drzwi, usłyszał za sobą dźwięki z ponownie włączonego radia.

- *Avanti, Papa!*

Otworzył drzwi i wszedł do środka. Chiara leżała na łóżku z białym, marszczonym baldachimem. Na podłodze, obok torby na podręczniki i rzuconej niedbale kurtki, stały buty. Żaluzje były odsłonięte i słońce wpadające przez okno oświetlało misie i inne pluszowe zwierzątka dzielące łóżko z ich właścicielką. Chiara odgarnęła z twarzy pukiel ciemnoblond włosów, spojrzała na ojca i posłała mu promienny uśmiech, który mógł śmiało konkurować z blaskiem słońca.

- *Ciao, dolcezza* - powiedział Brunetti.
- Wcześniej wróciłeś.
- Nie, w samą porę. Czytasz?

Skinęła głową, zerkając na otwartą książkę, którą trzymała w dłoniach.

- Chiaro, wyświadczyć mi przysługę...

Dziewczyna opuściła nieco książkę i popatrzyła pytająco na ojca.

- Będziesz taka miła?
- Dokąd mam iść? - zapytała.
- Do winiarni Do Mori.
- Czego zabrakło tym razem?
- Dolcetto.
- Och, *Papa*, dlaczego nie możesz wypić czegoś innego do obiadu?
- Bo mam ochotę na dolcetto, cukiereczku.
- Pójdę, jeśli pójdziesz razem ze mną.
- Równie dobrze mógłbym iść sam.
- No to idź.
- Nie mam ochoty. Dlatego proszę o to ciebie.

- A dlaczego ja mam iść?

- Bo ja ciężko pracuję, że was utrzymać.

- *Mamma* też pracuje.

- Tak, ale to z mojej pensji pokrywamy czynsz i wszystkie inne wydatki.

Odłożyła książkę na łóżko, okładką do góry.

- *Mamma* mówi, że to kapitalistyczny szantaż i wcale nie muszę ci ulegać.

- Posłuchaj, Chiaro - rzekł,niżając głos. - Twoja matka jest intrygantką, malkontentką i agitatorką.

- Tak? To dlaczego wciąż mi powtarzasz, że mam się jej we wszystkim słuchać?

Widząc, jak ojciec wolno bierze głęboki oddech, Chiara usiadła szybko na krawędzi łóżka i przysunęła stopą buty.

- Ile butelek kupić? - spytała niechętnie.

- Trzy.

Nachyliła się i zaczęła wiązać sznurowadła. Brunetti wyciągnął rękę, chcąc pogłaskać córkę po głowie, ale odsunęła się, żeby uniknąć pieszczoty. Wstała, gniewnym ruchem podniosła z podłogi kurtkę i bez słowa wyszła na korytarz.

- Poproś mamę o pieniądze! - zawołał za nią, po czym udał się do łazienki na końcu korytarza. Kończył myć ręce, kiedy usłyszał trzask zamykanych drzwi.

Gdy wszedł do kuchni, Paola właśnie nakrywała do stołu - dla trzech osób.

- A gdzie Rafii? - zdziwił się Brunetti.

- Po południu ma ustny egzamin, uczy się w bibliotece.

- Cały dzień będzie chodził głodny?

- Kupi sobie kanapkę.

- Jeśli ma egzamin, powinien zjeść solidny posiłek.

Paola spojrzała na męża z politowaniem i tylko potrząsnęła głową.

- Co? - spytał.

- Nic.

- Nie, powiedz. Dlaczego kręcisz głową?

- Czasem zastanawiam się, jak to możliwe, że poślubiłam tak mało oryginalnego człowieka.

- Mało oryginalnego? - Ze wszystkich inwektyw, jakie kiedykolwiek padły z jej ust pod jego adresem, ta, nie wiedzieć czemu, zabolęła go najbardziej. - Mało oryginalnego? - powtórzył.

Zawahala się.

- Najpierw - rzekła po chwili - zmuszasz córkę, żeby poszła kupić wino, którego sama nie pije, a potem martwisz się, że twój syn będzie głodny.

- A czym, według ciebie, powinienem się martwić?

- Tym, że się chłopak nie uczy!

- Przecież cały rok się uczył i tylko w przerwach snuł się po domu, myśląc o Sarze.

- Co Sara ma z tym wspólnego? O co ci chodzi?

A o co tobie chodzi? - pomyślał. Po co ta cała awantura?

- Co ci powiedziała Chiara? - spytał.

- Że zaoferowała się pójść razem z tobą, ale nie chciałeś.

- Równie dobrze mógłbym iść sam.

- Wciąż powtarzasz, że powinieneś więcej czasu spędzać z dziećmi, a kiedy masz okazję, to nie korzystasz.

- Miałem iść z nią po wino? Nie o takie wspólne spędzanie czasu mi chodzi.

- A o jakie? Żeby siedziała z tobą i słuchała, jak perorujesz, że pieniądze dają władzę?

- Pa-o-la - rzekł, wymawiając wolno i wyraźnie wszystkie trzy sylaby jej imienia. -

Coś mi się zdaje, że twój zły humor nie ma żadnego związku z tym, że wysłałem Chiara po wino.

Wzruszyła ramionami i wróciła do kuchenki, na której buzował duży garnek.

- Paola, porozmawiaj ze mną. - Nie zbliżając się do żony, starał się dosięgnąć ją głosem.

Ponownie wzruszyła ramionami.

- Paola, proszę cię.

Wciąż stojąc zwrócona tyłem, powiedziała cicho:

- Zaczynam się czuć stara, Guido. Raffi ma dziewczynę, Chiara jest już prawie dorosłą kobietą. A ja wkrótce skończę pięćdziesiątkę.

Zdziwiło go, jak sobie to skalkulowała, ale powstrzymał się od komentarza.

- Wiem, że to głupie, ale czuję się coraz bardziej przygnębiona; życie umyka mi przez palce, najlepsze lata mam za sobą.

Dobry Boże! - pomyślał Brunetti. I ona mnie zarzuca brak oryginalności?! Cekał, co żona jeszcze powie, ale najwyraźniej już skończyła.

Zdjęła z garnka pokrywkę i na moment znikła wśród kłębow buchającej pary. Potem długą drewnianą łyżką zamieszała w garnku; bynajmniej nie wyglądała jak wiedźma. Świadom, że nie jest to do końca możliwe, Brunetti spróbował zdobyć się na obiektywność i spojrzeć na Paolę tak, jakby widział ją po raz pierwszy w życiu. Jakby nie kochali się i nie

spędzili ze sobą ponad dwudziestu lat. Zobaczył wysoką, szczupłą kobietę ledwo po czterdziestce, o ciemnych blond włosach opadających na ramiona. A kiedy odwróciła głowę, ujrzał długi nos, ciemne oczy i szerokie usta, których widok radował go od lat.

- Czy to znaczy, że mogę cię wymienić na nowszy model?

Usiłowała się opanować, ale nie dała rady; parsknęła śmiechem.

- Zachowuję się jak idiotka, tak?

Właśnie miał potwierdzić, dodając, że już do tego przywykł, kiedy drzwi otworzyły się z impetem i do mieszkania wpadła Chiara.

- *Papa!* - zawołała z korytarza. - Dlaczego nic mi nie powiedziałeś?!

- O czym, Chiaro?

- O ojcu Franceski. Że ktoś go zabił.

- Znasz ją? - zdumiał się Brunetti.

Weszła do kuchni, trzymając w dłoni szmacianą torbę. W swoim podnieceniu zapomniała, iż jest na niego śmiertelnie obrażona.

- Pewnie. Chodziłyśmy razem do podstawówki. Znajdziesz mordercę?

- Zobaczymy - rzekł wymijająco, nie chcąc dawać córce okazji do zasypania go gradem pytań. - Przyjaźniłyście się?

- Skąd! - zawołała ku jego zdziwieniu; oczekiwał, że córka poda się za najbliższą przyjaciółkę Franceski Trevisan, licząc, iż tym sposobem wydusi z niego więcej informacji. - Trzymała się z Pedrocci, wiesz, tą, która miała w domu tabuny kotów. Śmierdziała i nikt nie chciał się z nią zadawać. Jedynie Francesca.

- Czy Francesca miała inne przyjaciółki? - zapytała zaciekawiona Paola, tym samym stając się dobrowolnym współnikiem męża w wyciąganiu informacji od rodzzonego dziecka. - Chyba jej nie poznałam, prawda?

- Nie, nigdy u nas nie była. Zawsze zapraszała do siebie, a sama do nikogo nie chodziła. Matka jej nie puszczała.

- A ta dziewczynka od kotów bywała u niej w domu?

- No pewnie. Jej ojciec jest sędzią, więc pani Trevisan nie przeszkadzał smród.

Brunettiego zdumiało to, z jaką ostrością Chiara postrzega rzeczywistość. Nie miał pojęcia, kim córka zostanie w przyszłości, ale był pewien, że zajdzie daleko.

- Jaka jest matka Franceski? - spytała Paola, zerkając ukradkiem na męża.

Skinął głową. Bardzo zgrabnie prowadziła przesłuchanie. Wysunął krzesło i usiadł bez słowa przy stole.

- Mamo, przestań! Dlaczego nie pozwolisz tacie samemu zadawać pytań, skoro to głównie jego interesuje signora Trevisan?

Nie czekając, aż Paola wymyśli jakieś kłamstwo, Chiara postawiła na stole butelki i albo zapominając o swojej urazie, albo wybacząc ojcu wszystko, usiadła mu na kolanach.

- Co chciałbyś wiedzieć, tato?

Przynajmniej nie nazwała go komisarzem.

- Wszystko, co pamiętasz. Może zacznij od tego, dlaczego nie pozwalano Francesce chodzić do koleżanek.

- Nie wiem. Ona sama też nie bardzo wiedziała. Kiedyś, z pięć lat temu, powiedziała, że rodzice chyba się boją, że ktoś może ją porwać. - Zanim Brunetti i Paola zdążyli wykrzyknąć, że to absurd, dodała szybko: - Wiem, wiem, to głupie. Ale tak mówiła. Może chciała nam pokazać, jaka jest ważna? Na nikim nie zrobiło to wrażenia, więc wkrótce dała spokój. - Na moment Chiara zamilkła, potem zwróciła się do Paoli. - Mamo, kiedy będzie obiad? Jestem taka głodna, że zemdleję, jeśli czegoś natychmiast nie wrąbie.

Po czym nagle zwiotczała, opuściła głowę i zaczęła się zsuwać na posadzkę; Brunetti odruchowo zacisnął wokół niej ramiona i podciągnął ją wyżej.

- Oszustka - szepnął córce do ucha. Przytrzymując Chiarę jedną ręką, drugą zaczął ją łaskotać, to dźgając ją lekko w bok, to przejeżdżając jej palcami po żebrach.

Dziewczyna broniła się, piszcząc z oburzenia i rozkoszy.

- Tatusiu, nie! Puść mnie! Nie, puść... - Salwy histerycznego śmiechu nie pozwalały jej dokończyć.

Kiedy zasiedli do obiadu, przy stole zapanował jako taki porządek. Chociaż niezupełnie. Dorośli, za cichym porozumieniem, nie zadawali Chiarze więcej pytań na temat Franceski i pani Trevisan. Natomiast Brunetti, mimo dezaprobaty żony, co jakiś czas wyciągał szybko rękę w kierunku córki, która siedziała obok niego, na swoim zwykłym miejscu. Każdy ruch dłoni ojca wywoływał u niej nowe piski przerażenia oraz dalsze salwy hałaśliwego śmiechu. Obserwując to, co się dzieje, Paola zaczęła żałować, że jej rodzicielski autorytet nie rozciąga się na komisarza policji, a więc że nie może ukarać męża odesłaniem go, bez posiłku, na kilka godzin do pokoju.

Rozdział 9

Tuż po obiedzie Brunetti, najedzony do syta, wrócił piechotą do gmachu komendy, zatrzymując się po drodze na kawę, w nadziei że brunatny płyn rozproszy senność wywołaną dobrym posiłkiem i ciepłą pogodą. W gabinecie zdjął marynarkę, powiesił ją na wieszaku, po czym podszedł do biurka sprawdzić, co przyniesiono w czasie jego nieobecności. Zgodnie z oczekiwaniami zobaczył wyniki sekcji; nie był to jeszcze oficjalny protokół, tylko krótki wyciąg sporządzony przez panią Elettę na podstawie informacji uzyskanych telefonicznie.

Broń, z której zastrzelono Trevisana, nie była dużego kalibru: pistolet sportowy 5,6 mm. Tak jak podejrzewano, jeden z pocisków przeciął tętnicę główną, toteż zgon nastąpił niemal natychmiast. Drugi pocisk utkwiał w żołądku. Z ran wlotowych wynikało, że zabójca stał nie dalej niż metr od mecenasa, nieco na prawo od niego, natomiast mecenas siedział.

Trevisan zjadł pełny posiłek niedługo przed śmiercią i wypił umiarkowaną ilość alkoholu, na pewno zbyt małą, żeby to zakłóciło jego koordynację ruchową czy zdolności postrzegania. Chociaż cierpiał na nadwagę, był w znakomitym zdrowiu jak na mężczyznę w średnim wieku. Nic nie wskazywało na to, aby kiedykolwiek poważnie chorował; jedyne zabiegi chirurgiczne, jakie przechodził, to usunięcie wyrostka i wazektomia. Zdaniem patologa, jeśli wykluczyć tragiczny wypadek lub nagłą śmiertelną chorobę, mógł jeszcze spokojnie żyć co najmniej dwadzieścia lat.

- Odebrano mu z ćwierć wieku - szepnął pod nosem Brunetti. I zaczął myśleć o tym, czego można dokonać w tak długim czasie: wychować dzieci, a nawet dochować się wnuków; odnieść sukces w interesach; napisać wiersz. Komisarz od dawna uważał, że najokrutniejsze w morderstwie jest to, że tak nieodwołanie zamyka przed ofiarą wszelkie możliwości, że odbiera jej raz na zawsze szansę osiągnięcia jeszcze czegoś w życiu. Sam nie był człowiekiem wierzącym, ale dorastał w rodzinie katolickiej, więc rozumiał magiczną siłę wiary i miał świadomość, że dla wielu ludzi najgorsze jest, iż ofiarę pozbawia się szansy wyznania grzechów i okazania skruchy. Dlatego właśnie dusze napotkane przez Dantego w przedsionku Czystości skarżą się: „Rozłączyła nas nagła śmierć z żywotem”.

Rozległo się pukanie i do gabinetu wszedł sierżant Vianello, trzymając w prawej ręce niebieską tekturową teczkę.

- Facet był czysty - powiedział bez żadnych wstępów, kładąc teczkę na biurku Brunettiego. - Jeśli chodzi o nas, mógł w ogóle nie istnieć. Jedyne, co się znajduje w

policyjnych aktach, to podanie o przedłużenie paszportu. - Otworzył teczkę, żeby spojrzeć na datę. - Sprzed czterech lat. Poza tym nie ma nic.

Samo w sobie nie było to zaskakujące. Wielu ludziom udaje się przejść przez życie bez zwracania na siebie uwagi policji aż do chwili, kiedy padają ofiarą włamania, napadu lub dostają się pod koła samochodu prowadzonego przez pijanego kierowcę. Jednakże przemoc, jaka ich spotyka, w znacznej mierze jest sprawą przypadku; z reguły nie giną z rąk zawodowych morderców.

- Dziś po południu mam się widzieć z wdową - powiedział Brunetti. - O czwartej.

Vianello pokiwał głową.

- Nikt z najbliższej rodziny też nie figuruje w naszych aktach - rzekł.

- Dziwne, prawda?

Vianello zastanawiał się chwilę.

- Bo ja wiem? To chyba normalne, że ludzie, często całe rodziny, nie mają nigdy styczności z policją.

- Więc dlaczego w tym wypadku wydaje się to takie dziwne?

- Może dlatego, że facet został zastrzelony z pistoletu kalibru 5,6 mm?

Obaj wiedzieli, że właśnie ten rodzaj broni preferują zawodowi mordercy.

- Jakie są szanse zidentyfikowania broni? - spytał Brunetti.

- Poza określeniem marki, raczej niewielkie. Oczywiście wysłałem kopie ekspertyzy pocisków do Rzymu i Genewy.

Obaj wiedzieli również, że najprawdopodobniej nie uzyskają stamtąd żadnych przydatnych informacji.

- No dobrze. A wieści ze stacji?

Sierżant opowiedział pokrótce, co funkcjonariusze zdołali odkryć ubiegłego wieczoru.

- Niewiele, prawda? - rzekł na koniec.

Brunetti pokiwał głową.

- Czego dowiedziałeś się w kancelarii?

- Zanim dotarłem na miejsce, większość pracowników wyszła już na obiad. Rozmawiałem z prawnikiem, który przejął obowiązki szefa, i z jedną sekretarką, która była autentycznie zrozpaczona. - Zamilkł na moment, po czym dodał: - On nie.

- Prawnik nie rozpaczał? - Brunetti podniósł z zainteresowaniem głowę.

- Nie tylko nie rozpaczał, ale nawet nie wydawał się specjalnie przejęty śmiercią Trevisana.

- A okolicznościami śmierci?

- Chodzi panu o to, że Trevisana zamordowano?

- Tak.

- No, to nim trochę wstrząsnęło. Odniosłem wrażenie, że gość nie bardzo lubił Trevisana, ale poruszył go fakt morderstwa.

- Co mówił?

- Właściwie nic. I to mnie najbardziej zdziwiło; nie powiedział żadnego komunału, jakie zwykle się mówi w podobnej sytuacji: że to wielka strata, że współczuje z całego serca rodzinie, że zmarły był człowiekiem niezastąpionym.

Zarówno Vianello, jak i Brunetti słyszeli te zwroty tyle razy, że natychmiast potrafili wyczuć najmniejszą nieszczerłość w głosie mówiącego, ale sierżant miał rację: rzadko się zdarzało, aby ktoś całkiem pomijał te zwyczajowe formuły.

- Coś jeszcze? - spytał Brunetti.

- Nie. Sekretarka powiedziała, że jutro wszyscy mają być w pracy. Dziś po południu dostali wolne z powodu żałoby. Pewnie wpadnę tam znów i spróbuję pogadać. Poza tym dzwoniłem do Nadii i prosiłem, żeby się popytała o Trevisana. Sama go nie знаła, ale przypomniała sobie, że jakieś pięć lat temu prowadził sprawy spadkowe po człowieku, który miał sklep z butami na Via Garibaldi. Obiecała zadzwonić do wdowy i zasięgnąć języka w okolicy.

Brunetti skinął głową. Wprawdzie żona Vianella nie była u nich na pensji, często jednak stanowiła cenne źródło informacji, jakich próżno szukać w oficjalnych aktach.

- Warto skontrolować jego finanse - rzekł komisarz. - Sprawdzić konta bankowe, zeznania podatkowe, wykaz nieruchomości. Może zdołasz się dowiedzieć, jaki roczny dochód przynosi kancelaria.

Mimo że były to rutynowe czynności, Vianello skrzętnie notował polecenia szefa.

- Czy poprosić panią Elettrę, żeby też spróbowała?

Ilekróć Brunetti słyszał to pytanie, wyobrażał sobie, jak signorina Elettra, spowita w ciężkie szaty i w turbanie na głowie - brokatowym, ozdobionym z przodu klejnotami - wpatruje się intensywnie w ekran komputera, z którego unosi się cienka smużka dymu. Faktem było, że zazwyczaj potrafiła wynaleźć takie informacje na temat finansów, a często również życia osobistego ofiar i podejrzanych, że stanowiły one niespodziankę dla ich rodzin i najbliższych współpracowników. Brunetti nie miał pojęcia, jak pani Elettra to robi, jednakże święcie wierzył, że nie sposób niczego przed nią ukryć; czasem z ciekawością - a może i lękiem - zastanawiał się, czy sekretarki szefa nigdy nie kusi, aby korzystając ze swoich niebywałych umiejętności, wziąć pod lupę ludzi, z którymi styka się na co dzień w pracy.

- Tak, niech spróbuje. Chciałbym też mieć listę jego klientów.

- Wszystkich?

- Tak.

Vianello skinął głową i też to sobie zapisał, choć wiedział, że sprawa jest beznadziejna: prawnicy nigdy nie ujawniali nazwisk klientów. Pod tym względem tylko prostytutki sprawiały policji równie wiele kłopotu.

- Jeszcze coś, panie komisarzu?

- Nie. Spotkam się z wdową za... - Brunetti spojrział na zegarek - ...pół godziny. Jeśli dowiem się od niej czegoś istotnego, wrócę do biura; jeśli nie, zobaczymy się jutro rano.

Vianello potraktował te słowa jako znak, że może odejść; schował notes do kieszeni, wstał i wrócił na pierwsze piętro.

Pięć minut później Brunetti opuścił budynek policji, kierując się na Riva degli Schiavoni, gdzie wsiadł do *vaporetto* linii numer jeden. Wysiadł przy Santa Maria del Giglio, skręcił w lewo przy hotelu Ala, przeszedł dwa mosty, zagłębił się w niewielką *calle* prowadzącą do Canale Grande i zatrzymał przy ostatnich drzwiach po lewej. Nacisnął przycisk domofonu obok nazwiska Trevisan, a kiedy rozległo się brzęczenie, pchnął drzwi i ruszył na drugie piętro.

U góry schodów stał w otwartych drzwiach szpakowaty mężczyzna o okazałym brzuchu, ukrytym pod drogim, świetnie skrojonym garniturem.

- Komisarz Brunetti?

- Tak. Pan Lotto?

Mężczyzna skinął głową, ale ręki gościowi nie podał.

- Proszę wejść. Siostra czeka na pana - powiedział takim tonem, jakby Brunetti spóźnił się kilka godzin, mimo iż był trzy minuty przed czasem.

Po obu stronach przedpokoju ciągnęły się lustra, toteż niewielkie pomieszczenie wydawało się pełne sobowtórów. Patrząc na posadzkę wykonaną z lśniących, kwadratowych płytek białego i czarnego marmuru, komisarz miał wrażenie, że on i jego odbicia poruszają się po szachownicy, a to z kolei sprawiło, że zaczął traktować Lotta jak przeciwnika.

- Jestem wielce zobowiązany pani Trevisan, że zechciała się ze mną zobaczyć - rzekł.

- Mówiłem jej, że nie musi - oznajmił szorstko Lotto. - Z nikim nie musi się widzieć.

Taka tragedia.

Widząc jego niechętnie spojrzenie, Brunetti usiłował odgadnąć, czy Lotto ma na myśli tragiczną śmierć szwagra, czy też obecność policjanta w domu, który pogrążony jest w żałobie.

Idąc przodem, Lotto wprowadził Brunettiego do niedużego pokoju po lewej. Komisarz rozejrzał się z zaciekawieniem, ale nie umiał się zorientować, jaką rolę pełni to pomieszczenie: nie było w nim książek ani telewizora, a jedynymi meblami służącymi do siedzenia były cztery ustawione w rogach krzesła. Ciemnozielone zasłony zakrywały dwa okna w jednej ze ścian. Pomiedzy nimi znajdował się okrągły stolik, na którym stał wazon suchych kwiatów. W pokoju nie było nic, co by zdradzało jego funkcję czy charakter.

- Proszę tu poczekać - powiedział Lotto i wyszedł.

Przez chwilę Brunetti stał bez ruchu, po czym podszedł do okna i odciągnął zasłonę. Przed sobą miał Canale Grande, którego powierzchnia migotała w blasku słońca, na lewo zaś Palazzo Dario; złote płytki mozaiki zdobiącej fasadę odbijały blask idący od wody, rozszczepiając go na setki światełek i ciskając z powrotem na gładką taflę. Kanałem płynęły łodzie, wraz z nimi czas.

Wtem Brunetti usłyszał otwierające się drzwi. Odwrócił się, żeby przywitać się z wdową Trevisan, jednakże zamiast niej weszła do pokoju nastolatka o ciemnych włosach opadających na ramiona; na widok komisarza cofnęła się pośpiesznie, zamykając za sobą drzwi. Po kilku minutach drzwi znów się otworzyły, ale tym razem do środka weszła kobieta, na oko czterdziestokilkuletnia, ubrana w prostą czarną sukienkę i buty na wysokich obcasach, dzięki którym niemal dorównywała Brunettiemu wzrostem. Jej twarz była tego samego kształtu co twarz nastolatki, włosy również opadały jej na ramiona i też były ciemne, choć swoją barwę wyraźnie zawdzięczały farbie. Oczy, szeroko osadzone, lśniły inteligencją i - zdaniem Brunettiego - bardziej ciekawością niż od wezbranych łez.

Pani Trevisan przeszła przez pokój i wyciągnęła na powitanie dłoń.

- *Commissario* Brunetti?

- Tak, signora. Bardzo mi przykro, że spotykamy się w takich okolicznościach. Dziękuję, że zechciała mnie pani przyjąć.

- Jestem gotowa uczynić wszystko, co pomoże panu znaleźć mordercę Carla. - Głos miała miękki, słowa wymawiała z przydechem typowym dla Florencji. Rozejrzała się wokół, jakby po raz pierwszy w życiu widziała ten pokój. - Dlaczego Ubaldo wprowadził pana akurat tutaj? - spytała, po czym kierując się w stronę drzwi, rzekła: - Proszę za mną.

Wyszli na korytarz; skręciła w prawo i otworzyła inne drzwi prowadzące do większego pomieszczenia, którego trzy okna wychodziły na Campo San Maurizio oraz na jakiś budynek, prawdopodobnie biurowiec lub bibliotekę. Podeszła do dwóch głębokich foteli, usiadła w jednym, komisarzowi wskazała drugi.

Brunetti usiadł; zamierzał założyć nogę na nogę, ale zdał sobie sprawę, że w niskim fotelu nie będzie mu w takiej pozycji zbyt wygodnie. Umieścił więc łokcie na oparciach i splótł ręce na brzuchu.

- Co chciałby pan wiedzieć, *commissario*? - spytała pani Trevisan.

- Czy na przykład w okresie ostatnich kilku tygodni, a może nawet miesięcy mąż nie wydawał się pani czymś zdenerwowany albo czy jego zachowanie nie zmieniło się w jakiś znaczący sposób?

Kobieta odczekała chwilę, by upewnić się, że skończył i po krótkim zastanowieniu odparła:

- Nie, niczego takiego nie zauważyłam. Carlo zawsze intensywnie pracował. W ciągu ostatnich kilku lat jeszcze bardziej intensywnie niż zwykle, co wynikało ze zmian politycznych, otwarcia się nowych rynków. W ostatnim czasie nie był też bardziej nerwowy niż normalnie; przejmował się swoją pracą, ale robił to zawsze.

- Czy opowiadał pani o jakiejś sprawie, którą gryzł się szczególnie, albo o jakimś niezadowolonym kliencie?

- Nie, właściwie nie.

Brunetti milczał.

- Miał jednego nowego klienta - kontynuowała po chwili wdowa. - Duńczyka, który chciał otworzyć firmę importową, chodziło chyba o sprowadzanie serów i masła, i który miał kłopoty z powodu nowych przepisów EWG. Carlo szukał sposobu, żeby transporty szły przez Francję, nie przez Niemcy. A może odwrotnie. Ale mimo że sprawa ta zajmowała mu wiele czasu, trudno powiedzieć, by spędzała mu sen z powiek.

- A w kancelarii? Jak układały się stosunki męża z podwładnymi? Przyjaźnie? Nie było żadnych zgrzytów, zatargów?

Splotła dłonie i utkwiała w nich wzrok.

- Nie. Nigdy o czymś takim nie wspominał. A jestem pewna, że powiedziałby mi, gdyby tak było.

- Czy to prawda, że był jedynym właścicielem swojej firmy prawniczej? Że inni adwokaci byli tylko etatowymi pracownikami?

- Słucham? - Na jej twarzy odmalowała się niepewność. - Chyba nie zrozumiałam pańskiego pytania.

- Czy pani mąż dzielił się zyskami przynoszonymi przez kancelarię z innymi prawnikami, czy tylko wypłacał im pensje?

Oderwała wzrok od splecionych na kolanach rąk i popatrzyła na komisarza.

- Przykro mi, ale nie znam odpowiedzi. Niewiele wiem o interesach męża. Musi pan porozmawiać z jego księgowym.

- A kto nim jest?

- Ubaldo.

- Pani brat?

- Tak.

- Aha. - Po chwili Brunetti kontynuował: - Muszę też spytać panią o państwa życie prywatne.

- O nasze życie prywatne? - zdziwiła się, jakby słyszała o czymś takim po raz pierwszy. Kiedy Brunetti nic nie powiedział, skinęła przyzwalająco głową.

- Jak długo byli państwo małżeństwem?

- Dziewiętnaście lat.

- Ile ma pani dzieci?

- Dwoje. Claudio ma siedemnaście lat, Francesca piętnaście.

- Czy chodzą do szkoły tu, w Wenecji?

Przyjrzała mu się bacznie.

- Dlaczego pan o to pyta?

- Moja córka, Chiara, ma czternaście lat, więc pomyślałem, że dziewczynki mogą się znać. - Uśmiechnął się, próbując ją przekonać, że pytanie jest całkiem niewinne.

- Claudio uczy się w Szwajcarii, a Francesca tutaj. Mieszka z nami. To znaczy ze mną - poprawiła się, pocierając dłonią czoło.

- Czy określiłaby pani swoje małżeństwo jako szczęśliwe?

- Tak - odparła o wiele szybciej, niż Brunetti odpowiedziałby na to samo pytanie, choć jego odpowiedź też byłaby twierdząca. Pani Trevisan nie uznała jednak za stosowne nic dodać czy wyjaśnić.

- Czy pani mąż miał bliskich przyjaciół lub współpracowników?

Podniosła wzrok, po czym natychmiast spuściła oczy.

- Nasi najbliżsi przyjaciele to Mirto i Graziella Nogare. Mirto jest architektem, mieszkają na Campo Sant' Angelo. Są chrzestnymi Franceski. O współpracownikach nic nie wiem; musi pan zapytać Ubalda.

- A inni przyjaciele, signora?

- Po co panu to wszystko?

- Chcę się dowiedzieć jak najwięcej o pani mężu.

- Po co?

- Dopóki nie zrozumie, jakim był człowiekiem, nie będę wiedział, dlaczego stało się to, co się stało.

- Nie wie pan, dlaczego napadają na ludzi? - Jej ton był prawie sarkastyczny.

- To nie był napad rabunkowy. Ten, kto zastrzelił pani męża, nie chciał go okraść. Chciał go zabić.

- Nikt nie mógł mieć powodu, żeby zabić Carla.

Brunetti, który już nie pamiętał, ile razy słyszał podobne słowa, nie odezwał się. Nagle signora Trevisan wstała.

- Czy ma pan jeszcze jakieś pytania? Jeśli nie, pragnę zostać z córką.

Brunetti podniósł się z fotela i wyciągnął rękę.

- Jeszcze raz dziękuję, że zechciała pani ze mną porozmawiać. Wiem, jaki to trudny okres dla pani i jej rodziny. Życzę sił, żeby mogła go przetrwać. - Miał świadomość, że jego słowa brzmią jak puste frazesy. Ale gdy nie dostrzegła się oznak żałoby, słowa współczucia zawsze brzmią fałszywie.

- Dziękuję, *commissario*. - Wdowa potrząsnęła jego dłonią i skierowała się do drzwi. Otworzywszy je, przepuściła gościa przodem, po czym odprowadziła go korytarzem do drzwi frontowych. Po drodze nie spotkali nikogo.

Brunetti skinął głową na pożegnanie, wyszedł na klatkę schodową i ruszył w dół. Usłyszał trzask zamykanych drzwi. Wydało mu się dziwne, że po blisko dwudziestu latach małżeństwa żona może nic nie wiedzieć o interesach męża. Tym dziwniejsze, że jej brat był jego księgowym. O czym rozmawiali przy rodzinnym stole? O piłce nożnej? Każdy, kogo Brunetti znał, nienawidził prawników. Brunetti też nienawidził prawników. Dlatego nie mógł uwierzyć, aby prawnik, w dodatku znany i zamożny, nie miał wrogów. Zamierzał porozmawiać o tym nazajutrz z Lottem i przekonać się, czy księgowy będzie bardziej skory od siostry do udzielania informacji.

Rozdział 10

Podczas gdy Brunetti przebywał w mieszkaniu mecenasa, niebo się zachmurzyło, a ciepły, pogodny dzień stał się odległym wspomnieniem. Komisarz zerknął na zegarek; ponieważ jeszcze nie minęła szósta, mógł wrócić do gmachu komendy. Zamiast tego jednak skręcił w kierunku mostu Accademia, przeszedł na drugą stronę i ruszył do domu. W połowie drogi wstąpił do knajpki i zamówił mały kieliszek wina. Wziął precelka z miski stojącej na barze, ugryzł, po czym wrzucił resztę do popielniczki. Wino było równie niedobre jak precel, więc zostawił je nie dopite i wyszedł na zewnątrz.

Usiłował sobie przypomnieć wyraz twarzy Franceski Trevisan, kiedy nagle stanęła w drzwiach pokoju, ale zapamiętał wyłącznie jej oczy. Oczy suche, które wyrażały jedynie zaskoczenie. Dziewczyna była podobna do matki i podobnie jak matka nie czuła smutku. Czy spodziewała się wizyty kogoś innego?

Jaka byłaby reakcja Chiary, gdyby jego zabito? Czy Paola byłaby w stanie odpowiadać, gdyby zjawił się policjant i zaczął ją pytać o ich życie prywatne? W każdym razie z całą pewnością nie mogłaby twierdzić, tak jak signora Trevisan, że nic nie wie o sprawach zawodowych zmarłego męża. Ta niewiedza wdowy nie dawała Brunettiemu spokoju; nie potrafił ani przestać o tym myśleć, ani w to uwierzyć.

Kiedy wszedł do mieszkania, radar męża i ojca natychmiast mu obwieścił, że jest puste. Udał się do kuchni; na stole leżały gazety oraz coś, co przypuszczalnie było pracą domową Chiary - kartki z liczbami i znakami matematycznymi, które wydawały mu się czarną magią. Podniósł jedną z kartek pokrytą zgrabnym, nieco pochyłym pismem swojej młodszej latorośli; układało się w ciągi cyfr i znaków stanowiących, jeśli go pamięć nie myliła, równanie kwadratowe. Arytmetyka? Trygonometria? Wzruszył ramionami. Od dawna nie miał z matematyką do czynienia, a co więcej, nigdy nie był nią zbytnio zainteresowany.

Odłożył kartkę i sięgnął po jedną z gazet, w której wiadomości o morderstwie Trevisana konkurowały z materiałem o kolejnym senatorze oskarżonym o branie łapówek. Minęło wiele lat, odkąd sędziego Di Pietro po raz pierwszy wystąpił z formalnym oskarżeniem, a krajem wciąż rządzą łajdacy. Już wszystkim lub prawie wszystkim głównym politykom, którzy zasiadali w rządzie, od kiedy Brunetti był dzieckiem, zarzucano łamanie prawa, czasem wielokrotnie, niektórzy zaczęli nawet denuncjować się nawzajem, ale jeszcze żaden nie stanął przed sądem i nie został skazany, choć kasa państwa była ogołocona do cna. Od

dziesiątek lat trzymali ryje w korycie i nic - ani gniew obywateli, ani fala oburzenia, która przeszła przez kraj - nie było w stanie odsunąć ich od władzy. Brunetti przewrócił stronę i zobaczył zdjęcie dwóch największych nikczemników, garbusa i łysiejącego wieprza, więc z niesmakiem i nienawiścią cisnął gazetę na bok. Nic to nie da, nic się nie zmieni. Sporo wiedział o różnych skandalach, orientował się, gdzie zniknęły pieniądze i pod którym adresem padną wkrótce zarzuty, ale jednego był pewny: nic się nie zmieni. Lampedusa miał rację - wystarczą pozory zmian, aby wszystko mogło pozostać po staremu. Odbędą się wybory, pojawią się nowe twarze i nowe obietnice, ale zmieni się tylko to, że nowe ryje znajdą drogę do koryta, a w dyskretnych szwajcarskich bankach zostaną otwarte nowe konta.

Brunetti znał ten swój nastrój, to powracające uczucie totalnego bezsensu, i bardzo się go lękał. Po co się wysilać, żeby zamknąć chłopaka za włamanie, skoro człowieka, który ukradł miliardy z systemu opieki zdrowotnej, mianuje się ambasadorem w kraju, gdzie przez lata lokował zagrabione pieniądze? I czy na tym polega sprawiedliwość, aby karać grzywną obywatela, który nie uiszczył podatku od radia zamontowanego w samochodzie, a nie karać producenta tego samochodu, człowieka, który otwarcie przyznawał się do zapłacenia miliardów lirów przewodniczącym związków zawodowych, by powstrzymali szeregowych członków przed żądaniem podwyżek? Dlaczego aresztować morderców, dlaczego trudzić się, aby odnaleźć zabójcę Trevisana, skoro najprawdopodobniej człowiek będący przez dziesiątki lat najważniejszym politykiem w kraju wydał polecenie zamordowania kilku uczciwych sędziów, którzy nie bali się prowadzić dochodzenia przeciwko mafii?

Ponure rozmyślenia Brunettiego przerwało wejście Chiary. Dziewczyna zamknęła z hukiem drzwi frontowe, po czym ruszyła korytarzem do swojego pokoju, niosąc naręczę książek. Po chwili wyłoniła się bez nich.

- Cześć, aniołeczku! - zawołał do niej Brunetti. - Masz ochotę coś przekąsić? - Dobrze wiedział, że córka nigdy nie przepuszcza takiej okazji.

- *Ciao, Papa.*

Stała w korytarzu, walcząc z kurtką. Usiłowała oswobodzić ręce z rękawów; w trakcie zmagania udało jej się wyrócić jeden na lewą stronę. Wreszcie wyszarpnęła dłoń i zaczęła przekreślać rękaw na właściwą stronę. Brunetti na moment oderwał wzrok od córki. Kiedy znów na nią spojrzał, a Chiara schylała się, żeby podnieść kurtkę z podłogi.

Po chwili weszła do kuchni i nadstawiła policzek do pocałunku. Brunetti posłusznie ją cmoknął.

Następnie otworzyła lodówkę, zajrzała do środka i wyciągnęła zawinięty w papier trójkątny kawałek sera. Wyjąwszy z szuflady nóż, ucięła sobie gruby plaster.

- Chcesz pieczywa? - zapytał Brunetti, zdejmując leżącą na lodówce torbę z bułkami.

Chiara skinęła głową, więc ubili targ: on dał jej dwie bułki, ona jemu plaster sera.

- Tatusiu, ile policjanci zarabiają za godzinę?

- Nie wiem dokładnie, córeczko. Dostają normalną pensję, ale czasem muszą przepracować znacznie więcej godzin, niż ludzie zatrudnieni w biurze.

- Wtedy, gdy jest dużo przestępstw albo kiedy muszą kogoś śledzić, tak?

- Si. - Wskazał głową ser, więc ukroiła mu jeszcze jeden plaster i podała bez słowa.

- Albo kiedy muszą przez wiele godzin zbierać informacje, przesłuchiwać podejrzanych i tak dalej? - Najwyraźniej jeszcze nie wyczerpała tematu.

- Si - powtórzył; ciekaw był, do czego córka zmierza.

Skończyła drugą bułkę i sięgnęła do torby po trzecią.

- Mama zabije cię, jeśli zjesz całe pieczywo. - Groźba, daremnie powtarzana od lat, zabrzmiała niemal pieszczotliwie.

Puszczając jego słowa mimo uszu, Chiara przekroiła bułkę.

- Ale jak myślisz, ile to wychodzi za godzinę? - zapytała.

Postanowił podać jakąś przybliżoną sumę.

- Pewnie nie więcej niż dwadzieścia tysięcy - rzekł, po czym wiedząc, że tego po nim oczekuje, zapytał: - Dlaczego się tym tak interesujesz?

- Zbierasz informacje o ojcu Franceski, więc trochę o niego popytałam. A skoro wykonuję tę pracę dla policji, powinno mi się płacić za mój czas.

Brunetti zawsze żałował tysiącletniej tradycji kupieckiej mieszkańców Wenecji, kiedy dostrzegał chciwość u swoich dzieci. Milczał. Po chwili Chiara przerwała jedzenie i podniosła wzrok.

- Co ty na to?

- Zależy, czego się dowiedziałas. Policjanci są na etacie i otrzymują pensję; osoby z zewnątrz, pracujące na własny rachunek, otrzymują wynagrodzenie zależnie od wagi zdobytych przez siebie informacji.

Zawahała się, ale w końcu uznała to za logiczne.

- Dobrze. Powiem ci, czego się dowiedziałam, a ty sam ocenisz, ile to warte.

Sposób, w jaki zdołała ominąć zasadniczą kwestię, to znaczy, czy w ogóle gotów jest płacić jej cokolwiek, wywołał u Brunettiego nieklamany podziw; zanim się obejrzał, umowa została zawarta, do ustalenia pozostały tylko szczegóły. No dobrze.

- Mów.

Chiara dokończyła trzecią bułkę, wytarła ręce o ścierkę i z poważną miną usiadła przy stole, opierając na nim łokcie.

- Musiałam porozmawiać z czterema osobami, zanim w ogóle się czegokolwiek dowiedziałam - oświadczyła takim tonem, jakby zeznawała w sądzie. Albo występowała w telewizji.

- Co to za osoby?

- Dziewczyna, która chodzi z Francescą do jednej szkoły, nauczycielka z mojej szkoły, dziewczyna z mojej szkoły i jeszcze jedna dziewczyna, z którą chodziłyśmy obie do podstawówki.

- Dałaś radę pogadać z wszystkimi w ciągu jednego dnia?

- Pewnie. Musiałam się zwolnić z ostatnich lekcji, żeby spotkać się z Lucianą, a potem pójść do szkoły Franceski, żeby pogadać z jej koleżanką, ale z nauczycielką i dziewczyną z mojej szkoły porozmawiałam wcześniej.

- Zwolniłaś się z ostatnich lekcji? - spytał Brunetti, ale wyłącznie z ciekawości.

- Jasne, kupa dzieciaków to robi. Wystarczy mieć usprawiedliwienie od rodziców, że jest się chorym albo musi się gdzieś pójść. Nauczyciele nie robią żadnych trudności.

- Często zwalniasz się z lekcji?

- Och, skądże, tylko kiedy muszę.

- Kto ci napisał usprawiedliwienie?

- Tym razem mama. Była jej kolej. A zresztą jej podpis jest dużo łatwiejszy do podrobienia niż twój. - Zebrała kartki z pracą domową w zgrabny stosik, po czym spojrzała na ojca, gotowa przejść do ważniejszych spraw.

Przysunął sobie krzesło i usiadł naprzeciwko Chiary.

- Czego się dowiedziałas?

- Najpierw, od dziewczyny z mojej szkoły, że jej też Francesca mówiła o porwaniu, tak samo jak pięć lat temu wszystkim w podstawówce.

- Długo chodziłaś z Francesca do jednej szkoły?

- Całą podstawówkę. Potem jej rodzice się przeprowadzili i trafiła do liceum Vivaldiego. Czasem ją widuję, ale nigdy nie byłyśmy kumpelkami ani nic.

- Czy ta dziewczyna, której mówiła o porwaniu, była jej bliską przyjaciółką?

Zobaczył, że Chiara ściąga wargi.

- No dobrze - powiedział. - Opowiedz mi wszystko po swojemu.

Uśmiech rozjaśnił jej twarz.

- Dziewczyna, z którą rozmawiałam w naszej szkole, wcześniej chodziła do liceum z Francescą. Powiedziała mi, że wie od Franceski, że rodzice ostrzegali ją, aby nigdy nie rozmawiała z obcymi i nigdzie nie chodziła z kimś, kogo dobrze nie zna. To mniej więcej to samo, co Francesca mówiła nam w podstawówce.

Chiara spojrzała na ojca, jakby oczekiwała pochwały, więc uśmiechnął się, chociaż na razie nic nowego nie usłyszał.

- Ponieważ już to wszystko wiedziałam, postanowiłam porozmawiać z kimś ze szkoły, w której Francesca uczy się teraz. Dlatego musiałam zwolnić się z lekcji.

Brunetti skinął głową.

- Od koleżanki z jej obecnej szkoły dowiedziałam się, że Francesca ma chłopaka. Prawdziwego chłopaka. Sypiają ze sobą i w ogóle.

- Wiesz, jak się nazywa?

- Chłopak? Nie. Koleżanka powiedziała, że Francesca nikomu nie zdradziła jego imienia, wyjawiała tylko, że jest od niej starszy. Podobno ma dwadzieścia kilka lat. I że chciała z nim uciec, ale on się nie zgodził; muszą poczekać, aż będzie starsza.

- Czy twoja koleżanka wie, dlaczego Francesca chciała uciec?

- Francesca nie powiedziała jej tego wprost, ale koleżanka domyśla się, że przez matkę. Wiecznie się kłóca.

- A ojciec?

- Francesca kochała ojca. Stale powtarzała, jaki jest dla niej dobry, ale prawie nigdy go nie widywała, bo ciągle był zajęty.

- Zdaje się, że ma też brata?

- Tak, nazywa się Claudio, ale uczy się w Szwajcarii. Dlatego rozmawiałam z nauczycielką. Kiedyś pracowała w liceum, do którego chodził, nim wyjechał za granicę. Pomyślałam sobie, że czegoś się od niej dowiem.

- I udało się?

- No pewnie. Powiedziałam jej, że jestem najbliższą przyjaciółką Franceski i że Francesca ogromnie się martwi, jak Claudio zareaguje na wiadomość o śmierci ojca, bo przecież jest sam, w dodatku tak daleko od domu. Powiedziałam, że ja też go znam i też się martwię. Z moich słów mogło wynikać, że się w nim podkochuję. - Potrzęsła głową. - Wszyscy twierdzą, że Claudio to palant, ale belferka mi uwiaryła.

- O co ją zapytałaś?

- Powiedziałam, że Francesca pragnie zasięgnąć jej rady, jak ma się zachowywać wobec Claudia. - Widząc zdumienie malujące się na obliczu ojca, oznajmiła szybko: - Masz

rację, to głupie. Nikt przy zdrowych zmysłach nie radziłby się belfra, ale wiesz, jacy oni są. Uwielbiają się we wszystko wtrącać, doradzać nam, co mamy robić, jak postępować.

- Uwierzyła ci?

- Oczywiście.

- Musisz świetnie kłamać - powiedział półzartem Brunetti.

- Owszem - oznajmiła z powagą Chiara. - Kłamię po mistrzowsku. Mama zawsze uważała, że powinniśmy się tego nauczyć. - Nawet nie spojrzawszy na ojca, wróciła do przerwanej wątku: - Nauczycielka powiedziała, że Francesca powinna nieustannie mieć świadomość... tak właśnie się wyraziła: „powinna nieustannie mieć świadomość”, że Claudio był znacznie bardziej zżyty z ojcem niż z matką, toteż najbliższy okres będzie dla niego niezwykle ciężki. - Skrzywiła się z pogardą. - Wielka mi rada, co? Zajęło jej z pół godziny, zanim wreszcie to z siebie wydusiła.

- A co ci powiedzieli inni?

- Luciana... musiałam jechać aż do Castello, żeby się z nią zobaczyć... no więc Luciana powiedziała mi, że Francesca naprawdę nienawidzi matki; nie cierpi jej za to, że traktuje ojca jak popychadło i wciąż go poucza. Nie lubi też wuja, który podobno uważa się za głowę rodziny.

- Co to znaczy, że matka traktuje ojca jak popychadło?

- Nie wiem. Tak Lucianie mówiła Francesca. Że ojciec we wszystkim słucha się matki. - Zanim Brunetti zdołał cokolwiek powiedzieć, dodała: - To nie tak jak z tobą i mamą. Mama wiecznie mówi ci, co masz zrobić, ty przytakujesz, a potem i tak robisz swoje. - Zerknęła na zegar ścienny. - Swoją drogą, gdzie się mama podziewa? Już dochodzi siódma. Co będzie na kolację? - O wiele bardziej interesowało Chiare to drugie.

- Pewnie coś ją zatrzymało na uczelni. Może doradza jakiemuś studentowi, jak ma się zachować? - I kontynuował, nim córka zdecydowała, czy się roześmiać, czy nie. - Jeśli to już wszystkie informacje, jakie zebrałaś, może wzięlibyśmy się razem za kolację? Wtedy choć raz po przyjściu z pracy mama nie będzie musiała gotować.

- A ile są warte moje informacje? - spytała dziewczyna.

Brunetti zadumał się.

- Trzydzieści tysięcy - uznał wreszcie, gdyż pieniądze miały pochodzić z jego własnej kieszeni. Oczywiście gdyby wiadomość o tym, że signora Trevisan mówiła mężowi, co ma robić, okazała się prawdziwa, a w dodatku gdyby odnosiła się także do jego spraw zawodowych, w rzeczy samej byłaby bezcenna.

Rozdział 11

Nazajutrz w „Gazzettino” ukazał się na pierwszej stronie artykuł o samobójstwie Rina Favera, jednego z najbardziej wziętych księgowych w całym regionie Veneto. Napisano, że Favero wprowadził rovera do podwójnego garażu w podziemiach swojej willi, zamknął drzwi garażu i położył się na przednim siedzeniu, zostawiając włączony silnik. Żona, która spędziła noc w szpitalu przy łóżku umierającej matki, znalazła go rano po powrocie do domu. Krążyły pogłoski, że nazwisko Favera miało być ujawnione w związku z zataczającym coraz szersze kręgi skandalem, o którym szumiało w kuluarach Ministerstwa Zdrowia. Chociaż całe Włochy znały już zarzuty kierowane pod adresem poprzedniego szefa tego resortu - że przyjmował ogromne łapówki od różnych firm farmaceutycznych, w zamian pozwalając im podnosić ceny leków - mało kto orientował się, iż to właśnie Favero był księgowym prowadzącym prywatne sprawy finansowe dyrektora największej z tych firm. Lepiej poinformowani uznali, że postanowił pójść w ślady tylu innych, których nazwiska padały w trakcie ujawniania coraz to nowszych nici rozległej pajęczyny korupcji, i dla ratowania honoru samemu zejść ze sceny, unikając oskarżeń, procesu, ewentualnej kary. Nikt nie kwestionował przekonania, czy tym sposobem faktycznie ratuje się honor.

Trzy dni po śmierci Favera, a więc pięć po zabójstwie Trevisana, Brunetti wchodził do gabinetu, kiedy zadzwonił telefon.

- Brunetti - powiedział komisarz, w jednej ręce trzymając słuchawkę, drugą rozpinając płaszcz.

- *Commissario* Brunetti, mówi *capitano* della Corte z komendy policji w Padwie.

Brunettiemu nazwisko kapitana obilo się o uszy; nie pamiętał nic konkretnego, ale miał wrażenie, że to, co słyszał, świadczyło na jego korzyść.

- Dzień dobry, *capitano*. O co chodzi?

- Ciekawi mnie, czy nazwisko Favera wypłynęło w związku ze sprawą morderstwa w pociągu, którą pan prowadzi.

- Favera? Tego księgowego, który popełnił samobójstwo?

- Samobójstwo? - zdziwił się della Corte. - Facet miał cztery miligramy roipnalu we krwi.

Brunetti nadstawił ucha. Nikt po zażyciu takiej ilości środka nasennego nie tylko nie byłby zdolny prowadzić samochodu, ale nawet chodzić.

- Co łączyło Favera z Trevisanem? - spytał.

- Nie wiemy. Ale sprawdziliśmy wszystkie numery w kalendarzyku Favera. To znaczy wszystkie, przy których nie widniało jakieś nazwisko. Jeden z nich to numer Trevisana.

- Macie już wykaz? - Nie musiał wyjaśniać, że chodzi mu o wykaz numerów, pod które dzwoniło z telefonu księgowego.

- Tak. Wygląda na to, że Favero nigdy nie dzwonił ani do domu, ani do kancelarii Trevisana; przynajmniej nie od siebie.

- Więc po co mu ten numer? - spytał Brunetti.

- Sami się nad tym zastanawiamy - odparł sucho della Corte.

- Ile było jeszcze numerów bez nazwisk?

- Osiem. Jeden to numer knajpy w Mestre, drugi automatu na stacji w Padwie, a pozostałych nie ma.

- Jak to nie ma?

- Po prostu. Nie ma w Veneto takich numerów.

- A w innych regionach, w innych miastach?

- Sprawdziliśmy. Też się nic nie zgadza.

- Może to numery zagraniczne?

- Najwyraźniej.

- Czy po pierwszych cyfrach nie można się zorientować, o jakie kraje chodzi?

- Można. Dwa są skądś w Europie Wschodniej, dwa kolejne z Ekwadoru lub Tajlandii.

Pozostałe wciąż stanowią dla nas zagadkę - rzekł della Corte. - W każdym razie Favero nie dzwonił pod żaden z numerów, przy których brakuje nazwiska, ani pod krajowe, ani pod zagraniczne.

- Ale miał je zapisane w kalendarzyku.

- No właśnie.

- Mógł dzwonić z automatu.

- Owszem.

- A inne rozmowy międzynarodowe? Często dzwonił do jakiegoś kraju?

- Często dzwonił do wielu krajów.

- Do zagranicznych klientów? - spytał Brunetti.

- Do klientów też. Ale wiele numerów, pod które dzwonił za granicę, nie należało do jego klientów.

- O jakich krajach mówimy?

- O Austrii, Holandii, Dominikanie... Chwileczkę, wezmę listę. - Stuknęła odkładana słuchawka, zaszeleściły papiery i po chwili znów rozległ się głos kapitana: - Ponadto o Rumunii i Bułgarii.

- Często tam dzwonił?

- Czasami dwa razy na tydzień.

- Pod te same numery?

- Zwykle, ale nie zawsze.

- Udało się ustalić, do kogo należą?

- Numer austriacki do agencji podróży w Wiedniu.

- A pozostałe?

- *Commissario*, nie wiem, jak dobrze zna pan Europę Wschodnią, ale często nie mają tam książek telefonicznych, a biura numerów nie dysponują aktualnym wykazem abonentów.

- Zwracał się pan do miejscowej policji?

Della Corte tylko prychnął pogardliwie.

- A dzwonił pan pod te numery? - ciągnął Brunetti.

- Tak. Nikt się nie zgłasza.

- Pod żadnym?

- Pod żadnym.

- A co z telefonami na stacji i w Mestre?

Najpierw znów się rozległo prychnięcie, po czym della Corte wyjaśnił:

- I tak miałem szczęście, że pozwolono mi je zlokalizować. - Milczał tak długo, że Brunetti domyślił się, iż zaraz go o coś poprosi. - Ponieważ to pańska okolica, pomyślałem sobie, że może pan mógłby komuś zlecić, aby miał oko na telefon w knajpie.

- Gdzie dokładnie jest ta knajpa? - spytał Brunetti, podnosząc z biurka długopis, ale nie składając żadnych obietnic.

- Czy to znaczy, że wysłał pan tam kogoś?

- Spróbuję - odparł komisarz; zaręczyć nie mógł. - W jakiej części Mestre?

- Mam tylko nazwę i adres. Za słabo znam Mestre, żeby się orientować.

Według Brunettiego, Mestre było zbyt nudnym i nijakim miastem, aby warto było je poznawać.

- To bar Pinetta - kontynuował della Corte. - Mieści się na Via Figare, pod numerem szesnastym. Wie pan, gdzie to jest?

- Zdaje się, że w pobliżu stacji. Ale baru o tej nazwie nie znam. - Brunetti uznał, że ma prawo dowiedzieć się czegoś więcej, skoro zgodził się pomóc rozmówcy. - Ma pan jakiś pomysł, co mogło ich łączyć?

- Słyszał pan o aferze w przemyśle farmaceutycznym?

- Kto by nie słyszał! Sądzi pan, że obaj byli jakoś w to zamieszani?

- Taka możliwość istnieje - odparł della Corte. - Na początek chcemy jednak sprawdzić wszystkich klientów Favera. Pracował dla bardzo wielu ludzi z regionu Veneto.

- Ważnych ludzi?

- Bardzo ważnych. W ostatnich latach nie nazywał się już „księgowym”, lecz „doradcą finansowym”.

- Dobry był?

- Podobno najlepszy.

- Więc pewnie umiał wypełnić formularz podatkowy. - Brunetti miał nadzieję, że ten żart pozwoli mu nawiązać nieco bardziej osobisty kontakt z della Cortem. Włosi nie darzyli sympatią urzędów podatkowych, ale tego roku, kiedy formularz podatkowy przekroczył trzydzieści stron i sam minister finansów przyznał, że nie potrafi go wypełnić, bo nie rozumie wskazówek, niechęć sięgnęła szczytu.

Della Corte zaklął szpetnie pod nosem. Choć wiązanka, którą rzucił, nie pozostawiła najmniejszych wątpliwości co do uczuć, jakimi darzy urząd podatkowy, nie zmieniła też charakteru rozmowy na bardziej przyjacielską.

- Tak, pewnie bez trudu by się uporał. Niech mi pan wierzy, inni księgowi pozieleniliby z zazdrości, gdyby zobaczyli listę jego klientów.

- Czy była wśród nich Medi-Tech? - spytał Brunetti, wymieniając największą z firm zamieszanych w aktualny skandal z cenami leków.

- Nie. Wygląda na to, że nie miał nic wspólnego z zamówieniami, które firma dostawała z ministerstwa. Zarządzał tylko prywatnymi finansami dyrektora.

- Czyli nie był zamieszany w skandal? - zdziwił się Brunetti.

- Na razie nic na to nie wskazuje.

- Wobec tego czy istnieje jakiś inny powód jego... - Brunetti odrzucił już myśl o samobójstwie - ...jego śmierci?

Della Corte milczał przez chwilę.

- Niczego nie odkryliśmy - rzekł w końcu. - Facet był żonaty od trzydziestu siedmiu lat, pożycie układało mu się szczęśliwie. Czoro dzieci, wszystkie po studiach, z żadnym nie było kłopotów.

- A więc morderstwo?

- Prawdopodobnie.

- Powiadomicie prasę?

- Nie, dopóki nie będziemy mieli więcej informacji albo dopóki jakiś dziennikarz sam nie dowie się o wynikach sekcji - odparł della Corte; z jego tonu wynikało, że postara się temu zapobiec.

- A jeśli wiadomość przeniknie jednak do gazet? - Brunetti z niechęcią odnosił się do prasy; jego zdaniem dziennikarze zawsze przekreślali fakty.

- Wtedy zacznę się martwić - oświadczył szorstko della Corte. - Da mi pan znać, jak się czegoś dowie o tej knajpie?

- Jasne. Mam dzwonić na komendę?

Della Corte podał mu bezpośredni numer do swojego gabinetu.

- Ale jeśli ktoś inny podniesie słuchawkę, proszę nie przekazywać żadnych informacji, dobrze?

- W porządku - zgodził się Brunetti, lecz prośba wydała mu się dziwna.

- Zadzwoń do pana, jeśli trafię w papierach na nazwisko Trevisana. Może uda się panu ustalić, co mogło ich łączyć. Bo sam numer w kalendarzyku to diabelnie mało.

Brunetti przyznał kapitanowi rację, uważał jednak, że lepsze to niż nic, tym bardziej że w wypadku zabójstwa Trevisana nie mieli absolutnie żadnych tropów.

Della Corte pożegnał się szybko, jakby odwołano go do pilniejszych spraw.

Brunetti odłożył słuchawkę i oparł się wygodnie, dumając nad tym, co mogło łączyć weneckiego prawnika i księgowego z Padwy. Obaj należeli do tych samych kręgów towarzyskich i zawodowych, więc nic dziwnego, że się znali albo że jeden miał zapisany numer drugiego. Dziwne było to, że przy numerze nie figurowało nazwisko i że był zapisany obok dwóch numerów telefonów znajdujących się w miejscach publicznych oraz kilku nie zidentyfikowanych numerów zagranicznych. Jeszcze dziwniejsze było to, że numer Trevisana widniał w kalendarzyku człowieka, który zginął w tym samym tygodniu co on.

Rozdział 12

Brunetti połączył się z panią Elettrą i zapytał, czy SIP zareagował już na jego prośbę, aby dostarczyć wykaz połączeń telefonicznych Trevisana z ostatniego półrocza; w odpowiedzi usłyszał, że wczoraj położyła mu na biurku nadesłane materiały. Zaczął nerwowo przeglądać papiery, odsuwając na bok kwestionariusze na temat pracy podwładnych, które powinien był wypełnić dwa tygodnie temu, a także list od znajomego, z którym pracował w Neapolu; list zbyt ponury, aby chciał go czytać ponownie i odpisywać.

Wreszcie znalazł przesyłkę z SIP, dużą żółtą kopertę, w której mieściło się piętnaście stron komputerowych wydruków. Przesunął wzrokiem po pierwszej stronie; zobaczył, że są na niej wynotowane tylko numery zamiejscowe, z którymi Trevisan łączył się z biura i z domu. Każdy rząd zaczynał się od numeru kierunkowego miasta, a przy połączeniach zagranicznych od numeru kierunkowego kraju; dalej podany był numer telefonu abonenta, godzina, o której nastąpiło połączenie, oraz czas trwania rozmowy. Po prawej stronie kartki widniała informacja, jakim miejscowościom i krajom odpowiadają poszczególne numery kierunkowe. Przejrzawszy pobieżnie wydruki, Brunetti przekonał się, że zawierają wyłącznie numery, pod które Trevisan dzwonił; nie było wykazu numerów abonentów dzwoniących do mecenasa. Może o taki wykaz należało wystąpić oddzielnie, może SIP potrzebował więcej czasu na jego sporządzenie, a może wymyślono jakąś nową biurokratyczną procedurę, aby opóźnić dostarczanie tego rodzaju informacji i należało uzbroić się w cierpliwość.

Komisarz powiódł okiem po numerach kierunkowych miast wypisanych po prawej. Początkowo nie dostrzegł żadnej prawidłowości; dopiero studiując czwartą stronę stwierdził, że Trevisan - albo ktoś korzystający z telefonu mecenasa - łączył się w miarę regularnie, przynajmniej dwa, trzy razy w miesiącu, z trzema numerami w Bułgarii. A także na Węgrzech i w Polsce. Brunetti pamiętał, że della Corte wymienił tylko pierwszy z tych krajów. W wykazie widniały też połączenia z Francją i Anglią, zapewne związane z pracą kancelarii. Dominikana ani razu nie figurowała w wykazie, natomiast rozmowy z Austrią i Holandią, które to kraje della Corte również wymienił, miały miejsce stosunkowo rzadko.

Nie wiedząc, jak często prawnicy załatwiają sprawy przez telefon, Brunetti nie orientował się, czy wykaz zawiera więcej czy mniej rozmów międzynarodowych, niż powinien.

Zadzwoił do centrali i poprosił o połączenie z numerem della Cortego. Kiedy kapitan podniósł słuchawkę, Brunetti najpierw się przedstawił, a potem spytał o numery w Padwie i Mestre zanotowane w kalendarzyku Favera.

Della Corte natychmiast mu je podał.

- Mam wykaz rozmów Trevisana, ale tylko zamiejscowych, więc numer w Mestre nie będzie tu figurował - rzekł Brunetti. - Chce pan poczekać, aż sprawdzę ten drugi?

- Niech pan spyta, czy chcę umrzeć w ramionach szesnastolatki. Odpowiedź będzie ta sama.

Uznawszy to za „tak”, Brunetti zaczął przesuwać wzrokiem po wykazie, zatrzymując się, ilekroć trafiał na 049, kierunkowy Padwy. Na pierwszych trzech stronach numer automatu na stacji nie figurował; pojawił się jednak na stronie piątej, potem znów na dziewiątej. Potem długo nic i wreszcie na stronie czternastej. Pod numer stacji dzwoniło trzykrotnie w ciągu jednego tygodnia.

Kiedy Brunetti poinformował o tym della Cortego, kapitan zareagował cichym gwizdnięciem.

- No, no! Chyba muszę wysłać kogoś, żeby miał ten automat na oku.

- A ja wyślę kogoś do tej knajpy w Mestre - powiedział Brunetti; coraz bardziej zależało mu na tym, aby dowiedzieć się, co to za knajpa, kim są jej bywalcy, a także by otrzymać listę miejscowych rozmów prowadzonych z telefonów Trevisana i przekonać się, czy figuruje na niej numer baru Pinetta.

Wieloletnia praca w policji i ponure doświadczenia pozbawiły Brunettiego wiary w istnienie przypadku. To, że dwóch ludzi zamordowanych w odstępnie kilku dni znało ten sam numer telefonu, nie mogło być zbiegiem okoliczności, statystyczną ciekawostką, którą komentuje się ze zdziwieniem, a potem o niej zapomina. Numer automatu w Padwie na pewno miał jakieś znaczenie, choć Brunetti nie wiedział jeszcze jakie; gotów jednak był się założyć, że numer baru Pinetta będzie figurował w wykazie miejscowych rozmów Trevisana.

Obiecał della Cortemu, że da mu znać, jak tylko dowie się czegoś o knajpie w Mestre, po czym nacisnął na widelki, żeby się rozłączyć. Po chwili wykręcił wewnętrzny do Vianella. Kiedy sierżant podniósł słuchawkę, polecił mu przyjść do swojego gabinetu.

Vianello zjawił się po kilku minutach.

- Chodzi o Trevisana? - spytał z zaciekawieniem.

- Tak. Właśnie rozmawiałem z komendą w Padwie na temat Rina Favera.

- Tego księgowego, który pracował dla Ministerstwa Zdrowia?

Brunetti skinął głową.

- Najlepiej by było, gdyby oni wszyscy zrobili to samo! - powiedział z nagłą pasją sierżant.

Brunetti spojrzał na niego zaskoczony.

- To znaczy? - zapytał.

- Żeby się pozabijali, cholerna banda łobuzów! - Gniew sierżanta wyparował równie szybko, jak się pojawił, i po chwili Vianello, zupełnie spokojny, usiadł na krześle stojącym przed biurkiem przełożonego.

- Skąd ta złość? - spytał Brunetti.

Vianello, zamiast odpowiedzi, wzruszył ramionami i wykonał ręką nieokreślony gest. Brunetti czekał.

- Przez wstępniak w dzisiejszym „Corriere” - wyznał w końcu sierżant.

- Co napisali?

- Że trzeba współczuć biedakom, których wstyd i cierpienie... cierpienie przysparzane im oczywiście wymiar sprawiedliwości... popycha do odebrania sobie życia. Że sędziowie powinni wypuścić ich z aresztu, pozwolić im wrócić do żon i rodzin. I dalej w tym stylu. Chciało mi się rzygać, kiedy to czytałem.

Brunetti nic nie powiedział.

- Kiedy ktoś wyrwie kobiecie torebkę i trafi do więzienia - kontynuował sierżant - nie pojawiają się w prasie artykuły, a w każdym razie nie w „Corriere”, błagające o zwolnienie przestępcy i przekonujące nas, jak bardzo powinniśmy mu współczuć. A przecież jeden Bóg wie, ile te świny nakradły. Pańskie podatki. Moje. Miliardy, tysiące miliardów. - Uświadomiwszy sobie, że mówi podniesionym głosem, Vianello znów wykonał w powietrzu ten sam nieokreślony gest, jakby ruchem ręki usiłował odsunąć od siebie gniew, po czym zapytał, znacznie spokojniejszym tonem: - Co z Faverem?

- Nie popełnił samobójstwa - oznajmił Brunetti.

Vianello wyraźnie się zdziwił.

- Co się stało? - spytał, zapominając o swoim wybuchu.

- Miał w sobie tyle barbituranów, że nie byłby w stanie prowadzić samochodu.

- Ile?

- Cztery miligramy - rzekł Brunetti i zanim Vianello zdążył zaprotestować, że to wcale nie tak dużo, dodał: - Roipnalu.

Sierżant wiedział równie dobrze jak komisarz, że była to wystarczająca dawka, aby każdy z nich spał jak zabity przez półtora dnia.

- Jaki ma to związek ze sprawą Trevisana? - spytał.

Podobnie jak Brunetti, Vianello dawno przestał wierzyć w przypadki, więc z uwagą wysłuchał opowieści o numerze telefonu, z którym łączyli się obaj zamordowani.

- Automat na stacji w Padwie? - upewnił się. - A drugi numer to knajpa na Via Fagare?

- Tak, bar Pinetta. Znasz go?

Vianello spojrział w bok, po czym pokiwał głową.

- Chyba tak, jeśli to ten, o którym myślę. Na lewo od stacji?

- Nie mam pojęcia. Wiem, że znajduje się w pobliżu stacji, ale to wszystko.

- Bar Pinetta? Tak, chyba znam.

Brunetti skinął głową i czekał, co sierżant dalej powie.

- Dość obskurny. Klientela głównie z północnej Afryki. Ci, co to do każdego mówią *vous compras*. Roi się od nich w mieście.

Vianello zamilkł na moment. Brunetti spodziewał się, że zaraz usłyszy jakąś pogardliwą uwagę na temat ciemnoskórych przybyszów handlujących bez pozwolenia na każdym rogu w Wenecji, sprzedających podrabiane torby od Gucciego i afrykańskie rzeźby. Ale Vianello, ku jego zaskoczeniu, powiedział tylko:

- Biedaczyska.

Komisarz dawno pogodził się z brakiem logiki i konsekwencji w wypowiedziach politycznych swoich współobywateli, mimo to nigdy by nie oczekiwał sympatii ze strony sierżanta dla napływowych handlarzy ulicznych, najbardziej znienawidzonych z setek tysięcy imigrantów, którzy przybywali w nadziei pożywienia się okruchami spadającymi z suto zastawionego włoskiego stołu. A jednak Vianello, który nie tylko głosował na Lega Nord, ale również upierał się, że Włochy powinny zostać podzielone na dwa kraje, granica zaś powinna przebiegać tuż na północ od Rzymu - kiedy się zaperzył, domagał się nawet wzniesienia muru w celu powstrzymania Afrykańczyków, barbarzyńców, a za takich uważał wszystkich mieszkających na południe od Rzymu - otóż ten Vianello nazywał handlarzy „biedaczyskami”, jakby im rzeczywiście współczuł.

Chociaż Brunetti mocno się zdziwił, nie zamierzał w tej chwili roztrząsać tematu.

- Mamy kogoś, kto mógłby tam zajrzeć wieczorem?

- Co musiałby robić? - zapytał Vianello, podobnie jak komisarz mało skory do rozmowy o imigrantach.

- Napić się. Pogadać z ludźmi. Zobaczyć, kto dzwoni z automatu. Kto go odbiera.

- Chodzi panu o kogoś, kto nie przypomina gliny?

Brunetti przytaknął.

- Pucetti? - zaproponował sierżant.

Komisarz potrząsnął głową.

- Za młody.

- Fakt. Zjedliby go.

- To musi być przemile miejsce.

- Wolałbym tam nie wchodzić bez broni - przyznał Vianello, po czym oznajmił takim tonem, jakby dopiero teraz przyszło mu to do głowy: - Najbardziej nadawałby się Topa.

Sierżant Topa pół roku temu przeszedł na emeryturę po trzydziestu latach pracy w policji. Naprawdę miał na nazwisko Romano, ale nikt go tak nie nazywał od ponad pół wieku, czyli od czasu kiedy był małym, okrągłutkim brzdącem i wyglądał jak myszka, do czego właśnie nawiązywało jego przezwisko. Nawet gdy dorósł, a klatka piersiowa tak mu spoteźniała, że musiał nosić mundury szyte na miarę, przezwisko pozostało - choć absurdalne, na stałe do niego przyłgnęło. I nikt sobie z tego nie żartował. Podczas trzydziestu lat służby wiele osób usiłowało zrobić Topie krzywdę, ale nikt nie miał odwagi się z niego wyśmiewać.

Kiedy Bruhetti nie zareagował, Vianello podniósł wzrok, po czym szybko odwrócił spojrzenie.

- Wiem, o czym pan myśli, *commissario* - rzekł i zanim Brunetti miał czas coś powiedzieć, dodał: - Ale przecież nie będzie pracować dla nas, przynajmniej oficjalnie. Po prostu odda nam drobną przysługę.

- Zaglądając do baru?

Vianello skinął głową.

- Nie podoba mi się ten pomysł - oznajmił Brunetti.

- Przecież każdy emeryt może tam wejść, żeby się napić i pograć w karty. - A ponieważ komisarz milczał, zapytał: - Emerytowany policjant też może wstąpić do baru na kieliszek i partyjkę, jeśli ma ochotę, prawda?

- Tego właśnie nie wiem.

- Czego?

- Czy będzie miał ochotę - wyjaśnił Brunetti.

Żaden z nich nie widział sensu, aby wspominać o wydarzeniu, które spowodowało wcześniejsze przeniesienie Topy na emeryturę. Rok temu Topa aresztował dwudziestotrzyletniego syna jednego z radnych miejskich za molestowanie ośmioletniej dziewczynki. Aresztowanie nastąpiło późnym wieczorem, w domu młodego człowieka; kiedy został doprowadzony na komendę, miał złamaną lewą rękę i nos. Topa twierdził, że

podejrzany zaatakował go, usiłując zbiec; podejrzany oświadczył, że Topa wciągnął go w ciemny zaułek i pobił.

Funkcjonariusz pełniący tego dnia dyżur na komendzie daremnie próbował opisać spojrzenie, jakim Topa przeszył podejrzanego, gdy ten zaczął opowiadać swoją wersję. Młody człowiek nigdy jej nie powtórzył ani też nie wniósł oficjalnej skargi. Jednakże tydzień później *vice-questore* Patta przekazał Topie wiadomość, że oczekuje jego rezygnacji, i sierżant chcąc nie chcąc przeszedł na emeryturę, choć oznaczało to, że będzie otrzymywał świadczenia w sporo niższym wymiarze. Zboczeńca skazano na dwa lata aresztu domowego. Nikt nie słyszał, aby Topa, który miał jedną wnuczkę, dziewczynkę w wieku siedmiu lat, kiedykolwiek wypowiadał się na temat kary, czy też komentował swoje przejście na wcześniejszą emeryturę oraz związane z tym okoliczności.

- Mam z nim porozmawiać? - spytał Vianello.

Brunetti wahał się przez chwilę, po czym rzekł, jakby z przymusem:

- No dobrze.

Vianello skrył uśmiech.

- Wraca z pracy dopiero o ósmej. Zadzwoń do niego wieczorem.

- Z pracy? - zdziwił się Brunetti; wiedział, że nie powinien o nic pytać. Zgodnie z prawem emerytom nie wolno było podejmować zatrudnienia, jeśli nie chcieli utracić świadczeń.

- Tak - potwierdził sierżant i na tym poprzestał. - Czy to już wszystko? - Wstał.

Brunetti pamiętał, że Vianello i Topa byli partnerami przez ponad siedem lat i że Vianello chciał odejść z policji, kiedy Topę zmuszono do przejścia na emeryturę; pozostał tylko dzięki żarliwym argumentom komisarza. Brunetti nie uważał, by Topa zasługiwał na tak szlachetny gest w jego obronie.

- Tak, wszystko. Czy po drodze mógłbyś poprosić, żeby signorina Elettra ponownie skontaktowała się z SIP i spróbowała zdobyć wykaz miejscowych rozmów Trevisana?

- Pinetta to nie jest lokal, do jakiego dzwoni wzięty międzynarodowy prawnik - zauważył Vianello.

Nie jest to też lokal, do jakiego powinien dzwonić wzięty księgowy, pomyślał Brunetti, ale zachował tę uwagę dla siebie.

- Nie zaszkodzi sprawdzić - rzekł.

Vianello odczekał jeszcze moment, po czym wyszedł na korytarz, zostawiając komisarza, by w samotności mógł się oddawać spekulacjom, zastanawiając, z jakiego powodu

bogaci, więci ludzie interesów dzwonią pod numery aparatów telefonicznych znajdujących się w miejscach publicznych, zwłaszcza w knajpach tak obskurnych jak bar Pinetta.

Rozdział 13

Tego wieczoru kolację ożywiła - Brunetti nie znalazł na to bardziej łagodnego określenia - gwałtowna sprzeczka między Chiarą a jej matką, która wpadła w gniew, kiedy usłyszała, że po szkole córka poszła odrabiać lekcje z matematyki do koleżanki będącej najbliższą przyjaciółką Franceski Trevisan.

Zanim Chiara zdołała powiedzieć cokolwiek więcej, Paola uderzyła dłonią w stół.

- Nie zamierzam mieszkać pod jednym dachem ze szpiclem! - zawołała.

- Nie jestem szpiclem - odparła ostrym tonem Chiara. - Pracuję dla policji. - Zwróciła się do Brunettiego, pewna, że potwierdzi jej słowa. - Prawda, tatusiu?

Zamiast odpowiedzieć, Brunetti wyciągnął rękę po niemal opróżnioną butelkę pinot noir.

- No, powiedz! - zażądała Chiara.

- Nieważne, czy pracujesz dla policji, czy nie - oświadczyła matka. - Nie można wyciągać informacji od przyjaciół.

- Przecież tatuś zawsze wyciąga informacje od przyjaciół. Czy to znaczy, że też jest szpiclem?

Brunetti pociągnął łyk wina, patrząc nad kieliszkiem na żonę; ciekaw był, co odpowie. Paola spojrzała na niego, po czym rzekła do Chiary:

- Różnica polega na tym, że kiedy twój tata pyta o coś przyjaciół, oni mają świadomość, z kim rozmawiają i wiedzą, że może chcieć wykorzystać udzielone mu informacje.

- Moje przyjaciółki też wiedzą, kim jestem, więc też powinny się domyślić, dlaczego zadaję im pytania - odparła Chiara; jej policzki powoli stawały się coraz czerwieńsze.

- To wcale nie to samo i dobrze o tym wiesz - stwierdziła Paola.

Chiara mruknęła coś pod nosem; Brunettiemu zdało się, że „Gadaj sobie”, ale nie był pewien, ponieważ schyliła nisko głowę nad pustym talerzem.

Paola odwróciła się do męża.

- Guido, czy mógłbyś wytłumaczyć swojej córce, na czym polega różnica? - Jak zwykle podczas domowych awantur, Paola, zachowując się niczym obojętna na swoje potomstwo przedstawicielka myszowatych, wyparła się macierzyństwa i przerzuciła na barki ojca ciężar zasadniczej rozmowy z dzieckiem.

- Mama ma rację - rzekł. - Ludzie, których przesłuchuję, wiedzą, że jestem policjantem. Zdają sobie sprawę, że zależnie od tego, co mi powiedzą, mogą być pociągnięci do odpowiedzialności, więc bardzo uważają.

- A nie wydobywasz od nich wiadomości podstępem? - zapytała Chiara. - Albo przynajmniej nie próbujesz?

- Na pewno mi się zdarzyło - przyznał. - Ale pamiętaj, że to, co ludzie mówią tobie, nie ma żadnej wartości prawnej. Zawsze mogą wycofać się z zeznań, twierdzić, że nic takiego nie mówili, a wtedy nie wiadomo, komu sąd da wiarę.

- Dlaczego miałabym kłamać?

- A dlaczego oni mieliby kłamać? - zaripostował Brunetti.

- Co za różnica, komu sąd uwierzy?! - zapytała gniewnie Paola, ponownie włączając się do dyskusji. - Nie chodzi o kwestie prawne, tylko o nadużycie zaufania. A także, jeśli osoby tu obecne pozwolą mi na użycie tego słowa... - popatrzyła kolejno na męża i córkę - ...o honor.

Chiara, jak zauważył Brunetti, zrobiła znudzoną minę, jakby chciała powiedzieć: „Mama znów zaczyna swoje”, po czym spojrzała na niego, oczekując moralnego wsparcia; bezskutecznie.

- Honor? - spytała w końcu.

- Tak, honor - rzekła Paola, już całkiem opanowana, choć wcale przez to nie mniej groźna jako przeciwniczka. - Nie można wyciągać informacji od przyjaciół. Nie można ciągnąć ich za język, żeby posłużyć się tym, co powiedzą, przeciwko nim samym.

- Przecież nic, co mi powiedziała Suzanna, nie może być użyte przeciwko niej! - oburzyła się Chiara.

Paola zamknęła na moment oczy, potem wzięła kawałek chleba i zaczęła go kruszyć w palcach, co zwykle robiła, kiedy była zdenerwowana.

- Posłuchaj, moje dziecko. Nieważne jest, czy to, co ci powiedziała, zostanie wykorzystane w jakikolwiek sposób, czy nie. Po prostu pod żadnym względem... żadnym, ale to żadnym, nie wolno nam pytać o coś przyjaciół, po czym powtarzać ich wypowiedzi innym osobom ani robić z ich słów jakiegokolwiek użytku. Zwłaszcza jeśli rozmawiając z nami byli nieświadomi naszych zamiarów. W ten sposób nadużywamy ich zaufania.

- Mówisz tak, jakby to było przestępstwem.

- To coś gorszego niż przestępstwo! - oświadczyła Paola. - To rzecz moralnie naganna.

- A przestępstwo nie jest? - wtrącił Brunetti, od pewnego czasu kibicujący w milczeniu rozmowie.

Paola natychmiast na niego naskoczyła.

- Guido, albo mi się śniło, albo w tym mieszkaniu przebywało w zeszłym tygodniu trzech hydraulików, którzy pracowali przez dwa dni. Czy masz *ricevuto fiscale* na wykonane przez nich prace? A jak nie, to czy wierzysz, że uiszczą podatek od sumy, którą im zapłaciłeś?

- Ponieważ nie odezwał się, zapytała ponownie: - To co, wierzysz? Milczał.

- Więc mamy do czynienia z przestępstwem, Guido - kontynuowała - ale niech mi tylko ktoś spróbuje wmówić, ty czy ktokolwiek z tego rządu wieprzy i złodziei, że jest to postępek moralnie naganny.

Brunetti znów sięgnął po butelkę, lecz była już pusta.

- Mało ci? - spytała Paola.

Zdawał sobie sprawę, że nie chodzi jej o wino. Właściwie nie miał ochoty wysłuchiwać dalszych tyrad, ale wiedział z długiego doświadczenia, że skoro już raz znalazła się na mównicy, nie zejdzie z niej, dopóki nie skończy. Żałował, że wypił już całe wino. Wtem kątem oka dostrzegł, że Chiara wstaje z krzesła i podchodzi do kredensu. Po chwili wróciła, przynosząc dwa kieliszki i butelkę grappy, którą postawiła na stole i przesunęła w jego stronę. Paola mogła nazywać córkę jak chciała - zdrajcą, szpiclem, potworem - jednakże dla niego mała była aniołem.

Nalał sobie kieliszek grappy, pociągnął łyk i westchnął. Zauważył, że żona przygląda się Chiarze uważnie i że jej spojrzenie łagodnieje.

Paola sięgnęła po butelkę, też nalała sobie kieliszek i umoczyła w nim usta. Rozejm został zawarty.

- Przepraszam. Nie chciałam na ciebie krzyżeć - powiedziała do córki.

- Ale krzyczałaś. - Chiara nie zamierzała jej odpuścić.

- Wiem. Przepraszam. - Paola znów napiła się grappy. - Po prostu mam zdecydowaną opinię na ten temat.

- Pewnie przez te wszystkie książki, co? - spytała Chiara takim tonem, jakby uważała, że praca matki jako wykładowczynie literatury angielskiej wywiera zgubny wpływ na jej rozwój moralny. Ale w głosie córki, ku zaskoczeniu rodziców, nie było śladu sarkazmu czy pogardy, jedynie bezbrzeżne zdziwienie.

- Pewnie tak - przyznała Paola. - Pisarze, którymi się zajmuję, wiedzieli, co to honor, i wysoko go cenili. - Na moment zamilkła, zastanawiając się nad własnymi słowami. - Zresztą

nie tylko oni. W tamtych czasach wszyscy cenili takie wartości, jak honor, dobre imię, dotrzymywanie danego słowa.

- Wiesz, mamusiu, ja też sądzę, że to są ważne rzeczy - powiedziała Chiara; nagle wydała im się dużo młodsza, niż była w rzeczywistości.

- Wiem, kochanie. Ty, ja, Raffi i wasz ojciec myślimy podobnie. Ale świat, który nas otacza, nie przywiązuje już wagi do tych spraw.

- Dlatego tak bardzo lubisz książki?

Paola uśmiechnęła się i - co Brunetti spostrzegł z ulgą - zeszła z mównicy, zanim udzieliła córce odpowiedzi.

- Chyba tak, *cara*. Poza tym właśnie im zawdzięczam pracę na uczelni.

Pragmatyzm Brunettiego przez ponad dwadzieścia lat zderzał się na różnych płaszczyznach z idealizmem Paoli; tym razem też komisarz nie miał wątpliwości, że żona zawdzięcza pracę nie tyle samym książkom, ile swojej miłości do literatury.

- Chiaro, masz lekcje do odrobienia? - spytał. Uznał, że kiedy indziej, może jutro rano, dowie się, co jeszcze powiedziała przyjaciółka Franceski.

Chiara, słusznie potraktowawszy jego słowa za pozwolenie odejścia od stołu, odpowiedziała, że tak, i udała się do swojego pokoju; jeśli rodzice mieli ochotę, mogli kontynuować dyskusję o honorze, ale we dwoje, bez niej.

- Nie wiedziałem, że Chiara tak się przejmie swoją rolą i zacznie wypytywać o wszystko znajomych - rzekł Brunetti gwoili usprawiedliwienia, a zarazem przynajmniej częściowych przeprosin.

- Nie przeszkadza mi, że zbiera informacje. Ale nie podoba mi się sposób, w jaki to robi. - Paola pociągnęła łyk grappy. - Myślisz, że zrozumiała to, co usiłowałam jej powiedzieć?

- Myślę, że rozumie wszystko, co do niej mówimy - odparł Brunetti. - Nie twierdzą, że ze wszystkim się zgadza., ale rozumie niewątpliwie. - Po czym, wracając do wcześniejszego tematu, zapytał: - Jakie możesz jeszcze podać przykłady przestępstw, które nie są moralnie naganne?

Przez moment bawiła się kieliszkiem.

- Mnóstwo - oświadczyła. - W naszym kraju to naprawdę nic trudnego, mamy tyle kretyńskich praw. Trudniej wymienić, co jest moralnie naganne, a nie jest przestępstwem.

- Co masz na myśli?

- Choćby pozwalanie dzieciom na oglądanie telewizji - odparła ze śmiechem, najwyraźniej znudzona tematem.

- Nie wykręcaj się - rzekł zaintrygowany. - Podaj prawdziwy przykład.

Paola zastukała paznokciem w szklaną butelkę wody mineralnej stojącą na stole.

- Dobrze. A więc używanie plastikowych butelek jest moim zdaniem naganne moralnie, mimo iż nie zabronione prawnie. Ale to tylko kwestia czasu; za kilka lat na pewno nie będzie wolno używać plastikowych opakowań. O ile tylko starczy nam rozumu, żeby uchwalić takie prawo.

- Chodziło mi o donioślejsze sprawy.

Zadumała się.

- Byłoby moralnie naganne - rzekła po chwili - gdybyśmy tak wychowali nasze dzieci, aby uważały, iż z racji stanu majątkowego mojej rodziny należą im się jakieś przywileje.

Brunetti był zdziwiony, że posłużyła się właśnie tym przykładem; prawie nigdy nie wspominała o zamożności swoich rodziców, z wyjątkiem sytuacji, kiedy dyskusja na tematy polityczne przeradzała się w sprzeczkę i Paola potrzebowała dobrego przykładu na niesprawiedliwość społeczną.

Zanim Brunetti zdążył cokolwiek powiedzieć, dodała:

- Nie jest to chyba tak doniosła sprawa, o jaką ci chodzi, ale postępowałabym naganie, gdybym wypowiadała się o tobie lekceważąco.

- Ciągłe wypowiadasz się o mnie lekceważąco - rzekł, zmuszając się do uśmiechu.

- Tylko kiedy rozmawiam z tobą, Guido. Nigdy za twoimi plecami.

- Bo to oznaczałoby brak szacunku?

- Właśnie - odrzekła z uśmiechem.

- A do mnie możesz mówić lekceważąco i to nie oznacza braku szacunku?

- Nie, nie oznacza. Bo wtedy słowa krytyki kieruję wyłącznie do ciebie, Guido, i nikt inny ich nie słyszy.

Wyciągnął rękę i przysunął do siebie butelkę grappy.

- Wydaje mi się, że coraz trudniej jest określić granice.

- Między czym?

- Między przestępstwem a tym, co jest moralnie naganne.

- Jak myślisz, dlaczego?

- Nie wiem. Może dlatego że, jak sama wspomniałaś, przestaliśmy wierzyć w dawne wartości, a nie znaleźliśmy nowych, które by je zastąpiły?

Skinęła głową, przyznając mu rację.

- Poza tym wszystkie stare zasady zostały złamane - kontynuował. - Od zakończenia wojny, czyli już od pół wieku, jesteśmy ciągle okłamywani. Przez rząd, Kościół, partie polityczne, przemysłowców, finansistów, wojsko.

- I policję?

- Tak - potwierdził bez wahania - przez policję też.

- Więc dlaczego nie zmienisz pracy?

Wzruszył ramionami i nalał sobie jeszcze grappy. Paola czekała.

- Nie można się poddawać - powiedział w końcu.

Pochyliła się nad stołem i dotknęła ręką jego policzka.

- Jeśli jeszcze kiedykolwiek będę chciała ci robić wykład o honorze, walnij mnie w głowę butelką, dobrze?

Pocałował dłoń żony.

- Nigdy, chyba że pozwolisz mi kupować plastikowe.

Dwie godziny później, kiedy Brunetti ziewał nad „Historią tajemną” Prokopiusza, zadzwonił telefon.

- Brunetti. - Spojrzał na zegarek.

- Panie komisarzu, tu Alvis. Kazał mi do pana zadzwonić.

- Kto powiedział, żeby pan do mnie zadzwonił? - spytał Brunetti, wyławiając z kieszeni stary bilet na *vaporetto*, żeby zaznaczyć stronę. Rozmowy telefoniczne z posterunkowym Alvisem trwały długo albo bywały męczące. Czasem jedno i drugie.

- Sierżant, panie komisarzu.

- Który sierżant? - Brunetti zamknął książkę i odłożył ją na bok.

- Topa, panie komisarzu.

Brunettiego odeszła senność.

- Dlaczego kazał ci zadzwonić?

- Bo chce z panem rozmawiać.

- Więc dlaczego sam nie zadzwonił? Numer jest w książce telefonicznej.

- Bo nie może, panie komisarzu.

- Dlaczego nie może?

- Przepisy nie pozwalają.

- Jakie przepisy? - spytał Brunetti, nie kryjąc zniecierpliwienia.

- Nasze, panie komisarzu.

- Co to znaczy „nasze”? Skąd dzwonicz?

- Z komendy, panie komisarzu. Mam dyżur.

- A co tam robi sierżant Topa?

- Został aresztowany, panie komisarzu. Zatrzymali go chłopcy z Mestre, ale potem dowiedzieli się, kim jest. Albo raczej kim był. Że był sierżantem. Wtedy odesłali go tutaj, ale powiedzieli, że może jechać bez eskorty. Zadzwonili, żeby nas uprzedzić, ale pozwolili mu przyjechać samemu.

- Czyli sierżant Topa aresztował i doprowadził do aresztu sam siebie?

Przez chwilę Alvis milczał.

- Na to wygląda, panie komisarzu - rzekł w końcu. - Dlatego nie bardzo wiem, jak wypełnić formularz, co wpisać w rubrykę „kto dokonał aresztowania”.

Brunetti na moment odsunął słuchawkę, po czym znów ją przyłożył do ucha.

- Za co został aresztowany?

- Wdał się w bójkę, panie komisarzu.

- Gdzie? - spytał Brunetti, choć domyślił się odpowiedzi, zanim ją usłyszał.

- W Mestre.

- Z kim się bił?

- Z jakimś cudzoziemcem.

- Gdzie ten cudzoziemiec?

- Uciekł, panie komisarzu. Zaczęli się bić, a potem cudzoziemiec uciekł.

- Skąd wiesz, że to był cudzoziemiec?

- Sierżant Topa mi powiedział. Jego zdaniem gość mówił z obcym akcentem.

- Skoro cudzoziemiec uciekł, kto złożył skargę na sierżanta Topę?

- Pewnie dlatego ci z Mestre nam go przysłali, panie komisarzu. Uznali, że najlepiej będziemy wiedzieli, co w takiej sytuacji robić.

- To oni kazali ci sporządzić protokół aresztowania?

- Nie, panie komisarzu - oświadczył Alvis po długim namyśle. - Powiedzieli Topie, żeby się tu zgłosił i zdał sprawozdanie z tego, co zaszło. A ponieważ miałem akurat na biurku formularz aresztowania, pomyślałem sobie, że trzeba go wypełnić.

- Dlaczego nie pozwoliłeś sierżantowi Topie zatelefonować do mnie?

- No, dzwonił wcześniej do żony, a przecież aresztowany ma prawo wykonać tylko jeden telefon.

- Tak jest wyłącznie w telewizji, w amerykańskich filmach - powiedział Brunetti, z trudem siląc się na cierpliwość. - Gdzie jest teraz sierżant Topa?

- Wyszedł kupić sobie kawę.

- Podczas kiedy ty wypełniasz formularz aresztowania?

- Tak, panie komisarzu. Wydało mi się niestosowne, żeby był przy tym obecny.

- Kiedy sierżant Topa wróci... bo chyba zamierza wrócić, prawda?

- O tak, panie komisarzu. Kazałem mu. A on obiecał.

- Więc kiedy się pojawi, proszę mu przekazać, żeby na mnie zaczekał. Już do was jadę. - Obawiając się, że nie utrzyma nerwów na wodzy, jeśli dłużej będzie musiał rozmawiać z posterunkowym, Brunetti rozłączył się, nie czekając na odpowiedź.

Powiedział Paoli, że musi jechać do pracy, aby wyjaśnić pewne sprawy, i dwadzieścia minut później wszedł do sali, w której dyżurował Alvise. Naprzeciwko jego biurka ujrzał Topę. Były sierżant wyglądał tak samo jak rok temu, zanim odszedł z policji.

Niski, krępy, o prawie łysej głowie, która lśniła w blasku lampy, siedział odchyłony na krześle, z rękami skrzyżowanymi na potężnej klatce piersiowej. Skierowawszy wzrok na Brunettiego, przez chwilę przyglądał mu się spod krzaczastych siwych brwi, po czym przednie nogi krzesła stuknęły głośno o podłogę i Topa wstał, wyciągając na powitanie rękę. Ponieważ nie był już sierżantem, mógł przywitać się z dawnym przełożonym jak równy z równym, ale jego zachowanie sprawiło, że komisarz poczuł znajomy przypływ niechęci. Patrząc na sierżanta, zawsze miał wrażenie, że buzuje w nim przemoc, która w każdej chwili może wybuchnąć; człowiek ten był jak świeżo nalana polenta, która tylko czeka, by poparzyć tego, kto ją weźmie do ust.

- Dobry wieczór, sierżancie - przywitał go, ściskając mu rękę.

- *Commissario* - rzekł Topa; nie powiedział nic więcej.

Alvise wstał i spoglądał to na jednego, to na drugiego. Bez słowa.

- Może porozmawiamy w moim gabinecie - zaproponował Brunetti.

- Dobrze - zgodził się Topa.

Na górze Brunetti zapalił światło, ale nie zdjął płaszcza, aby uzmysłowić sierżantowi, że nie zamierza poświęcać mu dużo czasu. Obydwaj usiedli.

- Więc?

- Vianello zadzwonił do mnie i prosił, żebym zajrzał do Pinetty. Słyszałem o tej knajpie, ale nigdy tam nie byłem. A to, co słyszałem, wcale mi się nie podobało.

- Co pan słyszał?

- Pełno czarnych. I Słowian. Słowianie są gorsi.

Brunetti podzielał tę opinię, ale zatrzymał ją dla siebie. Widząc, że dawny przełożony nie zamierza się wdawać w pogawędkę, Topa zrezygnował z wygłaszania poglądów na temat różnic rasowych i narodowych. Skoncentrował się na swojej opowieści.

- Wszedłem do środka i zamówiłem kieliszek wina. Kilku facetów grało przy stoliku w karty, więc stanąłem obok, żeby im pokibicować. Potem wypilem drugi kieliszek i chwilę pogadałem z facetem siedzącym przy barze. Kiedy jeden z graczy odszedł od stolika, zająłem jego miejsce. Po paru rozdaniach, gdy przegrałem z dziesięć tysięcy lirów, facet wrócił, więc znów usiadłem przy barze i wypilem następny kieliszek,

Brunettiemu przemknęło przez myśl, że Topa spędziłby ciekawiej wieczór, gdyby został w domu i oglądał telewizję.

- A jak było z tą bójką, sierzancie?

- Zaraz do tego dojdę. Mniej więcej po kwadransie inny gracz wstał od stolika i wyszedł z knajpy. Tamci spytali mnie, czy chcę do nich dołączyć, ale powiedziałem, że nie. Wtedy do gry zasiadł facet, z którym rozmawiałem przy barze. Po jakimś czasie wrócił ten, który wyszedł, i podszedł do baru, żeby się napić. Zaczęliśmy rozmawiać. Spytał, czy nie mam ochoty sobie pociupciać. Odparłem, że jak mam ochotę, to nie muszę płacić, niejedną babkę mogę mieć za darmo. A on na to, że na pewno nie taką, jaką może mi załatwić.

- To znaczy?

- Młodą dziewczynę. Ja mu na to, że wolę kobiety. Wtedy mi ubliżył.

- Co powiedział?

- Że pewnie w ogóle nie interesuje mnie ciupcianie. Wyjaśniłem, że lubię kobiety, ale dojrzałe, nie takie młódki, jakie ma w swojej stajni. Zaczął się śmiać i zawołał coś, chyba po słowiańsku, do kumpli grających w karty. Parsknęli śmiechem. Więc dałem mu w pysk.

- Miał pan się tam udać, żeby zasięgnąć informacji, a nie wdawać się w bójki - rzekł Brunetti, nie próbując ukryć irytacji.

- Nie pozwolę, żeby się ze mnie śmiano - oświadczył Topa gniewnym, niemal piskliwym tonem, który Brunetti dobrze pamiętał.

- Myśli pan, że rzeczywiście miał towar?

- Kto?

- Ten człowiek, który proponował panu dziewczynę.

- Nie wiem. Może. Nie wyglądał na alfonsa, ale ze Słowianami nigdy nic nie wiadomo.

- Rozpoznałby go pan?

- Jasne. Ma złamany nos.

- Jest pan pewien? - spytał Brunetti.

- Czego?

- Że ma złamany nos.

- Oczywiście - odparł Topa, podnosząc prawą dłoń. - Poczułem, jak chrupie mi pod pięścią.

- Poznałby go pan na zdjęciu?

- Tak.

- W porządku, sierzancie. Dziś już za późno, żeby się tym zająć. Proszę wpaść jutro i przejrzeć zdjęcia, może mamy go w kartotece.

- Myślałem, że Alvisie zamierza mnie aresztować.

Brunetti machnął ręką, jakby odganiał muchę.

- Niech się pan tym nie kłopotuje.

- Nikt nie może mi ubliżyć - powiedział wojowniczo Topa.

- Do jutra, sierzancie.

Topa posłał dawnemu przełożonemu tak przenikliwe spojrzenie, że Brunettiemu od razu przypomniała się historia ostatniego aresztowania dokonanego przez sierżanta, po czym wstał i wyszedł z gabinetu, nie zamykając za sobą drzwi. Komisarz odczekał pełne dziesięć minut i dopiero wtedy sam wyszedł. Zaczęło padać, ale Brunetti nie miał nic przeciwko pierwszej zimowej mżawce, której lodowaty dotyk przyjemnie studził mu twarz, rozgrzaną niechęcią do Topy.

Rozdział 14

Dwa dni później, ale dopiero wtedy, kiedy Brunetti poprosił sędzinę Vantuno o nakaz wydania dokumentacji, wenecki oddział SIP przekazał policji wykaz rozmów miejscowych prowadzonych z domu i z biura Trevisana w okresie sześciu miesięcy przed jego śmiercią. Tak jak się Brunetti spodziewał, w wykazie widniały połączenia z barem Pinetta, jednak nie dopatrzył się w nich żadnej regularności. Porównał daty z datami połączeń z automatem na stacji w Padwie przedstawionymi w wykazie rozmów zamiejscowych, ale ani dni, ani godziny się nie zgadzały.

Położył oba wykazy przed sobą na biurku i zaczął je uważnie studiować. W przeciwieństwie do połączeń zamiejscowych, przy połączeniach lokalnych figurował również adres, pod którym znajdował się aparat, a także nazwisko abonenta. Brunetti skupił się na czytaniu długich kolumn adresów i nazwisk, które ciągnęły się przez ponad trzydzieści stron, ale po kilku minutach dał za wygraną.

Chwyciwszy oba wykazy, zszedł na dół i zajrzał do pokoju, w którym urzędowała signorina Elettra. Stół pod oknem wydał mu się nowy, ale piękny wazon od Veniniego na pewno był ten sam; stał w nim może niezbyt szykowny, za to ogromny i wesoły bukiet żółtych astrów. Sekretarka szefa miała na szyi jakby specjalnie dobraną pod kolor bukietu apaszkę, której barwa kojarzyła się najbardziej z upierzeniem kanarków.

- Dzień dobry, panie komisarzu - powiedziała pani Elettra, posyłając mu tak słoneczny uśmiech, że mógł śmiało konkurować z kwiatami.

- Dzień dobry. Mam dla was zadanie - rzekł Brunetti, wskazując głową komputer, żeby wyjaśnić, dlaczego posłużył się liczbą mnogą.

- Chodzi o to? - Zerknęła na wydruki z SIP, które trzymał w dłoni.

- Tak. To wykaz miejscowych połączeń Trevisana. Wreszcie! - dodał, nie potrafiąc ukryć gniewu, że tyle czasu musiał zmarnować, zanim oficjalnymi kanałami zdołał uzyskać potrzebne informacje.

- Och, trzeba było mi powiedzieć, że się panu śpieszy, panie komisarzu.

- A co, zna pani kogoś w SIP? - spytał, nawet się nie dziwiąc, że rozległa siatka jej znajomych obejmuje również i tę instytucję.

- Giorgia - oświadczyła, nie wchodząc w szczegóły.

- A czy myśli pani, że mógłby... - zaczął Brunetti.

Uśmiechnęła się i bez słowa wyciągnęła dłoń. Podał jej wydruki.

- Chciałbym, żeby ułożono numery według częstotliwości, z jaką Trevisan się z nimi łączył.

Zanotowała to w bloczku, który leżał przed nią na biurku, po czym uśmiechnęła się, jakby zadanie było dziecinnie proste.

- Coś jeszcze?

- Tak. Chciałbym wiedzieć, które z tych numerów to numery automatów telefonicznych albo aparatów znajdujących się w miejscach publicznych, na przykład w barach czy restauracjach.

Znów się uśmiechnęła; to też nie było trudne.

- To wszystko?

- Nie. Chciałbym jeszcze wiedzieć, który z nich to numer mordercy. - Jeśli oczekiwał, że to również signorina Elettra zanotuje, rozczarował się. - Ale nie sądzę, żeby zdołała pani uzyskać tę informację - dodał z uśmiechem, dając jej do zrozumienia, że żartuje.

- Chyba nie zdołam, panie komisarzu, choć niewykluczone, że jego numer faktycznie figuruje w tym wykazie - powiedziała, potrząsając wydrukami.

Pewnie figuruje, pomyślał Brunetti.

- Jak długo to pani zajmie? - zapytał; chodziło mu o to, ile dni.

Elettra spojrzała na zegarek, po czym zerknęła na koniec wydruku, żeby sprawdzić, ile liczy stron.

- Jeśli Giorgio jest dziś w pracy, kilka godzin.

- Kilka godzin?! Jakim cudem?! - krzyknął Brunetti, zbyt zaskoczony, aby pokryć swoje zdumienie nonszalancją.

- Do telefonu szefa podłączony jest modem - odparła, wskazując prostokątne metalowe pudełko stojące obok aparatu i połączone kablami z jej komputerem. - Giorgio musi tylko otworzyć odpowiedni plik, uruchomić program, który ułoży numery według częstotliwości, po czym przesłać mi dane na drukarkę. Obok numeru będzie podana data i godzina. Czy chciałby pan wiedzieć, jak długo trwała każda rozmowa? - Uniosła długopis nad bloczkiem, czekając na odpowiedź Brunettiego.

- Tak. Czy myśli pani, że mógłby mi również zdobyć wykaz numerów, z którymi łączono się z telefonu w barze w Mestre?

Kiwnęła głową, notując coś w bloczku.

- Naprawdę otrzymam wszystko dziś po południu?

- Jeśli Giorgio jest w pracy...

Zanim jeszcze Brunetti wyszedł na korytarz, signorina Elettra podniosła słuchawkę, żeby połączyć się z Giorgiem i wraz z nim, za pomocą metalowego pudełka połączonego z jej komputerem, obejść przeszkody, które SIP stawia na drodze tym, co pragną uzyskać informacje zawarte w archiwach tej instytucji, a także obejść przepisy prawne określające, jakie informacje mogą być udostępnione bez nakazu sądowego.

Wróciwszy do gabinetu, Brunetti napisał zwięzłe sprawozdanie dla Patty, w drugiej części pokrótce przedstawiając plan działania na najbliższe dni. Czuł się sfrustrowany tym, jak mało dotąd osiągnął, a jego plany na przyszłość były w równej mierze dziełem wyobraźni i optymizmu; liczył jednak, że szef poczuje się usatysfakcjonowany i na pewien czas da mu spokój. Następnie zadzwonił do Ubalda Lotta i umówił się z nim na wieczór, twierdząc, że potrzebuje informacji o kancelarii Trevisana. Lotto początkowo się wzbraniał, upierając się, że niewiele wie o praktyce szwagra, że orientuje się tylko w jej finansach, ale w końcu zgodził się na spotkanie o wpół do szóstej.

Biuro Lotta mieściło się w tym samym budynku i na tym samym piętrze co kancelaria Trevisana, na Via XXII Marzo, nad siedzibą Banca Commerciale d'Italia; trudno sobie wyobrazić lepszy adres w całej Wenecji. Brunetti zjawił się kilka minut przed czasem. Wprowadzono go do sali, gdzie praca dosłownie wrzała; pomieszczenie wyglądało jak studio filmowe, w którym ambitny młody reżyser telewizyjny kręci scenę z życia ambitnego młodego księgowego. Na otwartej przestrzeni wielkości połowy kortu tenisowego znajdowało się osiem biurek - każde z komputerem - oddzielonych od siebie parawanami obitymi jasnozielonym lnem, sięgającymi zaledwie do pasa. Przy komputerach siedziało pięciu młodych mężczyzn i trzy młode kobiety; Brunetti uderzyło, że nikt z nich nawet nie podniósł głowy, gdy prowadzony przez młodego recepcjonistę przechodził obok.

Recepcjonista zatrzymał się przy drzwiach na końcu sali, zastukał dwukrotnie, po czym - nie czekając na odpowiedź - otworzył je i wpuścił komisarza do środka. Lotto wyjmował coś z wysokiej szafy po drugiej stronie gabinetu. Brunetti usłyszał za sobą ciche skrzypnięcie; obejrzał się, żeby sprawdzić, czy recepcjonista wszedł za nim do gabinetu księgowego. Okazało się, że nie. Kiedy znów skierował wzrok na Lotta, zobaczył, że ten odsunął się od szafy; w jednej ręce trzymał butelkę słodkiego wermutu, w drugiej dwie szklanki.

- Czy mogę pana poczęstować? - zapytał. - Zwykle pozwalam sobie na drinka o tej porze.

- Tak, chętnie się napiję - odparł z uśmiechem Brunetti, choć nienawidził słodkich trunków.

Gospodarz wskazał mu dłonią, żeby przeszedł do bocznej części gabinetu, gdzie po przeciwnych stronach niskiego stolika na cienkich nóżkach stały dwa fotele, następnie nalał dwie szczodre porcje wermutu i wręczył jedną szklankę Brunettiemu. Komisarz podziękował, ale dopiero kiedy księgowy postawił butelkę na stoliku i usiadł naprzeciwko niego, podniósł szklankę do ust i uśmiechając się przyjaźnie, rzekł:

- Cin cin.

Słodki trunek spłynął mu po języku do gardła, pokrywając je nieprzyjemną warstwą. Smak alkoholu zabijała lepka słodycz; Brunetti miał wrażenie, że pije płyn po gołeniu zaprawiony nektarem morelowym.

- Bardzo elegancki gabinet. Moje uznanie - powiedział, mimo że przez okno widział jedynie budynki z drugiej strony ulicy.

Lotto zakreślił szklanką w powietrzu nieduży łuk, jakby odsuwał od siebie komplement.

- Dziękuję. Staramy się stworzyć taką atmosferę, aby klienci mieli do nas zaufanie i wiedzieli, że dbamy o ich interesy.

- To musi być bardzo trudne.

Na twarzy Lotta pojawił się cień, który po chwili znikł, a wraz z nim znikł uśmiech.

- Nie rozumiem, co pan ma na myśli, *commissario*.

Brunetti zrobił przeproszącą minę, jak ktoś, kto ma świadomość, że nie potrafi się umiejętnie wyrażać i znów niechcący palnął gafę.

- Chodzi mi o te nowe prawa, signor Lotto. Trudno je zrozumieć i wiedzieć, jak stosować. Odkąd nowy rząd zmienił przepisy, mój własny księgowy przyznaje, że nie tylko nie jest pewien, co ma robić, ale nawet jak wypełniać formularze. - Pociągnął łyk, a właściwie łyżeczek, który można by określić jako łyżeczek bardzo pokornego człowieka, po czym kontynuował: - Moje finanse, oczywiście, nie są tak skomplikowane, żeby nie można było się w nich połapać, ale wyobrażam sobie, że pan musi mieć wielu klientów, którzy potrzebują pomocy prawdziwego eksperta. - Znów wypił mały łyżeczek. - Sam naturalnie nie wyznaję się na tych rzeczach... - pozwolił sobie zerknąć na Lotta i stwierdził, że księgowy słucha go w skupieniu - ...dlatego chciałem się z panem zobaczyć, poprosić, aby zechciał mi pan udzielić takich informacji o finansach mecenasa Trevisana, jakie uzna pan za istotne. Był pan jego księgowym, prawda? I zarządzał finansami jego kancelarii?

- Tak - odparł krótko Lotto, po czym spytał neutralnym tonem: - O jakie informacje panu chodzi?

Brunetti uśmiechnął się i rozłożył bezradnie ręce.

- Jak już mówiłem, nie wyznaję się na tych sprawach, dlatego przyszedłem do pana. Skoro *avvocato* Trevisan powierzył panu wszystkie swoje finanse, pomyślałem, że pewnie będzie pan się orientował, czy miał klientów, którzy... hm, jak by to powiedzieć... nie byli mu radzi.

- Nie byli mu radzi, *commissario*?

Brunetti popatrzył na podłogę; starał się naśladować człowieka złapanego w pajęczynę swojej językowej nieporadności, kogoś, kogo Lotto powinien uznać za równie nieporadnego w roli policjanta.

Lotto przerwał przedłużającą się ciszę.

- Przykro mi, ale wciąż nie rozumiem, o co panu chodzi - rzekł z przesadnym zmieszaniem, które ucieszyło Brunettiego, bo oznaczało, iż księgowy wierzy, że obcuje z osobnikiem nienawykłym do subtelnych zachowań.

- Bo skoro, signor Lotto, nie mamy żadnego motywu zabójstwa... - zaczął.

- A rabunek? - wtrącił jego rozmówca, unosząc ze zdziwieniem brwi.

- Nic nie zostało skradzione.

- Może ktoś spłoszył rabusia? Zaskoczył go?

Brunetti zastanawiał się nad tą sugestią tak długo, jakby słyszał ją po raz pierwszy; chciał, aby Lotto uwierzył, iż nikomu na policji nie przyszło na myśl coś podobnego.

- To niewykluczone - przyznał wreszcie, jakby uznał Lotta za partnera w rozwiązywaniu zagadki. Pokiwał głową, udając, że rozważa tę nową możliwość, po czym z oślim uporem powrócił do wcześniejszego pomysłu. - A jeśli morderca wcale się nie wystraszył? Jeśli mamy do czynienia z planowanym morderstwem? Wtedy powodem mogło być coś z życia zawodowego mecenasa. - Ciekaw był, czy Lotto przerwie powolny tok rozumowania tępego policjanta, zanim ten uzmysłowi sobie kolejną logiczną możliwość, a mianowicie, że powodem mogło być coś nie z życia zawodowego mecenasa, lecz z jego życia prywatnego.

- Czy sugeruje pan, że mógł go zabić klient? - zapytał Lotto tonem, z którego aż biło niedowierzanie; człowiek pokroju komisarza najwyraźniej nie był w stanie zrozumieć, jacy ludzie stanowili klientelę jego szwagra.

- Wiem, że to mało prawdopodobne - powiedział Brunetti i uśmiechnął się; miał nadzieję, że nerwowo, z zawstydzeniem. - Ale jest przecież możliwe, że signor Trevisan jako adwokat wszedł w posiadanie informacji, których znajomość okazała się dla niego groźna.

- Informacji o kliencie? Czy mnie słuch myli, czy faktycznie sugeruje pan coś takiego? - Święte oburzenie w głosie księgowego najlepiej świadczyło o jego przekonaniu, że potrafi bez trudu zdominować policjanta w rozmowie.

- No... tak.

- To niemożliwe.

Brunetti znów uśmiechnął się przepaszająco.

- Rozumiem, że trudno w to uwierzyć, ale... Mimo wszystko chcielibyśmy zobaczyć listę klientów Trevisana, choćby po to, żeby wykluczyć podobną możliwość. Myślałem, że właśnie pan, księgowy szwagra, mógłby nam taką listę dostarczyć.

- Musicie mnie w to wciągać? - zapytał Lotto, podnosząc głos, żeby komisarz świadom był jego niezadowolenia.

- Zapewniam pana, że uczynimy wszystko, co w naszej mocy, aby klienci nie zorientowali się, że posiadamy listę, na której widnieją ich nazwiska.

- A gdybym odmówił?

- Wystąpiłbym o nakaz sądowy.

Lotto dopił wermut i odstawił szklanke.

- Polecę, żeby przygotowano listę. - Z jego tonu wyraźnie przebijała niechęć. Nie miał jednak wyboru: wolał nie zadzierać z policją. - Ale proszę mieć na uwadze, że osoby, które się na niej znajdują, nie są przyzwyczajone do uczestniczenia w dochodzeniach policyjnych.

W innych okolicznościach Brunetti zaraz by odparował, że w ciągu ostatnich kilku lat policja prowadzi dochodzenia dotyczące głównie tego typu osób, ale postanowił zachować tę opinię dla siebie.

- Będę panu wielce zobowiązany - rzekł.

Lotto odchrząknął.

- Czy to wszystko?

- Tak - oznajmił Brunetti, obracając w palcach szklanke z resztką trunku i obserwując, jak ciecz przylega do ścianek, a potem wolno spływa w dół. - Wprawdzie jest jeszcze jedna rzecz, ale nie wiem, czy w ogóle warto o tym wspominać. - Kleista ciecz znów zawirowała na ściankach.

- Słucham? - spytał Lotto obojętnym tonem; w końcu główny cel wizyty policjanta został już omówiony.

- Rino Favero - rzekł Brunetti, wypowiadając imię i nazwisko zamordowanego księgowego z taką lekkością, z jaką motyl unosi się na powietrznych prądach.

- Co?! - Lotto nie zdołał ukryć zdumienia.

Brunetti, zadowolony, zamrugnął oczami i utkwiał wzrok w szklance.

- Kto? - spytał po chwili księgowy bardziej neutralnym tonem.

- Favero. Rino. Był księgowym. Chyba w Padwie. Zastanawiałem się, czy pan go znał.

- Może słyszałem nazwisko. Ale dlaczego pan pyta?

- Niedawno zginął z własnej ręki. - Brunettiemu wydało się, że takim eufemistycznym określeniem powinien się posłużyć ktoś o niskiej pozycji społecznej policjanta, mówiąc o samobójstwie człowieka rangi Favera. Nie powiedział nic więcej, ciekaw, czy zdoła rozbudzić zainteresowanie rozmówcy.

- Ale dlaczego pan pyta? - powtórzył Lotto.

- Pomyślałem, że jeśli go pan znał, to przeżywa pan teraz naprawdę ciężkie chwile, straciwszy dwóch przyjaciół w tak krótkim czasie.

- Nie, nie znałem go. Przynajmniej nie osobiście.

- Przykra sprawa. - Brunetti potrząsnął głową.

- Tak - zgodził się na odczepnego Lotto i podniósł się z fotela. - Coś jeszcze, *commissario*?

Brunetti wstał i rozejrzał się z bezradną miną, jakby nie wiedział, co zrobić z nie dopitym wermutem; w końcu Lotto wziął od niego szklankę i postawił obok swojej na stole.

- Nie. Tylko ta lista klientów...

- Otrzyma ją pan jutro. Najdalej pojutrze - rzekł Lotto, kierując się do drzwi.

Brunetti podejrzewał, że raczej przyjdzie mu czekać dwa dni, ale nie powstrzymało go to przed uściśnięciem dłoni księgowego oraz wyrażeniu serdecznych przeprosin za zajęcie jego cennego czasu, a także gorących podziękowań za pomoc.

Lotto odprowadził gościa do drzwi gabinetu, znów uściśnął mu dłoń, po czym zamknął za nim drzwi. Na korytarzu Brunetti przystanął na moment i popatrzył na elegancką mosiężną tabliczkę z napisem C. TREVISAN, AVVOCATO, znajdującą się na prawo od drzwi po drugiej stronie hallu. Nie wątpił, że za tymi drzwiami panuje taka sama atmosfera pracowitości; był zresztą przekonany, że obie firmy łączy znacznie więcej niż lokalizacja i wystrój wewnątrz, a za jeden z łączących je czynników uważał teraz Rina Favera.

Rozdział 15

Nazajutrz rano Brunetti znalazł na biurku, przysłane mu faksem przez kapitana della Cortego z komendy w Padwie, akta sprawy Rina Favera, którego śmierć nadal była przedstawiana w środkach masowego przekazu jako samobójstwo. Na temat zgonu księgowego Brunetti nie dowiedział się z lektury akt prawie nic ponadto, co della Corte powiedział mu przez telefon, ale z zaciekawieniem przeczytał informacje o pozycji zajmowanej przez Favera pośród śmietanki towarzyskiej i w świecie finansjery Padwy, sennego, bogatego miasta położonego pół godziny drogi na zachód od Wenecji.

Favero specjalizował się w finansach wielkich przedsiębiorstw; stał na czele biura złożonego z siedmiu księgowych, które cieszyło się doskonałą opinią nie tylko w Padwie, ale w całej okolicy. Do jego klientów należało wielu spośród najważniejszych biznesmenów i przemysłowców tego mocno zindustrializowanego regionu, a także dziekani trzech wydziałów miejscowego uniwersytetu, jednego z najlepszych we Włoszech. Brunettiemu nie były obce ani nazwy firm, których księgi sprawdzał Favero, ani nazwiska jego indywidualnych klientów. Nic jednak nie układało się w spójną całość. A przynajmniej Brunetti nie wiedział, co mogłoby łączyć przemysł chemiczny, wyroby skórzane, biura podróży, agencje pośrednictwa pracy oraz wydział nauk politycznych.

Spragniony działania, czy choćby zmiany miejsca, komisarz gotów był jechać do Padwy, żeby porozmawiać osobiście z della Cortem, ale w końcu uznał, że w zupełności wystarczy, jeśli zadzwoni do kapitana. Sięgając po telefon, przypomniał sobie ostrzeżenie della Cortego, aby z nikim innym nie rozmawiał o Faverze; świadczyło ono jednoznacznie, iż pewnych informacji o księgowym - a także o padewskiej policji - kapitan jeszcze mu nie wyjawiał.

- Della Corte. - Kapitan podniósł słuchawkę po pierwszym dzwonku.

- Dzień dobry, *capitano*. Tu Brunetti. Z Wenecji.

- Dzień dobry, *commissario*.

- Dzwonię z pytaniem, czy wie pan coś nowego.

- Tak.

- O Faverze?

- Tak - odparł krótko della Corte. - Wygląda na to, że mamy wspólnych przyjaciół, *commissario*.

- Naprawdę? - spytał Brunetti, zaskoczony tą uwagą.

- Po wczorajszej rozmowie z panem zadzwoniłem do kilku osób.

Brunetti nie zareagował.

- Przypadkiem wspomniałem pańskie nazwisko.

Brunetti nie wierzył w przypadki.

- Co to za osoby?

- Na przykład Riccardo Fosco. W Mediolanie.

- Jak się Riccardo miewa? - spytał Brunetti, choć znacznie bardziej ciekawiło go, dlaczego della Corte dzwonił do dziennikarza, specjalisty od reportażu polityczno-kryminalnego, żeby wypytać się o niego.

- Wiele mi o panu mówił. Same dobre rzeczy.

Zaledwie przed dwoma laty Brunetti byłby wstrząśnięty, gdyby się dowiedział, że jeden policjant musi dzwonić do dziennikarza, aby dowiedzieć się, czy może ufać drugiemu; obecnie odczuwał tylko dojmujący smutek, że kraj stoczył się tak nisko.

- Co tam u Riccarda słyszeć? - powtórzył.

- Wszystko w porządku. Prosił, żeby pana pozdrowić.

- Ożenił się?

- Tak, w zeszłym roku.

- Należy pan do tropicieli? - spytał Brunetti, mając na myśli przyjaciół dziennikarza w szeregach policji; pomimo iż od zamachu na Foscę minęło kilka lat, nieformalna ta grupa wciąż szukała bandytów, których kule uczyniły z niego kalekę.

- Tak, niestety nic nie odkryłem. A pan?

- Też nie. - Brunetti poczuł satysfakcję, że kapitan uważa go za kogoś, kto również się nie poddaje i nie rezygnuje z poszukiwań, choć przez pięć lat trop zdążył mocno wystygnać. - Dzwonił pan do Riccarda w jakimś konkretnym celu?

- Tak. Żeby spytać, czy posiada o Faverze jakieś informacje, które mogą się nam przydać, a do których nie mamy jak dotrzeć.

- I co?

- Nic nie wiedział.

Nagle Brunettiemu przyszło coś do głowy.

- Dzwonił pan z komendy?

Dźwięk, jaki wydobył się z gardła kapitana, mógł od biedy ująć za śmiech.

- Nie.

Brunetti nic nie powiedział. Długą ciszę przerwało pytanie della Cortego:

- Ma pan numer bezpośredni?

Brunetti podał mu.

- Zadzwoń za dziesięć minut.

Czekając na telefon della Cortego, Brunetti miał ochotę zadzwonić do Fosca i wypytać go o kapitana, ale po pierwsze, nie chciał blokować linii, a po drugie, uznał, że sama wzmianka o dziennikarzu stanowi wystarczającą rekomendację.

Della Corte zadzwonił po kwadransie. W tle słychać było typowe odgłosy ruchu ulicznego: warkot silników, ryk klaksonów.

- Zakładam, że pański telefon jest czysty - powiedział kapitan, z czego wynikało, że swojego by tak nie określił.

Brunetti ugryzł się w język; w końcu kto miałby ich podsłuchiwać?

- Co się tam u was dzieje? - spytał tylko.

- Właśnie zmieniliśmy przyczynę zgonu - odparł della Corte. - Oficjalnie jest nią teraz samobójstwo.

- Jak to?

- Obecnie badania wskazują, że miał dwa miligramy roipnalu we krwi.

- Obecnie? - zdziwił się Brunetti.

- Obecnie - powtórzył kapitan.

- Więc byłby w stanie prowadzić samochód?

- Tak. Również wjechać do garażu i zamknąć drzwi, czyli krótko mówiąc, popełnić samobójstwo. - Głos della Cortego drżał z gniewu. - Nie znajdę sędziego, który da mi zgodę na podjęcie śledztwa w sprawie morderstwa, ekshumację zwłok i ponowne badania.

- Skąd miał pan poprzednie dane, o których mi mówił?

- Rozmawiałem z lekarzem, który przeprowadzał sekcję; pracuje tu w szpitalu.

- I...?

- Zaraz po dokonaniu sekcji sam zbadał krew, po czym w celu potwierdzenia wysłał próbkę do laboratorium. Kiedy z laboratorium nadeszły oficjalne wyniki, okazało się, że poziom roipnalu jest znacznie niższy.

- Może facet źle odczytał swoje notatki? Czy nie można ponownie przebadać próbek?

- Zniknęły.

- Zniknęły?!

Della Corte nawet nie trzymał się, żeby odpowiedzieć.

- A gdzie były? - spytał Brunetti.

- W laboratorium patologicznym.

- Co się zwykle dzieje z próbkami?

- Po sporządzeniu oficjalnych wyników trzymane są przez rok, potem niszczone.

- A tym razem?

- Kiedy patolog otrzymał oficjalne wyniki, sprawdził swoje notatki, żeby się upewnić, czy się nie pomylił, i natychmiast do mnie zadzwonił. - Della Corte zamilkł na moment. - Potem zadzwonił ponownie, aby powiedzieć, że wtedy popełnił błąd.

- Ktoś go przekonał?

- Jasne! - rzucił gniewnie della Corte.

- Co mu pan powiedział?

- Nic. Kiedy zadzwonił po raz drugi, zorientowałem się, że to śmierdząca sprawa. Więc tylko udałem, że jestem zły. Powiedziałem, że rozumiem, iż błędy się zdarzają, ale następnym razem niech bardziej uważa, kiedy przeprowadza sekcję.

- Uwierzył panu?

Mimo dzielącej ich odległości Brunetti poznał, że della Corte wzrusza ramionami.

- Kto to wie?

- I co potem?

- Potem zadzwoniłem do Fosca, żeby go spytać o pana.

Brunetti usłyszał jakieś dziwne metaliczne trzaski i natychmiast przemknęło mu przez myśl, że może jego telefon też jest na podsłuchu, ale po chwili uświadomił sobie, że to della Corte wrzuca kolejne monety do automatu.

- Kończą mi się drobne, *commissario* - powiedział kapitan. - Może byśmy się spotkali?

- Chętnie. Nieoficjalnie?

- Oczywiście.

- Gdzie?

- Może w połowie drogi? - zaproponował della Corte. - W Mestre?

- Bar Pinetta?

- Dziś wieczorem o dziesiątej?

- Jak pana rozpoznam? - spytał Brunetti, mając nadzieję, że della Corte nie jest glina, który wygląda jak glina.

- Jestem łysy. A ja pana?

- Wyglądam jak glina.

Rozdział 16

Za dziesięć dziesiąta tego wieczoru Brunetti opuścił budynek stacji w Mestre, zszedł po schodach i skierował się w lewo, ustaliwszy wcześniej, na podstawie mapy zamieszczonej na początku weneckiej książki telefonicznej, gdzie się znajduje Via Fagare. Przed stacją jak zwykle stało kilkanaście nieprzepisowo zaparkowanych samochodów, lecz ruch był niewielki. Brunetti przeszedł przez jezdnię i na najbliższym rogu skręcił w prawo, w stronę centrum. Sklepiki po obu stronach ulicy miały zaciągnięte stalowe żaluzje; zupełnie jakby spuściły przyłbice, aby chronić się przed niebezpieczeństwami nocy.

Sporadyczne podmuchy wiatru podrywały papiery i liście na chodniku. Brunetti szedł przed siebie, starając się nie zwracać uwagi na odgłosy ruchu ulicznego, ale było to niemożliwe. Wszyscy zawsze narzekali na klimat Wenecji, wilgotny i nieprzyjemny, ale dla Brunettiego znacznie gorszy był ogłuszający hałas czyniony przez pojazdy, do którego dochodził jeszcze ohydny smród spalin; nie rozumiał, jak można akceptować samochody, uważać je za składnik codziennego życia. Z roku na rok coraz więcej weneccjan, zmuszonych zastoje gospodarczym i niebotycznymi czynszami, porzucało swoje miasto i przeprowadzało się tutaj, w ten smród i zgiełk. Brunetti zdawał sobie sprawę, że powody ekonomiczne mogą skłonić ludzi do przeprowadzki. Ale żeby dobrowolnie skazywać się na coś takiego? Korzyści były mizerne.

Po kilku minutach marszu za następną przecznicą zobaczył pionowy neon; litery biegnące od dachu budynku do mniej więcej dwóch metrów nad chodnikiem układały się w napis: B-- -in--ta. Nie wyjmując rąk z kieszeni płaszcza, Brunetti wszedł do środka przez uchylone drzwi.

Właściciel baru widocznie obejrzał zbyt wiele filmów amerykańskich, bo knajpa do złudzenia przypominała jeden z tych lokali, w których Victor Mature rozstawiał wszystkich po kątach. Ścianę za barem zajmowało ogromne lustro, lecz na jego powierzchni osiadło tyle kurzu i dymu, że prawie nic się w nim nie odbijało. Zamiast całych rzędów butelek, jak w typowych włoskich knajpach, stał tu tylko jeden lichy rząd, w dodatku wyłącznie bourbona i szkockiej, sam bar zaś nie był długą prostą ladą z ekspresem do kawy, lecz miał kształt podkowy, wewnątrz której urzędował barman, ciasno obwiązany w tali poplamionym fartuchem.

Po obu stronach sali stały stoliki. Przy tych z lewej siedziało po trzech lub czterech mężczyzn grających w karty; po prawej - mieszane pary uprawiające zupełnie inny rodzaj gry losowej. Na ścianach wisiały wielkie fotosy amerykańskich gwiazd, niechętnie spozierających na wewnątrz, na którego wieczne oglądanie zostały skazane.

Przy barze stało czterech mężczyzn i dwie kobiety. Pierwszy z mężczyzn, niski i krępy, trzymał szklanekę obiema rękami, jakby chciał ją chronić przed zakusami innych, i wpatrywał się w jej zawartość. Drugi, wyższy i szczuplejszy, zwrócony tyłem do baru, wolno obracał głowę, przyglądając się to karciarzom, to licytacji odchodzącej przy pozostałych stolikach. Trzeci był łysy; najwyraźniej della Corte. Ostatni, chudy jak strach na wróble, stał między dwiema dziewczynami, które coś do niego mówiły, i zerkał nerwowo to na jedną, to na drugą. Popatrzył na Brunettiego, gdy ten wchodził do środka; dziewczyny też odwróciły się w stronę przybysza. Wzrok Parek, kiedy przecinały nić ludzkiego żywota, nie mógł być bardziej posepny.

Brunetti podszedł do della Cortego, szczupłego mężczyzny o mocno pomarszczonej twarzy oraz sumiastych wąsach, i klepnął go w ramię.

- *Ciao, Bepe, come stai?* - Mówił z ciężkim weneckim akcentem i znacznie głośniejszym, niż to było konieczne. - Przepraszam za spóźnienie, ale moja żona, wredna suka... - Urwał i wykonał ręką gniewny gest, który miał wyrażać, co myśli o wszystkich żonach i wszystkich wrednych sukach. - *Amico mio*, whisky proszę! - zawołał do barmana, potem spojrzał na szklanekę stojącą przed della Cortem. - A dla mojego przyjaciela jeszcze raz to samo, ale na mój koszt!

Zwracając się do barmana, starał się obrócić do niego całym ciałem, wszystkie ruchy wykonywać z przesadną ekspresją. Przytrzymując się ręką lady, aby nie stracić równowagi, mruknął pod nosem:

- Suka...

Otrzymał whisky, podniósł szklanekę i opróżnił ją jednym haustem, po czym odstawił z głośnym stuknięciem na kontuar i wierzchem dłoni otarł usta. Natychmiast pojawiła się przed nim druga pełna szklanka, ale zanim zdążył ją podnieść, della Corte wyciągnął po nią rękę.

- *Cin cin*, Guido - powiedział, unosząc szklanekę, jakby wznosił toast za ich wieloletnią przyjaźń. - Cieszę się, że udało ci się jej wyrwać. - Pociągnął jeden łyk, drugi. - Wybierasz się z nami na polowanie w najbliższą sobotę?

Nie ustalili z góry żadnego scenariusza, ale Brunetti uznał, że ten temat jest równie dobry jak każdy inny dla dwóch podtatusiałych pijaczków w taniej knajpie w Mestre.

Odpowiedział, że chętnie by się wybrał, ale żona, wredna suka, chce, żeby został i zabrał ją gdzieś na kolację, bo tego dnia wypada ich rocznica ślubu. Po cholere mają w domu kuchenkę? Nie może sama czegoś upiec? Przez kilka minut prowadzili rozmowę w tym stylu; potem jedna z par wstała od stolika i opuściła lokal. Della Corte zamówił po kolejce i pociągnął Brunettiego za rękaw w stronę wolnego stolika. Pomógł mu usiąść. Kiedy podano im trunki, komisarz podparł ręką brodę i spytał cicho:

- Długo tu jesteś?

- Ponad pół godziny - odparł della Corte, głosem zupełnie trzeźwym i o wiele kulturalniej brzmiącym niż przed chwilą.

- I co?

- Co pewien czas wpadają tu faceci i podchodzą do gościa przy barze, tego z babkami.

- Della Corte zbliżył szklankę do ust. - Dwa razy jedna z nich usiadła z jakimiś typami na drinka. Raz wyszła z jednym i wróciła sama po dwudziestu minutach.

- Szybka robota - skomentował Brunetti.

Della Corte skinął głową, po czym znów się napił.

- Gość wygląda, jakby był na heroinie - rzekł po chwili, patrząc w stronę baru.

Uśmiechnął się szeroko, kiedy jedna z dziewczyn przechwyciła jego spojrzenie.

- Jesteś pewien?

- Przez sześć lat pracowałem w wydziale narkotyków. Widziałem setki takich jak on.

- Co nowego w Padwie? - spytał Brunetti.

Choć obaj udawali, że nie obchodzą ich inni klienci, cały czas pilnie wszystkich obserwowali, starając się zapamiętać twarze.

Della Corte potrząsnął głową.

- Wysłałem jednego z moich zaufanych ludzi do laboratorium, żeby sprawdził, czy niczego więcej nie brakuje.

- No i?

- Ktokolwiek tam myszkował, dobrze pozacierał ślady. Znikły notatki patologa i próbki tkanek pobrane podczas wszystkich sekcji przeprowadzonych tego dnia.

- A ile ich było?

- Trzy.

- W Padwie? - spytał Brunetti, nie kryjąc zdziwienia.

- Dwie starsze osoby zmarły w szpitalu po zjedzeniu zepsutego mięsa. Salmonella.

Brunetti pokiwał głową.

- Kto mógł to zrobić? - spytał. - Komu mogło na tym zależeć?

- Najbardziej osobie, która podała Faverze roipnal.

Brunetti znów pokiwał głową, po czym widząc, że barman obchodzi stoliki, dał mu znak, żeby przyniósł po następnej kolejce, mimo że stojące przed nim i kapitanem szklanki były właściwie nie tknięte.

- Laboranci tak mało zarabiają, że wiele są gotowi zrobić za dwieście tysięcy lirów - dodał della Corte.

Do baru weszło dwóch mężczyzn; śmiali się i rozmawiali głośno, jak ludzie, którzy chcą, aby obcy zwrócili na nich uwagę.

- Są jakieś postępy w sprawie Trevisana? - spytał kapitan.

Brunetti potrząsnął głową z przesadną powagą, z jaką pijacy traktują najbardziej trywialne kwestie.

- Więc co dalej?

- Chyba jeden z nas powinien skosztować towaru - odparł komisarz, kątem oka patrząc na zbliżającego się barmana. Kiedy ten postawił szklanki na stole, Brunetti uśmiechnął się szeroko. - Drinki dla pań! - polecił, wskazując pijackim gestem dziewczyny przy barze.

Wróciwszy za kontuar, barman nalał dwa kieliszki musującego białego wina - Brunetti domyślił się, że jest to najlichsze prosecco, a nie francuski szampan, za który jednak przyjdzie mu zapłacić - następnie podszedł na koniec lady, gdzie stał chudzielec z dziewczynkami; coś powiedział do mężczyzny, a przed jego towarzyszkami postawił kieliszki. Chudzielec zerknął na Brunettiego, po czym pochylił się w lewo i szepnął coś do niskiej, śniadej dziewczyny o szerokich ustach i rudawych włosach opadających na ramiona. Popatrzyła na kieliszki, po czym w głąb sali, na Brunettiego. Komisarz uśmiechnął się do niej, dźwignął z krzesła i skłonił niezgrabnie.

- Zwariowałaś? - spytał della Corte, uśmiechając się od ucha do ucha i wyciągając rękę po szklankę.

Zamiast mu odpowiedzieć, Brunetti pomachał do trójki przy barze, po czym odsunął nogą puste krzesło i wskazał dziewczynie miejsce. Wzięła kieliszek i ruszyła w ich stronę. Brunetti, szczerząc do niej w uśmiechu zęby, spytał cicho della Cortego:

- Przyjechałaś samochodem?

Kapitan przytaknął.

- Świetnie. Kiedy podejdzie, zostaw nas, wyjdź i zaczekaj w samochodzie. Potem jedź za nami.

Kiedy dziewczyna podeszła do stolika, della Corte odsunął krzesło i wstał, niemal się z nią zderzając. Wydawał się zaskoczony jej pojawieniem.

- Dobry wieczór, signorina - rzekł w końcu, znów mówiąc z ciężkim regionalnym akcentem. - Proszę usiąść.

Dziewczyna przyglądała spódnicę i usiadła obok Brunettiego. Kiedy się do niego uśmiechnęła, zauważył, że pod grubą warstwą makijażu kryje się zupełnie ładna twarz; ruda miała równe zęby, ciemne oczy i mały, wesoło zadarty nos.

- *Buona sera* - powiedziała niemal szeptem. - Dziękuję za szampan.

Della Corte pochylił się nad stolikiem i wyciągnął rękę do Brunettiego.

- Muszę już iść, Guido - rzekł. - Zadzwoń do ciebie w tygodniu.

Brunetti zignorował wyciągniętą rękę; cała jego uwaga była skupiona na dziewczynie. Della Corte spojrział w stronę mężczyzny przy barze, uśmiechnął się, wzruszył ramionami i wyszedł z knajpy, zamykając za sobą drzwi.

- *Ti chiami Guido?* - spytała dziewczyna, bez ceregieli przechodząc na „ty”, co najlepiej wskazywało na to, jakiego typu znajomość właśnie została zawarta.

- Tak, Guido Bassetti. A tobie jak na imię, słodziutka?

- Mara - oświadczyła i roześmiała się, jakby powiedział coś bardzo zabawnego. - Czym się zajmujesz, Guido? Powiedz, dobry jesteś w tym, co robisz?

Brunettiego uderzyły dwie rzeczy: po pierwsze, że ruda mówi z obcym akcentem - jej rodzimym językiem musiał być jednak język romański, hiszpański albo portugalski - a po drugie, że jej pytanie ma wyraźnie prowokacyjny podtekst.

- Jestem hydraulikiem - oznajmił z dumą, jednocześnie wykonując wulgarny gest, aby pokazać, że rozumiał aluzję zawartą w pytaniu.

- Och, to niezwykle ciekawe! - zawołała Mara i ponownie się roześmiała, ale już po chwili zabrakło jej pomysłów na podtrzymanie konwersacji.

Brunetti zobaczył, że w drugiej szklance ma jeszcze sporo whisky, a trzecia wciąż stoi przed nim nie tknięta. Pociągnął łyk z drugiej, po czym odsunął ją na bok i podniósł trzecią.

- Bardzo ładna z ciebie dziewczyna, Maro - rzekł, choć z jego głosu łatwo można było odczytać, iż fakt ten nie będzie miał wpływu na transakcję, której zamierza dokonać.

Ruda przyjęła komplement obojętnie.

- Czy ten gość to twój przyjaciel? - Wskazał ruchem głowy chudzielca, który stał teraz samotnie przy barze, bo druga dziewczyna też gdzieś odeszła.

- Tak - odparła Mara.

- Mieszkaś w pobliżu? - spytał tonem człowieka, który nie chce tracić czasu na próżne gadanie.

- Tak.

- Możemy tam iść?

- Tak. - Znów się uśmiechnęła.

Widział, jak dziewczyna zmusza się, aby w jej oczach pojawiło się ciepło i zainteresowanie. Sam przybrał chłodną minę.

- Ile? - rzucił oschle.

- Sto tysięcy - odparła szybko, jakby już niezliczone razy odpowiadała na to pytanie.

Brunetti roześmiał się, pociągnął ze szklanki, po czym wstał, specjalnie odsuwając krzesło tak gwałtownym ruchem, aby przewróciło się na ziemię.

- Oszalałaś, mała. W domu czeka na mnie żona. Da mi to samo za darmo.

Wzruszyła ramionami i spojrzała na zegarek. Była jedenasta, a w ciągu ostatnich dwudziestu minut nikt nowy nie wszedł do baru. Brunetti domyślił się, że dziewczyna zastanawia się, jakie ma szansę podłapać mniej oszczędnego klienta.

- Pięćdziesiąt - powiedziała w końcu.

Brunetti odstawił wciąż nie dopitą whisky i ujął dziewczynę za ramię.

- No dobra, mała, pokażę ci, co potrafi prawdziwy facet!

Wstała bez oporu. Trzymając ją za ramię, Brunetti podszedł do baru.

- Ile płacę? - spytał.

- Sześćdziesiąt trzy tysiące - oznajmił bez zająknięcia barman.

- Zwariowałaś pan? - spytał gniewnie Brunetti. - Za trzy porcje whisky? W dodatku bardzo podłej jakości?

- Oraz dwie szklanki whisky pańskiego przyjaciela i dwa kieliszki szampana dla pań.

- Dla pań! - powtórzył sarkastycznie Brunetti, ale sięgnął do kieszeni po portfel i rzucił na kontuar pięć banknotów: pięćdziesięciotysięczny, dziesięciotysięczny i trzy jednotysięczne. Już miał schować portfel, kiedy Mara przytrzymała jego rękę.

- Zapłać od razu mojemu przyjacielowi - rzekła, wskazując brodą chudzielca, który bez uśmiechu obserwował Brunettiego.

Brunetti rozejrzał się, zaczerwieniony, zmieszany, z miną człowieka, który pragnie, żeby ktoś mu wyjaśnił, jak ma się zachować. Ponieważ nikt nie ruszył na ratunek, wyjął z portfela pięćdziesięciotysięczny banknot i cisnął na kontuar, nie patrząc na chudzielca; ten z kolei nawet nie raczył spojrzeć na pieniądze. Potem, jakby chciał ocalić resztki nadwątlonej dumy, Brunetti złapał dziewczynę za ramię i pociągnął w stronę drzwi. Zatrzymała się tylko

na moment przy wyjściu, żeby zdjąć z wieszaka kurtkę ze sztucznego futra imitującego lamparcią skórę, po czym wypadła na zewnątrz. Brunetti z rozmachem zatrzasnął drzwi.

Na ulicy Mara skręciła w lewo i ruszyła przodem. Starła się iść szybko, ale w wąskiej spódnicy i na wysokich obcasach nie było to łatwe, więc Brunetti bez trudu dotrzymywał jej kroku. Przy najbliższym rogu jeszcze raz skręciła w lewo, po czym stanęła przed wejściem do trzeciego budynku. Klucz już miała w ręce. Nacisnęła klamkę i weszła do środka, nie sprawdzając, czy Brunetti za nią podąża. W wąską ulicę wjechał samochód. Gdy kierowca dwukrotnie zamrugnął światłami, Brunetti ruszył za dziewczyną.

Na pierwszym piętrze otworzyła pierwsze drzwi po prawej i zniknęła wewnątrz, pozostawiając je otwarte. Brunetti zobaczył niski tapczan nakryty kapą w barwne paski, biurko i dwa krzesła; pojedyncze okno było zamknięte i zasłonięte żaluzją. Kiedy dziewczyna dotknęła kontaktu, w pokoju zapaliła się wisząca na końcu krótkiego przewodu niskowatowa żarówka nie przysłonięta kloszem.

Nie patrząc na swego klienta, Mara zdjęła kurtkę i powiesiła ostrożnie na oparciu jednego z krzeseł.

Potem usiadła na brzegu tapczanu, pochyliła się i rozpięła paski butów. Uwolniwszy stopy, westchnęła z ulgą. Wciąż nie patrząc na Brunettiego wstała, rozpięła spódnicę i przerzuciła ją przez oparcie tego samego krzesła, na którym wisiała kurtka. Pod spódnicą nie miała na sobie nic. Wyciągnęła się na tapczanie.

- Musisz dopłacić, jeśli chcesz dotykać moich piersi - powiedziała, po czym obróciła się, żeby poprawić kapę, którą niechcący pofałdowała.

Brunetti usiadł na wolnym krześle - tym, na którym nie leżało jej ubranie.

- Skąd jesteś, Maro? - zapytał, mówiąc normalnie, bez lokalnego akcentu.

Spojrzała na niego, zdziwiona albo pytaniem, albo zmianą wymowy.

- Posłuchaj pan, panie hydraulik - zaczęła głosem bardziej znużonym niż ostrym - nie przyszedłeś tu rozmawiać, ja też nie, więc załatwmy to szybko, żebyśmy mogła wrócić do pracy, dobrze? - Położyła się na plecach i rozsunęła nogi.

Brunetti odwrócił wzrok.

- Skąd jesteś, Maro? - powtórzył.

Złączyła nogi, opuściła je i usiadła na tapczanie.

- Słuchaj, jak chcesz się pieprzyć, to bierz się do dzieła, dobra? Nie mam czasu tkwić tu całą noc i z tobą gadać. A skąd jestem, to nie twoja zakichana sprawa.

- Z Brazylii? - zaryzykował, kierując się jej akcentem.

Prychnęła gniewnie, wstała i sięgnęła po spódnicę. Trzymając ją tuż nad podłogą, wsunęła w nią nogi, po czym podciągnęła wyżej i kilkoma szarpnięciami zapięła suwak. Jedną stopą zaczęła szukać pod tapczanem butów. Wyłowiwszy je, usiadła na skraju tapczana i zaczęła zapinać paski.

- Twój przyjaciel może pójść siedzieć - oznajmił Brunetti tym samym spokojnym tonem. - Przyjął ode mnie pieniądze. To wystarczy, żeby na kilka miesięcy wylądował w więzieniu.

Paski okalające w kostkach nogi dziewczyny były już zapięte na klamerki, lecz Mara ani nie spojrzała na Brunettiego, ani nie wykonała żadnego ruchu, żeby wstać z łóżka. Słuchała go, siedząc z pochyloną głową.

- Nie chciałabyś, żeby coś takiego go spotkało, prawda? - spytał komisarz.

Prychnęła z niechęcią i niedowierzaniem.

- Zastanów się, Maro, co ci zrobi, kiedy wyjdzie z paki. Będzie miał do ciebie pretensje, bo nie zorientowałaś się, że zaczepił cię glina.

Wyciągnęła rękę.

- Ma pan jakieś dokumenty.

Podał jej legitymację służbową.

- Czego pan chce? - spytała, zwracając ją.

- Wiedzieć, skąd jesteś.

- Po co? Żeby mógł mnie pan tam odesłać? - Popatrzyła mu prosto w oczy.

- Nie jestem z policji imigracyjnej, Maro. Nie obchodzi mnie, czy przebywasz tu legalnie, czy nie.

- Więc czego pan chce? - spytała gniewnie.

- Już powiedziałem. Chcę wiedzieć, skąd jesteś.

Wahała się przez moment, jakby zastanawiała się, czy udzielenie odpowiedzi może jej w czymś zaszkodzić, ale nie doszukała się żadnego podstępu.

- Z Sao Paulo.

Czyli trafnie odgadł brazylijski akcent.

- Od dawna tu jesteś?

- Dwa lata - odparła.

- Od początku pracujesz jako prostytutka? - spytał, usiłując wypowiedzieć ostatnie słowo bez potępienia, jakby stanowiło określenie takiego samego zawodu jak każdy inny.

- Tak.

- Cały czas dla tego samego faceta?

- Nie powiem panu, jak się nazywa - oznajmiła, spoglądając hardo na komisarza.

- Wcale cię o to nie pytam, Maro. Chcę tylko wiedzieć, czy cały czas od przyjazdu pracujesz dla niego.

Powiedziała coś, ale tak cicho, że Brunetti nie dosłyszał.

- Słucham?

- Nie.

- A cały czas w tym barze?

- Nie.

- Gdzie pracowałaś wcześniej?

- Gdzie indziej - odparła wymijająco.

- Jak długo pracujesz w Pinetcie?

- Od września.

- Dlaczego?

- Co dlaczego?

- Dlaczego pracujesz teraz w barze?

- Z powodu pogody. Nie nawykłam do chłódów, zeszłej zimy pochorowałam się przez to ciągle sterczenie na ulicy. Więc tej zimy pozwolił mi pracować w barze.

- Rozumiem - rzekł Brunetti. - Ile poza tobą ma dziewczyn?

- W barze?

- Tak.

- Trzy.

- A na ulicy?

- Nie wiem. Cztery? Sześć? Nie wiem.

- Czy poza tobą są inne Brazylijki?

- Tak, dwie.

- A inne dziewczyny skąd pochodzą?

- Nie wiem.

- Jak to jest z tym telefonem?

- Co? - zapytała, wytrzeszczając oczy; była szczerze zdumiona.

- Chodzi mi o telefon w barze. Do kogo zwykle ludzie dzwonią? Do twojego faceta?

Pytanie wyraźnie ją zdziwiło.

- Nie - odparła. - Wszyscy korzystają z tego aparatu.

- Ale z kim chcą rozmawiać ci, którzy dzwonią do baru?

Zastanawiała się przez moment.

- Nie wiem.

- Nie z twoim facetem?

Wzruszywszy ramionami, odwróciła głowę. Dopiero gdy Brunetti strzelił jej palcami przed nosem, przeniosła na niego wzrok.

- To jak? Dzwoni ktoś do niego?

- Czasami - przyznała. Zerknęła na zegarek. - Powinniśmy już kończyć.

Brunetti też spojrzął na zegarek; właśnie minął kwadrans.

- Ile czasu ci daje?

- Zwykle piętnaście minut. Starszym facetom, jeśli to stali klienci, pozwala na trochę więcej. Ale jeśli zaraz nie wrócę, zaczniesz mi zadawać pytania. Będzie chciał wiedzieć, dlaczego trwało tak długo.

Nie ulegało dla komisarza wątpliwości, że dziewczyna odpowie na każde pytanie, jakie zada jej alfons. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie lepiej, aby facet wiedział, że interesuje się nim policja. Popatrzył na opuszczoną twarz Mary, próbując odgadnąć, ile może mieć lat. Dwadzieścia pięć? Dwadzieścia?

- No dobra - powiedział wstając.

Zaskoczona, cofnęła się lękliwie, po czym podniosła głowę.

- To wszystko? - zapytała.

- Nie będzie szybkiego numerku?

- Słucham? - spytał zdziwiony.

- Zwykle kiedy gliny nas zgarniają i przesłuchują, na koniec żądają numerku. - Nikogo nie osądzała; jej głos był obojętny, przebijało z niego jedynie znużenie.

- Nie, nie będzie żadnego numerku - odparł, kierując się do wyjścia.

Wstała i wsunęła w rękawy kurtki najpierw jedną, potem drugą rękę. Brunetti przytrzymał dla niej drzwi; oboje wyszli na korytarz. Mara zamknęła drzwi na klucz i udała się na dół. Pchnęła drzwi frontowe, po czym skręciła w prawo, do baru. Brunetti ruszył w przeciwną stronę. Na końcu ulicy przeszedł przez jezdnię i zatrzymał się pod latarnią; po kilku chwilach podjechał della Corte.

Rozdział 17

- No i co? - zapytał kapitan, kiedy Brunetti usiadł obok niego na przednim siedzeniu czarnego auta.

Komisarzowi podobało się, że pytaniu nie towarzyszy nawet cień obleśnego uśmiechu.

- Jest Brazylijką, pracuje dla faceta, który był z nią w barze. Przyznała, że czasem ktoś dzwoni do niego.

- Coś jeszcze? - Della Corte wrzucił bieg i ruszył wolno w kierunku stacji.

- Tyle mi sama powiedziała, ale dowiedziałem się o niej sporo więcej.

- To znaczy?

- Wiem, że jest tu nielegalnie, nie ma karty stałego pobytu i nie ma wpływu na to, jak zarabia na życie.

- Może lubi to, co robi.

- A znasz kurwę, która by lubiła?

Della Corte nie odpowiedział. Skręcił za róg i zatrzymał się budynkiem stacji. Zaciągnął ręczny hamulec, ale nie zgasił silnika.

- Co dalej? - zapytał.

- Chyba musimy aresztować alfonsa. Przynajmniej dowiemy się, co to za jeden. I warto znów porozmawiać z dziewczyną, kiedy on będzie siedział.

- Myślisz, że kurwa zacznie gadać?

Brunetti wzruszył ramionami.

- Może. Jeśli nie będzie się bała, że odeślemy ją do Brazylii.

- Jak oceniasz szansę?

- Zależy, kto z nią będzie rozmawiał.

- Myślisz, że kobieta byłaby lepsza?

- Chyba tak.

- Znasz kogoś odpowiedniego?

- Współpracujemy z pewną panią doktor. Psychiatrą. Najlepiej by było, gdyby ona porozmawiała z Marą.

- Z Marą?

- Tak się dziewczyna nazywa. Podejrzewam, że alfons pozwolił jej zachować to jedno: własne imię.

- Kiedy się nim zajmiecie?

- Jak najszybciej.

- Masz pomysł?

- Tak. Zgarniemy go, kiedy jeden z klientów Mary położy przed nim forszę.

- Na długo możesz go aresztować za stręczycielstwo?

- Zależy, czego się o nim dowiemy. Może się okazać, że to recydywista albo jest poszukiwany w związku z jakąś inną sprawą. - Brunetti zamyślił się. - Zresztą jeśli nie mylisz się co do heroiny, powinno nam wystarczyć kilka godzin.

Kapitan uśmiechnął się cierpko.

- Nie myślę się - zapewnił, a kiedy Brunetti nic nie powiedział, zapytał: - Co będziesz robił do tego czasu?

- Na pewno nie siądę z założonymi rękami. Chcę się dowiedzieć czegoś więcej o rodzinie Trevisana i jego praktyce adwokackiej.

- Chodzi ci o coś konkretnego?

- Nie. Po prostu jest kilka drobiazgów, które nie dają mi spokoju, wydają się trochę dziwne. - Więcej nie zamierzał na razie wyjawiać. - A ty? Jakie masz plany?

- Musimy zebrać podobne informacje na temat Favera; będziemy z tym mieli od cholery roboty, zwłaszcza jeśli chodzi o jego interesy. - Na moment zamilkł. - Nie miałem pojęcia, że ci faceci tyle zarabiają.

- Kto? Księgowi?

- Tak. Setki milionów rocznie. A mówię tylko o deklarowanych dochodach. Bóg wie, ile wpada im na lewo.

Brunetti przypomniał sobie kilka firm z listy klientów księgowego; istotnie, możliwości zarobkowe Favera były wprost niewyobrażalne.

Komisarz otworzył drzwi i wysiadł, po czym obszedł wóz i stanął przy oknie kierowcy.

- Jutro wieczorem wyślę do baru kilku ludzi. Jeśli Mara i jej alfons tam będą, powinni ich zgarnąć bez trudu.

- Dziewczynę też? - spytał della Corte.

- Tak. Po nocy w celi może będzie bardziej skora do zwierzeń.

- Myślałem, że chcesz, aby porozmawiała z psychiatrą.

- Tak. Ale wolę, żeby najpierw się przekonała, jak jej się podoba więzienie. Strach rozwiązuje ludziom języki, szczególnie kobietom.

- Ale z ciebie bezlitosny drań! - powiedział della Corte, nie bez cienia szacunku.

Brunetti wzruszył ramionami.

- Może ma informacje potrzebne nam do rozwikłania sprawy morderstwa. Im bardziej będzie przestraszona i skołowana, tym prędzej powie wszystko, co wie.

Della Corte uśmiechnął się i zwolnił hamulec ręczny.

- A już myślałem, że zaczniesz mi opowiadać, jak to spotkałeś kurwę o złotym sercu.

Brunetti ruszył w kierunku stacji. Po kilku krokach obejrzał się; della Corte właśnie zamykał okno.

- Nie ma ludzi o złotym sercu.

Nie wiedział jednak, czy kapitan go usłyszał, bo odjechał, nie zareagowawszy na uwagę.

Nazajutrz rano signorina Elettra powitała Brunettiego informacją, że udało jej się odszukać artykuł o Trevisanie w „Gazzettino”, ale był to całkiem niewinny materiał o pilotowanym przez mecenasa turystycznym joint venture założonym przez izby handlu Wenecji i Pragi. Zdaniem dziennikarza piszącego kronikę towarzyską w tej samej gazecie, prywatne życie małżonki mecenasa było równie nieciekawe jak jej męża.

Mimo że Brunetti spodziewał się takich wiadomości, był zawiedziony. Spytał sekretarkę, czy mogłaby poprosić Georgią - zdziwił sam siebie, mówiąc o jej znajomym tak poufale, jakby to był i jego przyjaciel - żeby zdobył wykaz połączeń telefonicznych baru Pinetta. Następnie przejrzał korespondencję i wykonał kilka telefonów w związku z jednym z listów.

Później zadzwonił do Vianella i polecił mu wysłać wieczorem trzech ludzi do Pinetty, żeby aresztowali Marę i alfonsa. Potem nie miał już żadnych wymówek i musiał zająć się papierami zalegającymi biurko. Ledwo mógł się skupić na tym, co czytał. Materiały nadesłane z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych prognozowały zatrudnienie w policji w ciągu najbliższych pięciu lat, omawiały koszty połączeń komputerowych z Interpolem, podawały dane techniczne nowego modelu pistoletu. Brunetti z obrzydzeniem cisnął papiery na biurko. *Questore* niedawno otrzymał memorandum od ministra spraw wewnętrznych, w którym informowano go, że od nowego roku budżet policji będzie zmniejszony co najmniej o piętnaście procent, może o dwadzieścia, toteż w najbliższym czasie nie przewiduje się przyznania komendzie żadnych dodatkowych funduszy. Mimo to ci idioci w Rzymie wciąż

przysyłali nowe projekty i plany, jakby policja pławiła się w forsie - albo jakby pieniądze nie zostały dawno rozkradzione i powpłacane na tajne konta w szwajcarskich bankach.

Sięgnął po kartkę z danymi nowego modelu pistoletu, w który z braku funduszy nie mógł zaopatrzyć swoich podwładnych, przekreślił ją i na odwrocie zaczął sporządzać listę osób, z którymi chciał się spotkać: wdowa po mecenasie, jej brat i córka Francesca, a także ktoś, kto udzieliłby mu wiarygodnych informacji o kancelarii zamordowanego i jego życiu prywatnym.

W drugim rzędzie wypisał kolejno kilka spraw, które nie dawały mu spokoju: zwierzenia - a może tylko przechwałki? - Franceski, że ktoś chce ją porwać; opór Lotta przed udostępnieniem listy klientów szwagra; zdumienie Lotta na dźwięk nazwiska Favera.

Jednakże najbardziej dręczyła Brunettiego kwestia numerów telefonicznych: to, że Trevisan dzwonił w tyle różnych miejsc i że jego połączenia - jak dotąd - nie układały się w żaden logiczny wzór.

Wyjmując książkę telefoniczną z dolnej szuflady biurka, pomyślał, że powinien śladem Favera zapisać sobie w kalendarzyku numery, pod które często dzwoni. Ale pod numer, z którym zamierzał się połączyć, dzwonił po raz pierwszy w życiu; dotychczas nie miał powodu domagać się spłacenia długu wdzięczności.

Przed trzema laty zatelefonował do niego Danilo, zaprzyjaźniony farmaceuta, i poprosił, żeby Brunetti zajrzał do jego mieszkania. Kiedy komisarz przybył na miejsce, okazało się, że przyjaciel ma podbite oko, jakby uczestniczył w bójce. W rzeczywistości nie tylko z nikim nie walczył, ale nawet nie próbował powstrzymać młodego człowieka, który wtargnął do apteki, właśnie zamykanej na noc. Młodzieniec otworzył szafkę z narkotykami i wyjął siedem ampulek morfiny. Farmaceuta cały czas nie stawiał oporu. Dopiero kiedy złodziej wychodził, powiedział:

- Roberto, nie powinieneś tego robić. - Zwrócił się do chłopaka po imieniu, ponieważ go rozpoznał.

To wystarczyło, aby złodziej pchnął gniewnie aptekarza na jedną z gablot, podbijając mu oko.

Roberto, o czym wiedział nie tylko Danilo i Brunetti, ale również większość policjantów w mieście, był jedynym synem Maria Beniamina, głównego sędziego sądu kryminalnego w Wenecji. Aż do tego wieczoru chłopak nigdy nie uciekał się do przemocy. Jakoś sobie radził z nałogiem: posługiwał się sfalszowanymi receptami albo prehandlowywał na narkotyki przedmioty skradzione rodzinie i przyjaciółom. Ale atakiem na farmaceutę, nawet jeśli nie zamierzonym, przekroczył granicę i dołączył do grona

przestępców. Brunetti, po rozmowie z Danilem, udał się do domu sędziego Beniamina i spędził z nim ponad godzinę; nazajutrz rano sędzia zawiózł syna do niewielkiej prywatnej kliniki pod Zurychem, gdzie Roberto spędził pół roku, po czym zatrudnił się jako czeladnik w pracowni garncarskiej w Mediolanie.

Przez te trzy lata Brunetti właściwie nie myślał o przysłudze, którą oddał wtedy sędziemu; była jak para bardzo drogich, lecz niewygodnych butów, wepchniętych na dno szafy i zapomnianych do chwili, kiedy sięgając po coś innego, przypadkiem się na nie trafia i przypomina sobie ze wstydem, jaki się zrobiło zły interes, płacąc za nie tyle pieniędzy.

Po trzecim dzwonku w słuchawce rozległ się głos sekretarki. Brunetti przedstawił się i powiedział, że chciałby mówić z sędzią. Po chwili usłyszał na linii jego głos.

- Buongiorno, *commissario*. Spodziewałem się pańskiego telefonu.
- Chciałbym porozmawiać z panem, panie sędzio.
- Dziś?
- O ile to możliwe.
- Jeśli wystarczy panu pół godziny, możemy się spotkać o piątej po południu.
- Powinno wystarczyć, panie sędzio.
- W takim razie czekam na pana - powiedział sędzia i rozłączył się.

Główny gmach sądu kryminalnego mieści się przy moście Rialto, nie po stronie San Marco, ale po przeciwnej, tej, na której znajdują się słynne targi. W rzeczy samej, klienci, którzy odwiedzają je wczesnym rankiem, czasem widują wprowadzanych do budynku różnymi wejściami mężczyzn i kobiety w kajdankach, jak również strzegących ich *carabinieri* z pistoletami maszynowymi, czających się pomiędzy skrzynkami kapusty i winogron. Brunetti pokazał uzbrojonym strażnikom przy drzwiach legitymację służbową i ruszył marmurowymi schodami na drugie piętro, gdzie znajdował się gabinet sędziego Beniamina. Po drodze minął wysokie okno, z którego rozciągał się widok na Fondazione dei Tedeschi, gdzie za czasów Rzeczypospolitej Weneckiej był skład towarów i kwatery kupców niemieckich, a obecnie mieścił się główny urząd pocztowy. U góry schodów dwóch *carabinieri* w kamizelkach kuloodpornych poprosiło o dokumenty.

- Ma pan przy sobie broń, *commissario*! - spytał jeden, obejrzawszy dokładnie legitymację.

Brunetti pożałował, że nie zostawił pistoletu w swoim gabinecie; we Włoszech od tak dawna ginęli sędziowie, że wszyscy stali się nerwowi, a ostatnio dodatkowo wzmocniono ochronę sądów. Rozchylił marynarkę i przytrzymał poły, aby strażnik mógł zabrać mu broń.

Trzecie drzwi po prawej wiodły do gabinetu sędziego Beniamina. Brunetti zastukał dwa razy.

W ciągu trzech lat, jakie upłynęły od czasu, kiedy odwiedził sędziego w domu, kilkakrotnie mijali się na ulicy i wymieniali ukłony, ale ostatni raz widzieli się co najmniej rok temu i dlatego zaskoczyła komisarza zmiana, która zaszła w wyglądzie sędziego. Choć Beniamin był od niego najwyżej dziesięć lat starszy, wyglądał teraz jak jego ojciec. Głębokie bruzdy ciągnęły mu się po obu stronach ust od nosa aż do brody. Oczy, niegdyś czarne jak węgiel, sprawiały wrażenie matowych, jakby ktoś zapomniał zetrzeć z nich kurz. W dodatku sędzia tak bardzo schudł, że zdawał się pływać w powłóczystej czarnej todze, która stanowiła oznakę urzędu.

- Proszę usiąść, *commissario* - powiedział. Głos był wciąż ten sam, głęboki i dźwięczny; głos śpiewaka.

- Dziękuję, panie sędzio. - Brunetti zajął miejsce na jednym z czterech krzeseł stojących przed biurkiem sędziego.

- Przykro mi, ale muszę pana uprzedzić, że mam mniej czasu, niż sądziłem. - Jakby nagle uderzył go sens własnych słów, sędzia uśmiechnął się smutno. - To znaczy dziś po południu. Byłbym więc wdzięczny, gdyby mógł się pan streszczać. Jeśli to nierealne, możemy umówić się ponownie za dwa dni.

- Postaram się mówić krótko, panie sędzio. Dziękuję, że zechciał mnie pan przyjąć.

Ich oczy się spotkały; obaj mieli świadomość, jak zdawkowo brzmią te słowa.

- A zatem...

- Chodzi mi o Carla Trevisana.

- Konkretnie o co?

- Komu opłacała się jego śmierć? Jak układały się jego stosunki ze szwagrem? Z żoną? Dlaczego jego córka mówiła przed pięciu laty koleżankom, że jej rodzice boją się, aby nie została porwana? I czy Trevisan miał powiązania z mafią, a jeśli tak, to jakie?

Sędzia Beniamin nic nie notował, tylko siedział i słuchał. Potem oparł łokieć o biurko, podniósł dłoń i wyprostował palce.

- Dwa lata temu u Trevisana zaczął pracować nowy adwokat, Salvatore Martucci. Przeszedł do niego z własnymi klientami. Zgodnie z umową, po roku pracy miał awansować na wspólnika. Krążą pogłoski, że Trevisan nie chciał respektować umowy. Teraz, po jego śmierci, Martucci automatycznie został szefem kancelarii.

Sędzia schował kciuk.

- Szwagier jest bardzo cwany, nadzwyczaj cwany. Słyszałem nie potwierdzone plotki... za to, że je powtarzam, mógłby mnie oskarżyć o zniesławienie... że jeśli ktoś chce wiedzieć, jak nie płacić podatków w handlu międzynarodowym, komu dać łapówkę albo co zrobić, żeby transport uniknął kontroli celnej, najlepiej udać się do Lotta.

Zgiął palec wskazujący.

- Żona ma romans z Martuccim.

Opuścił środkowy palec.

- Mniej więcej pięć lat temu Trevisan... znów powtarzam zasłyszaną plotkę... wszedł w interesy z dwoma członkami mafii z Palermo, ludźmi bardzo niebezpiecznymi. Nie wiem, czy były to legalne interesy, czy wszedł w nie dobrowolnie ani kto się z kim skontaktował pierwszy; wiem tylko, że było to związane z perspektywą otwarcia się rynków Europy Wschodniej dla międzynarodowego biznesu. Zdarza się, że mafia porywa lub zabija dzieci osób, które odrzucają jej ofertę współpracy. Podobno Trevisan przez pewien czas był bardzo wystraszony, ale potem przestał się bać. - Sędzia zgiął dwa ostatnie palce i zacisnął dłoń w pięść. - Chyba odpowiedziałem na wszystkie pańskie pytania.

Brunetti wstał.

- Dziękuję, panie sędzio.

- Nie ma za co, *commissario*.

Ani razu nie padło imię Roberta, który przed rokiem przedawkował i zmarł, sędzia nie wspomniał też słowem o raku, który zżerał mu wątrobę. Po wyjściu z gabinetu Beniamina Brunetti odebrał od strażnika pistolet i opuścił gmach sądu.

Rozdział 18

Nazajutrz zaraz po przyjściu do pracy Brunetti zadzwonił do domu Barbary Zorzi.

- Pani doktor, mówi Guido Brunetti - rzekł, kiedy po włączeniu się automatycznej sekretarki rozległ się długi sygnał. - Jeśli jest pani w domu, bardzo proszę odebrać telefon. Muszę znów porozmawiać z panią o Trevisanach. Dowiedziałem się, że...

- O co chodzi? - spytała szybko lekarka, podnosząc słuchawkę; bynajmniej się nie zdziwił, że zrezygnowała z powitania i wymiany grzeczności.

- Chciałbym wiedzieć, czy wizyta pani Trevisan miała coś wspólnego z ciążą. - I zanim zdążyła odpowiedzieć, dodał: - Nie córki. Własną.

- Dlaczego pan o to pyta?

- Z protokołu sekcji wynika, że jej mąż miał przeprowadzoną wazektomię.

- Kiedy?

- Nie wiem. Czy to istotne?

W słuchawce zapadła długa cisza.

- Nie, chyba nie - odparła w końcu lekarka. - A więc owszem, kiedy pani Trevisan przyszła do mnie przed dwoma laty, myślała, że jest w ciąży. Miała wtedy czterdzieści jeden lat.

- I co, była?

- Nie.

- Czy wydawała się zaniepokojona tą możliwością?

- Wtedy sądziłam, że nie jest, a przynajmniej nie bardziej, niż byłaby każda kobieta w jej wieku. Ale teraz, kiedy się nad tym zastanawiam, to myślę, że tak. Zdecydowanie tak.

- Dziękuję - powiedział Brunetti.

- To wszystko? - Była wyraźnie zaskoczona.

- Tak.

- Nie spyta pan, czy wiedziałam, kto jest ojcem?

- Nie. Gdyby podejrzewała pani, że nie jej mąż, powiedziałyby mi o tym, kiedyśmy się spotkali.

- Chyba ma pan rację - rzekła po chwili, cedząc wolno słowa, jakby się wahała.

- To dobrze.

- Bo ja wiem?

- Dziękuję - powtórzył i rozłączył się.

Następnie zadzwonił do kancelarii Trevisana, żeby się umówić z Salvatorem Martuccim, ale poinformowano go, że *avvocato* Martucci wyjechał do Mediolanu w interesach; skontaktuje się z panem komisarzem, jak tylko wróci do Wenecji. Ponieważ na jego biurku nie pojawiły się żadne nowe papiery, Brunetti wziął do ręki sporządzoną wczoraj przez siebie listę i zaczął rozmyślać nad rozmową z sędzią.

Nawet nie przyszło mu do głowy, żeby kwestionować czy próbować sprawdzić informacje, które podał mu sędzia Beniamin. W świetle domniemyanych kontaktów Trevisana z mafią jego śmierć tym bardziej wyglądała na egzekucję, wykonaną szybko i sprawnie przez anonimowego mordercę. Martucci, sądząc po jego imieniu, zapewne pochodził z południa... Brunetti szybko upomniał sam siebie, żeby nie kierować się uprzedzeniami i - nawet gdyby mecenas okazał się Sycylińczykiem - nie wyciągać pochopnych wniosków.

Pozostawała jeszcze sprawa Franceski i tego, co mówiła koleżankom: że rodzice boją się, aby jej nie porwano. Rano, przed wyjściem z domu, Brunetti powiedział córce, że policja wyjaśniła tę kwestię i już nie potrzebuje jej pomocy. Wolał nie ryzykować, że ktoś się dowie, iż Chiara rozpytuje o coś, w czym maczała palce mafia. A ponieważ znał córkę, wiedział, że jedynie brak zainteresowania z jego strony zniechęci ją do zadawania pytań koleżankom.

Z zamyślenia wyrwało go pukanie do drzwi.

- *Avanti*. - Podniósłszy wzrok znad biurka, ujrzał, jak signorina Elettra otwiera drzwi i przepuszcza przodem obcego mężczyznę.

- Panie komisarzu, przedstawiam panu Giorgia Rondiniego - powiedziała, wchodząc za obcym. - Chciałby zamienić z panem kilka słów.

Mężczyzna, którego wprowadziła, przewyższał ją co najmniej o głowę, ale było mało prawdopodobne, żeby ważył więcej niż ona. Dzięki wysmukłej sylwetce przypominał postać z obrazu *el Greca*. Podobieństwo do uwiecznionych przez malarza postaci podkreślała dodatkowo czarna broda przystrzyżona w szpic oraz ciemne oczy, które patrzyły na świat spod gęstych czarnych brwi.

- Proszę usiąść, signor Rondini - powiedział Brunetti, unosząc się z fotela. - Czym mogę panu służyć?

Podczas gdy Rondini zajmował miejsce, signorina Elettra cofnęła się do drzwi, które wchodząc zostawiła otwarte. Zatrzymała się w progu i stała nieruchomo, dopóki Brunetti nie spojrzał w jej stronę. Kiedy to uczynił, wskazała palcem na gościa i - jakby rozmawiała z głuchym - bezgłośnie wymówiła jego imię:

- Giorgio.

Brunetti skinął leciutko głową.

- *Grazie*.

Signorina Elettra opuściła gabinet komisarza.

Przez dłuższą chwilę panowało milczenie. Rondini rozglądał się po gabinecie, a Brunetti wpatrywał się w listę na biurku.

- Panie komisarzu, przyszedłem prosić o radę - oznajmił wreszcie gość.

- Tak? - Brunetti uniósł wzrok.

- Chodzi o moje skazanie.

- O pańskie skazanie?

- Tak, o to nieporozumienie na plaży. - Gość uśmiechnął się, jakby usiłował pomóc Brunettiemu przypomnieć sobie coś, o czym komisarz niewątpliwie musiał słyszeć.

- Przykro mi, signor Rondini, nic mi nie wiadomo na ten temat. Ale zamieniam się w słuch.

Rondini spowaźniał; na jego twarzy pojawiło się bolesne zakłopotanie.

- Elettra panu nie mówiła?

- Obawiam się, że nie. - Widząc, że mina Rondiniego robi się coraz bardziej pochmurna, komisarz uśmiechnął się ciepło. - Ale oczywiście opowiedziała mi, jak wiele panu zawdzięczamy. Dzięki pańskiej pomocy udało się ruszyć z miejsca sprawę, którą teraz prowadzę. - Fakt, że w rzeczywistości prawie wcale sprawy nie ruszono z miejsca, nie oznaczał, że Brunetti kłamał.

Rondini nadal milczał.

- Jeśli powie mi pan, o co chodzi, zobaczę, co da się zrobić - oznajmił Brunetti, próbując go ośmielić.

Gość złożył ręce na kolanach; palcami prawej dłoni masował palce lewej.

- Tak jak wspomniałem, chodzi o skazanie.

Brunetti uśmiechnął się zachęcająco i skinął głową.

- Za obrazę moralności - wyjaśnił Rondini.

Wyraz twarzy Brunettiego się nie zmienił, co najwyraźniej dodało Rondiniemu otuchy.

- Widzi pan, przed dwoma laty byłem na plaży Alberoni.

Brunetti zdawał sobie sprawę, że plaża ta, mieszcząca się na końcu wyspy Lido, cieszy się taką popularnością wśród gejów, iż zyskała miano „plaży grzechu”. Mimo że uśmiech wciąż gościł na jego ustach, zaczął uważniej się wpatrywać w twarz petenta i bacznie śledzić ruchy jego rąk.

- Nie, nie, panie komisarzu - powiedział Rondini, potrząsając głową. - To przez mojego brata. - Umilkł i znów potrząsnął głową, tym razem z zakłopotaniem. - Tylko pogarszam całą sprawę. - Uśmiechnął się nerwowo i westchnął. - Pozwoli pan, że zacznę od początku?

Rzecz jasna, Brunetti pozwolił.

- Mój brat jest dziennikarzem. Pisał wtedy artykuł o tej plaży i poprosił, żebym mu towarzyszył. Myślał, że jak pójdziemy razem, inni potraktują nas jak parę i nikt nie będzie nas zaczepiał. To znaczy, będą z nami rozmawiać, ale nie będą podrywać. - Rondini urwał i znów wbił wzrok w swoje dłonie, którymi bez przerwy poruszał, jakby nie był w stanie nad nimi zapanować.

- I tam się to stało? - spytał Brunetti, ponieważ gość sprawiał wrażenie, jakby nie zamierzał kontynuować.

Rondini ani nie podniósł oczu, ani nic nie powiedział.

- Tam miał miejsce ten incydent? - Brunetti nie dawał za wygraną.

Rondini wziął głęboki oddech.

- Pływałem, a kiedy wyszedłem z wody, zrobiło mi się zimno, więc postanowiłem się przebrać. Brat był spory kawałek ode mnie, rozmawiał z kimś, wokół nie widziałem nikogo. Przynajmniej w odległości dwudziestu metrów od miejsca, w którym miałem rozłożony koc. Usiadłem, zdjąłem kąpielówki i zamierzałem włożyć spodnie, kiedy podeszło dwóch policjantów i powiedziało, żebym wstał. Chciałem wciągnąć spodnie, ale jeden z policjantów stanął na nich, więc nie mogłem. - Jego głos był coraz bardziej napięty; Brunetti nie wiedział, czy ze zmieszania, czy gniewu. Rondini zaczął gładzić brodę. - Skoro nie mogłem włożyć spodni, postanowiłem wciągnąć z powrotem kąpielówki, ale drugi policjant zabrał je z koca i nie chciał ich oddać. - Umilkł.

- Co było dalej, signor Rondini?

- Wstałem.

- I...?

- Spisali protokół, w którym postawili mi zarzut obrazy moralności.

- Próbował im pan wszystko wyjaśnić?

- Tak.

- No i...?

- Nie uwierzyli.

- Brat panu nie pomógł? Nie wrócił?

- Nie, wszystko trwało zaledwie pięć minut. Sporządzili protokół i odeszli, zanim brat skończył rozmawiać.

- Co pan potem zrobił?

- Nic - odparł Rondini, patrząc Brunettiemu w oczy. - Brat powiedział, żebym się nie martwił, że na pewno zostanę powiadomiony, gdyby sprawa miała trafić do sądu.

- I powiadomiono pana?

- Nie. W każdym razie nie dostałem żadnego pisma. Jakies dwa miesiące później zadzwonił do mnie znajomy i powiedział, że moje nazwisko figuruje w najnowszym „Gazzettino”. Podobno rozprawa się odbyła, choć nic mi o niej nie było wiadomo. Nie kazano mi zapłacić żadnej grzywny ani nic. Dopiero potem otrzymałem pismo, w którym informowano mnie, że zostałem skazany za obrazę moralności.

Przez chwilę Brunetti dumał nad tym, co usłyszał. Takie rzeczy niestety czasem się zdarzały. Przy drobnych wykroczeniach łatwo było o niedopatrzenia i człowiek rzeczywiście mógł zostać skazany bez formalnego oskarżenia. Brunetti jednak nie rozumiał, dlaczego Rondini postanowił przyjść z tym do niego.

- Próbował pan wystąpić o zmianę decyzji?

- Tak, ale powiedziano mi, że już na to za późno, że powinienem był złożyć wyjaśnienie, zanim odbyła się rozprawa. A ponieważ nie był to prawdziwy proces, nie mogę się odwołać.

Brunetti, obeznany z procedurą sądową w wypadku wykroczeń, skinął głową.

- Niby procesu nie było, lecz zostałem skazany za popełnienie przestępstwa.

- Wykroczenia - poprawił swego gościa Brunetti.

- Wszystko jedno. Zostałem skazany.

Brunetti przekręcił na bok głowę i uniósł brwi; miało to wyrażać sceptycyzm oraz lekceważenie dla całej sprawy.

- Naprawdę nie warto się tym przejmować, signor Rondini.

- Żenię się.

- Nie rozumiem, jaki to ma związek z tą historią.

- Chodzi o moją narzeczoną. - W głosie Rondiniego znów dało się wyczuć napięcie. - Nie chcę, żeby jej rodzina dowiedziała się, że skazano mnie za obrazę moralności na plaży dla homoseksualistów.

- Czy pańska narzeczona wie o tym incydencie?

Rondini wykonał taki ruch, jakby zamierzał potwierdzić, a później nagle zmienił zdanie.

- Nie. Wtedy jej nie znałem, a potem jakoś nie było okazji. Dla mojego brata i przyjaciół cała ta historia nie ma żadnego znaczenia. Traktują ją jak zabawne zdarzenie, ale boję się, że narzeczona przeżyje szok. - Rondini wzruszył ramionami, aby pokryć niepokój. - A tym bardziej jej rodzina.

- I przyszedł pan do mnie, żeby dowiedzieć się, co można zrobić w tej sprawie?

- Tak. Elettra wiele o panu mówiła. Mówiła też, jak wiele od pana zależy. - Z jego głosu przebijał szacunek; co gorsza, również nadzieja.

Brunetti zbył komplement machnięciem ręki.

- Co konkretnie ma pan na myśli?

- Chodzi mi o dwie sprawy. Po pierwsze, żeby usunął pan moje nazwisko z akt policyjnych... - Przerwał, widząc po minie komisarza, że ten zamierza protestować. - To chyba proste do wykonania?

- Żąda pan, abym dokonał zmian w dokumentach państwowych? - spytał Brunetti, starając się nadać głosowi surowe brzmienie.

- Ale Elettra mówiła... - Rondini zamilkł w pół słowa.

Brunetti wolał nie wiedzieć, co mówiła Elettra.

- Wprowadzenie jakiegokolwiek zmiany do akt jest o wiele trudniejsze, niż się panu wydaje - rzekł w końcu.

Rondini popatrzył na niego z politowaniem; chociaż się nie sprzeciwił, widać było, że ma odmienne zdanie.

- Czy mogę powiedzieć, na czym mi jeszcze zależy?

- Oczywiście.

- Otóż chciałbym otrzymać pismo stwierdzające, że zarzut był bezpodstawny i zostałem z niego w pełni oczyszczony. Najlepiej gdyby zawierało przeprosiny.

Brunetti miał ochotę krzyknąć, że to niemożliwe, zamiast tego spytał:

- Po co panu takie pismo?

- Dla narzeczonej. I jej rodziny. Żebym mógł im pokazać, gdyby kiedykolwiek dowiedzieli się o tej sprawie.

- Ale jeśli usunie się pańskie nazwisko z akt, po co panu pismo? - spytał Brunetti. - O ile, rzecz jasna, usunięcie nazwiska okaże się w ogóle możliwe.

- O to się proszę nie kłopotać - powiedział Rondini z taką pewnością siebie, że Brunetti od razu sobie przypomniał, gdzie jego gość pracuje (w dziale komputerów SIP), i skojarzył ten fakt z prostokątną skrzynką na biurku Elettry.

- Kto powinien figurować jako autor pisma?

- Najlepiej, aby to był sam questore - oświadczył Rondini, po czym szybko dodał: - Ale wiem, że to nierealne.

Kiedy tylko zorientował się, że sprawa będzie załatwiona po jego myśli i do ustalenia pozostają jedynie szczegóły, przestał nerwowo poruszać dłońmi; leżały spokojnie na kolanach, zresztą on też siedział teraz znacznie bardziej rozluźniony.

- Czy gdyby takie pismo napisał *commissario*, wystarczyłoby panu?

- Tak, chyba tak.

- A co z usunięciem nazwiska z akt?

Rondini machnął lekceważąco ręką.

- Za dzień lub dwa zniknie.

Brunetti wolał nie wiedzieć, które z nich, Rondini czy pani Elettra, dokona zmiany w aktach, toteż nie pytał.

- Pod koniec tygodnia sprawdzę, czy nadal widnieje w naszej kartotece.

- Nie znajdzie go pan - oznajmił Rondini; w jego głosie nie było arogancji, tylko spokojna pewność siebie.

- Jeśli nie znajdę, wtedy napiszę list.

Rondini wstał. Wyciągnął nad biurkiem rękę do Brunettiego.

- Gdyby pan czegoś potrzebował, *commissario*, proszę pamiętać, gdzie pracuję - rzekł na pożegnanie.

Brunetti odprowadził gościa do drzwi, a chwilę później zszedł piętro niżej i wstąpił do pokoju, w którym urzędowała signorina Elettra.

- Rozmawiał pan z nim? - zapytała.

Nie bardzo wiedział, jak się zachować - czy udać obrażonego faktem, że najwyraźniej z góry założyła, iż nie będzie miał nic przeciwko ingerencji w oficjalne akta państwowe oraz wypisywaniu całkowicie fikcyjnych przeprosin. Postanowił uciec się do ironii.

- Zdziwiło mnie, że w ogóle go pani do mnie przysłała. Równie dobrze mogła pani sama spełnić jego prośby, prawda?

Uśmiechnęła się z zadowoleniem.

- Oczywiście, ale pomyślałam, że lepiej będzie, jeśli pan z nim porozmawia.

- Dlatego że w grę wchodzi przerabianie akt?

- A skądże! Przecież i Giorgio, i ja potrafimy to zrobić w minutę - odparła wzgardliwym tonem.

- Chyba musi istnieć jakieś tajne hasło zabezpieczające dostęp do akt?

- Owszem - odpowiedziała po chwili - hasło istnieje. Tylko że wcale nie jest takie tajne.

- Kto je zna?

- Nie wiem, ale szybko mogłabym się go dowiedzieć.

- I się nim posłużyć?

- Może.

Brunetti wolał nie ciągnąć tego tematu.

- Więc chodziło o pismo z przeprosinami? - Zakładał, że pani Elettra dokładnie się orientuje, o co Rondini go prosił.

- Och nie, panie komisarzu. Pismo też mogłabym sama napisać. Po prostu pomyślałam sobie, że dobrze będzie, jeśli Giorgio pozna pana osobiście i przekona się, że jest pan gotów pójść mu na rękę.

- Na wypadek gdybyśmy potrzebowali dalszych informacji z SIP? - spytał Brunetti, tym razem już bez ironii w głosie.

- No właśnie. - Sekretarka uśmiechnęła się szczęśliwa, że *commissario* wreszcie zaczyna rozumieć, jak funkcjonuje świat.

Rozdział 19

Wiadomość, która sprawiła, że Brunetti na wpół ogolony wypadł nazajutrz rano z łazienki, zupełnie wyparła z jego myśli problemy Rondiniego. Ubaldo Lotto, brat wdowy po mecenasie Carlu Trevisanie, został znaleziony martwy w swoim wozie zaparkowanym na bocznej drodze odchodzącej od autostrady łączącej Mestre i Mogliano Veneto. Zginął od trzech kul; strzały przypuszczalnie oddała osoba siedząca obok niego na przednim fotelu.

Zwłoki odkrył około piątej rano mieszkaniec pobliskiej wsi, któremu nie podobało się to, co zobaczył, kiedy przejeżdżał błotnistą polną drogą obok dużego samochodu: kierowcę pochylonego nad kierownicą i włączony silnik. Wieśniak zatrzymał się i zajrzał do środka, a kiedy spostrzegł kałużę krwi na przednim siedzeniu, czym prędzej powiadomił policję. Policjanci szybko ogrodzili teren i zaczęli szukać śladów pozostawionych przez mordercę lub morderców. Za samochodem Lotta najwyraźniej stało inne auto, lecz z powodu obfitych opadów deszczu i rozmokłej ziemi nie sposób było pobrać odcisków opon. Funkcjonariusz, który pierwszy otworzył drzwi, o mało nie zwymiotował, kiedy uderzył go w nozdrza zapach krwi, fetor odchodów oraz woń płynu po goleniu, zmieszanych w gorącym powietrzu - nastawione na najwyższą moc ogrzewanie pracowało przez cały czas, gdy Lotto leżał bez życia, oparty o kierownicę. Ekipa techniczna zbadała dokładnie teren, a następnie, po odholowaniu wozu do garażu policyjnego w Mestre, przystąpiła do oględzin samochodu, czyli zbierania oraz opisywania włókien, włosów i innych próbek mogących dostarczyć jakichkolwiek informacji o osobie, która siedziała obok kierowcy w chwili jego śmierci.

Samochód był już odholowany, kiedy Brunetti i Vianello zjawili się na miejscu zbrodni, przywiezieni radiowozem przez policję z Mestre. Z tylnego siedzenia obejrzeni wąską drogę i drzewa, wciąż mokre od deszczu, choć przestało padać o świcie. Potem, w policyjnym garażu, obejrzeni wiśniową lancję, której przednie siedzenie znaczyły plamy, powoli przybierające ten sam odcień co lakier pojazdu. Natomiast w kostnicy natknęli się na mężczyznę, który przybył zidentyfikować zwłoki; był to Salvatore Martucci, obecny szef kancelarii Trevisana. Szybkie spojrzenie Vianella i lekki ruch głowy w kierunku adwokata uświadomiły Brunettiemu, że sierżant właśnie z nim rozmawiał po zabójstwie Trevisana i że właśnie Martucci wydawał się tak mało poruszony śmiercią przełożonego.

Szczupły i żyłasty, Martucci był znacznie wyższy od większości południowców, a jego włosy, ostrzyżone krócej niż nakazywała aktualna moda, miały barwę rudoblond;

wyglądał jak jeden z tych normańskich najeźdźców, których hordy podbiły Sycylię przed wiekami, czego pamiątką są po dziś dzień zielone oczy wielu wyspiarzy, a także garść francuskich zwrotów obecnych w miejscowym dialekcie.

Ujrzeni Martucciego akurat w chwili, gdy wyprowadzano go z pomieszczenia, w którym trzymane są zwłoki. Zarówno komisarza, jak i sierżanta uderzyło, że adwokat sam wygląda jak trup: jego przeraźliwie blada cera wydawała się jeszcze bielsza przez kontrast z ciemnymi obwódkami wokół oczu, ciemnymi niczym sińce.

- *Avvocato* Martucci? - zapytał Brunetti, zatrzymując się przed nim.

Prawnik popatrzył na Brunettiego takim wzrokiem, jakby go nie widział, a potem na Vianella - nie rozpoznał sierżanta, ale przynajmniej zauważył granatowy mundur.

- Słucham?

- Jestem *commissario* Guido Brunetti. Chciałbym zadać panu kilka pytań w sprawie Ubalda Lotta.

- Nic nie wiem - powiedział Martucci z wyraźnym sycylijskim akcentem.

- Rozumiem, że to dla pana trudne chwile, ale musimy porozmawiać.

- Nic nie wiem - powtórzył adwokat.

- Bardzo mi przykro, signor Martucci, ale jeśli nam pan odmówi, będziemy zmuszeni udać się do pani Trevisan - rzekł Brunetti; razem z Vianellem zagradzał adwokatowi przejście.

- Co Franca ma z tym wspólnego? - Martucci uniósł głowę i popatrzył gniewnie to na komisarza, to na Vianella.

- Zamordowany był jej bratem. A jej mąż zginął w taki sam sposób przed niespełną tygodniem.

Martucci opuścił na moment wzrok i zamyślił się. Brunetti był ciekaw, czy adwokat zakwestionuje podobieństwo między oboma zabójstwami i będzie twierdził, że to przypadkowa zbieżność. Po chwili Martucci spytał:

- Co chce pan wiedzieć?

- Przejdźmy do pokoju - zaproponował Brunetti; wcześniej poprosił lekarza sądowego, czy mogliby skorzystać z gabinetu jego zastępcy. - Tu na korytarzu nie jest zbyt wygodnie.

Odwrócił się i ruszył przed siebie, Martucci za nim, a na końcu Vianello, który nie odezwał się do mecenasa ani nie dał mu w żaden sposób poznać, że już kiedyś ze sobą rozmawiali. Brunetti otworzył drzwi gabinetu i przepuścił Martucciego przodem.

- Signor Martucci - rzekł, kiedy wszyscy trzej już siedzieli - na początek chciałbym spytać, gdzie pan spędził wczorajszy wieczór.

- Nie rozumiem, dlaczego to pana interesuje - odparł adwokat; z jego głosu przebijało nie tyle oburzenie, ile zmieszanie.

- Musimy ustalić, gdzie spędzili ubiegły wieczór wszyscy, którzy znali pana Lotta. Zapewne się pan orientuje, że to podstawowe informacje, jakie zbiera się podczas śledztwa dotyczącego morderstwa.

- Byłem w domu - oznajmił adwokat.

- Czy był ktoś z panem?

- Nie.

- Czy jest pan żonaty, signor Martucci?

- Tak, ale żyjemy z żoną w separacji.

- Mieszka pan sam?

- Tak.

- Ma pan dzieci?

- Tak. Dwoje.

- Mieszkają z panem czy z pańską żoną?

- Nie rozumiem, jaki to ma związek ze śmiercią Lotta.

- W tym momencie interesuje nas pan, a nie signor Lotto - odrzekł Brunetti. - Czy dzieci mieszkają z pańską żoną?

- Tak.

- Czy państwa separacja jest oficjalna? Czy zamierzacie się państwo rozwieść?

- Nigdyśmy o tym nie rozmawiali.

- Naprawdę? - zdziwił się Brunetti, choć oczywiście takie sytuacje wcale nie należały do rzadkości.

- Mimo że jestem prawnikiem, myśl o postępowaniu rozwodowym po prostu mnie przeraża. - Posępny ton Martucciego świadczył, że mówi prawdę. - Moja żona za nic w świecie nie zgodziłaby się na rozwód.

- I nie rozmawiał pan z nią o tym?

- Nie. Znam żonę i wiem, jaka byłaby jej reakcja. Nie udzieliłaby zgody, a nie mam podstaw, żeby wystąpić o rozwód z jej winy. Gdybym nie bacząc na nic, uparł się przy rozwodzie, zabrałaby mi wszystko, co mam.

- A czy byłyby podstawy do orzeczenia rozwodu z pańskiej winy? - spytał Brunetti. Kiedy odpowiedziała mu cisza, sformułował pytanie inaczej, w słowach bardzo oględnych: - Czy widuje się pan z kimś?

- Nie - odparł Martucci.

- Trudno mi w to uwierzyć - stwierdził komisarz z uśmiechem, który wyrażał męską solidarność.

- Dlaczego?

- Jest pan przystojny, w sile wieku, ma pan dobrą pracę, odniósł w życiu sukces. Podejrzewam, że wiele kobiet uważa pana za atrakcyjnego mężczyznę i byłoby zadowolonych, gdyby zechciał pan zaszczyścić je swoimi względami.

Martucci milczał.

- Nie ma żadnej kobiety w pańskim życiu?

- Nie.

- I wczorajszego wieczoru był pan sam w domu?

- Już panu mówiłem, *commissario*.

- A tak, rzeczywiście.

- Jeśli nie ma pan więcej pytań.... - Martucci wstał.

- Jeszcze tylko kilka drobiazgów, signor Martucci - powiedział Brunetti, powstrzymując go łagodnym ruchem ręki. Wyraz jego oczu sprawił, że prawnik ponownie usiadł. - Jakie stosunki łączyły pana z Carlem Trevisanem?

- Pracowałem u niego.

- U niego czy z nim, *avvocato* Martucci?

- I tak, i tak - odparł, a kiedy Brunetti popatrzył na niego pytająco, oświadczył: - Najpierw u niego, potem z nim. - Po chwili zorientował się, że i to wyjaśnienie nie zadowala komisarza. - Początkowo podjąłem pracę w jego kancelarii, ale w zeszłym roku uzgodniliśmy, że z końcem tego roku zostanę współnikiem.

- Równorzędnym współnikiem?

- Tego nie omawialiśmy. - Ze spojrzenia i głosu adwokata przebijał spokój.

Brunetti uznał to za dziwne niedopatrzenie, szczególnie w wypadku prawników. A ponieważ druga ze stron zawierających umowę nie żyła, coś się mogło za tym kryć.

- Co by było, gdyby któryś z panów zmarł? - zapytał.

- Tego też nie omawialiśmy.

- Dlaczego?

- To chyba jasne - oznajmił twardo Martucci. - Nikt nie planuje własnej śmierci.

- Ale ludzie umierają - powiedział Brunetti.

Martucci zignorował jego słowa.

- Teraz, po śmierci Trevisana, pan będzie kierował kancelarią, prawda?

- Jeśli signora Trevisan mnie o to poprosi.

- Rozumiem. Czyli poniekąd odziedziczył pan klientów zmarłego?

Widać było, że Martucci z trudem nad sobą panuje.

- Jeśli ci klienci będą chcieli korzystać z moich usług...

- A chcą?

- Za wcześniej to oceniać.

- Jakie signor Lotto miał powiązania z kancelarią szwagra? - spytał Brunetti, zmieniając nieco linię przesłuchania.

- Był naszym księgowym, a ponadto zarządzał finansami.

- I pana, i mecenasa Trevisana?

- Tak.

- Czy po śmierci szwagra signor Lotto pozostał pańskim księgowym?

- Oczywiście. Znakomicie orientował się we wszystkich zagadnieniach. Pracował z Carlem od ponad piętnastu lat.

- I nadal zamierzał pan korzystać z jego usług oraz zlecać mu prowadzenie całej księgowości?

- Naturalnie.

- Czy signor Lotto mógł mieć jakiegokolwiek roszczenia prawne do kancelarii?

- Przepraszam, ale nie rozumiem.

Wydało się to Brunettiemu dziwne, bo pytanie było proste, a Martucci, jako prawnik, tym bardziej nie powinien mieć trudności z jego zrozumieniem.

- Czy kancelaria była spółką akcyjną? Czy signor Lotto posiadał udziały w kancelarii szwagra?

- Nie, o ile mi wiadomo - odpowiedział adwokat po krótkim namyśle. - Ale mogli zawrzeć między sobą umowę, której treść nie jest mi znana.

- Co by to była za umowa?

- Nie mam pojęcia. Mogli postanowić, co tylko chcieli.

- Rozumiem - rzekł Brunetti, po czym spytał beznamiętnym tonem: - A signora Trevisan?

Dłuższe milczenie Martucciego wskazywało na to, że spodziewał się pytania o wdowę.

- Co signora Trevisan?

- Czy ma jakiegokolwiek udziały w kancelarii?

- To zależy od testamentu Carla.

- Nie pan go sporządzał?

- Nie, spisał go sam.
- I nie zna pan treści testamentu?
- Oczywiście. Skąd miałbym znać?
- Myślałem, że jako współnik... - Brunetti wykonał w powietrzu nieokreślony gest.
- Nie byłem współnikiem. Miałem nim zostać dopiero od przyszłego roku.
- Ano tak, faktycznie. Ale sądziłem, że choćby ze względu na waszą zażyłość będzie pan wiedział, co Trevisan komu zapisał.

- Nie, nie wiem.

- Rozumiem. - Brunetti wstał. - Dziękuję za pańską pomoc, signor Martucci.

- To wszystko? - spytał adwokat, podnosząc się. - Mogę iść?

- Naturalnie.

Brunetti podszedł do drzwi i otworzył je. Kiedy uścisnęli sobie dłonie, Martucci opuścił gabinet. Brunetti i Vianello odczekali kilka minut, po czym ruszyli w drogę powrotną do Wenecji.

Zanim łódź policyjna wysadziła ich na przystani przed gmachem komendy, Brunetti z Vianellem wspólnie doszli do wniosku, że o ile Martucci wyraźnie oczekiwał pytań na temat pani Trevisan i odpowiadał na nie spokojnie, z opanowaniem, o tyle nerwowo reagował na pytania dotyczące jej zamordowanego męża oraz swojej roli jako współnika. Sierżant Vianello od tak dawna współpracował z Brunettim, że nie czekał na polecenia szefa - sam wiedział, co ma robić, mianowicie przeprowadzić rutynowe rozmowy z sąsiadami, przyjaciółmi i żoną Martucciego, sprawdzić, czy ktokolwiek potwierdzi słowa prawnika, iż ubiegły wieczór spędził samotnie w domu. Sekcji jeszcze nie wykonano, lecz wyglądało na to, że z powodu wysokiej temperatury wewnątrz samochodu, przyspieszającej rozkład ciała, ustalenie dokładnej godziny śmierci Lotta nie będzie możliwe.

Szli przez główny hali, kiedy nagle Brunetti się zatrzymał.

- Zbiornik paliwa - rzekł.

- Słucham, panie komisarzu?

- Niech sprawdzą, ile paliwa zostało w zbiorniku, a potem dowiedzą się, kiedy Lotto ostatni raz tankował. Może uda się obliczyć, jak długo pracował silnik. A to powinno pomóc ustalić czas popełnienia morderstwa.

Vianello kiwnął głową. Dane zdobyte tą drogą nie będą zbyt precyzyjne, ale jeśli sekcja nie zdoła określić czasu zgonu, każda informacja może okazać się cenna.

Sierżant skrzył w bok, żeby wykonać polecenie, Brunetti zaś ruszył schodami na piętro. Zanim dotarł na górę, z korytarza wiodącego do jego gabinetu wyłoniła się pani Elettra.

- O, jest pan, *commissario*. *Vice-questore* dopytywał się o pana.

Brunetti przystanął w pół drogi i patrzył, jak pani Elettra schodzi w dół. Długi szal barwy szafranu, lekki niczym pajęczyna, falował na wysokości jej ramion, utrzymywany w horyzontalnej pozycji przez prądy wznoszącego się, nagrzanego powietrza. Gdyby Nike z Samotraki zstąpiła z postumentu, odzyskała głowę i zaczęła schodzić po schodach Luwru, wyglądałaby właśnie tak.

- Hm? - mruknął Brunetti, kiedy signorina Elettra się z nim zrównała.

- *Vice-questore* powiedział, że bardzo by chciał się z panem widzieć.

- Bardzo by chciał? - powtórzył Brunetti.

Paola często wspominała żartobliwie jakąś postać z Dickensa, która zapowiadała złe nowiny, oznajmiając, że wiatr wieje z takiej lub innej strony; komisarz nie pamiętał, co to była za postać ani o którą stronę świata chodziło, ale jeśli Patta bardzo chciał się z nim widzieć, wiatr wiał od strony jego gabinetu.

- Jest u siebie? - Komisarz ruszył z powrotem na dół.

- Tak. Całe przedpołudnie spędził na telefonie.

To również zapowiadało burzę.

- *Avanti!* - zawołał *vice-questore* Patta, kiedy Brunetti zastukał do drzwi, a gdy podwładny wszedł do środka, dodał wskazując na krzesło: - Usiądź proszę, chciałbym omówić kilka spraw.

Uprzejmy ton szefa sprawił, że Brunetti od wejścia miał się na baczności.

- Słucham? - Sięgnął do kieszeni po notes, aby pokazać przełożonemu, iż traktuje ich rozmowę z należytą powagą.

- Co ci wiadomo o śmierci Rina Favera?

- Favera?

- Tak, księgowego z Padwy, którego w zeszłym tygodniu znaleziono martwego w jego garażu. - Patta odczekał dłuższą chwilę, aby jego milczenie stało się bardziej wymowne. - Tego, co popełnił samobójstwo.

- A tak, Favero. Podobno miał w kalendarzyku numer telefoniczny Carla Trevisana.

- Podejrzewam, że miał w kalendarzyku wiele różnych numerów - rzekł Patta.

- Przy numerze Trevisana nie figurowało nazwisko.

- Aha. Coś jeszcze?

- Miał kilka takich numerów. Bez nazwisk. Usiłujemy je sprawdzić.

- Usiłujemy? Kto usiłuje? - W głosie Patty słychać było tylko uprzejmą ciekawość. Ktoś, kto go dobrze nie znał, nie zorientowałby się, że maskuje groźbę.

- Policja w Padwie.

- Dowiedziałeś się, co to za numery?

- Nie, panie komendancie.

- Czy prowadzisz śledztwo w sprawie śmierci Favera?

- Nie, panie komendancie - odparł zgodnie z prawdą Brunetti.

- Dobrze. - Patta popatrzył na biurko i odłożył na bok kartkę, na której coś sobie wcześniej zanotował, po czym spojrzął na następną. - A co możesz mi powiedzieć, jeśli chodzi o sprawę Trevisana?

- Miało miejsce kolejne morderstwo.

- Masz na myśli Lotta? Sądzisz, że są powiązane?

Brunetti wziął głęboki oddech. Trevisan i Lotto dobrze się znali, pracowali ze sobą i zginęli w identyczny sposób, może nawet zostali zastrzeleni z tej samej broni, a Patta pytał, czy morderstwa są powiązane.

- Tak uważam.

- W tej sytuacji tym bardziej powinieneś się skoncentrować na szukaniu winnych, a sprawę Favera zostawić policji w Padwie, której ona podlega. - Patta odłożył na bok drugą kartkę i zerknął na trzecią.

- Czy to wszystko, panie komendancie? - spytał Brunetti.

- Na razie tak - rzekł *vice-questore*, nie zadając sobie trudu, żeby podnieść wzrok.

Brunetti schował notes do kieszeni, wstał i wyszedł z gabinetu Patty. Uprzejmość szefa nie dawała mu spokoju, więc zatrzymał się przy biurku sekretarki.

- Czy wie pani, z kim rozmawiał przez telefon?

- Nie, ale wiem, że jest umówiony na obiad w Do Forni - oznajmiła pani Elettra, wymieniając restaurację znaną niegdyś z dobrej kuchni, a obecnie z wysokich cen.

- Czy to pani robiła rezerwację?

- Nie. Najwyraźniej jeden z rozmówców zarezerwował tam stół, bo szef polecił mi odwołać rezerwację w Corte Sconto, którą sam zrobił wcześniej.

Wspomniana restauracja mieściła się w tej samej kategorii cenowej co poprzednia. Brunettiemu brakowało śmiałości, żeby prosić pracownicę policji, aby sprzeniewierzyła się swoim zasadom, na szczęście nie musiał, bo signorina Elettra sama podjęła inicjatywę.

- Może zadzwonię tam późnym popołudniem i spytam, czy nie znaleźli notatnika, który *vice-questore* u nich zostawił. Mała szansa, żeby znaleźli, bo nigdy go ze sobą nie nosi. Ale jeśli powiem, że w takim razie chciałabym zadzwonić do osoby, z którą jadł obiad, aby spytać, czy niechcący nie wzięła notatnika, myślę, że podadzą mi jej nazwisko i numer.

- Będę pani ogromnie wdzięczny - powiedział Brunetti. Nie miał pojęcia, czy ta informacja okaże się ważna, ale w ciągu wielu lat pracy przekonał się, że dobrze jest wiedzieć, z kim spotyka się Patta, szczególnie wtedy gdy traktuje komisarza w miarę uprzejmie, co nie zdarza mu się często.

Rozdział 20

Godzinę po tym, jak Brunetti wrócił do swojego gabinetu, zadzwonił do niego della Corte. Telefonował z Padwy, najwyraźniej z automatu, ponieważ dźwięk klaksonów i inne hałasy uliczne były tak głośne, że chwilami zagłuszały słowa.

- Wiemy, w której restauracji jadł kolację tego wieczoru, kiedy umarł - oznajmił kapitan.

Brunetti domyślił się, że della Corte mówi o Faverze. Nie zainteresował się, co to za restauracja ani jak policji udało się zdobyć informację; od razu zadał pytanie, które miało największe znaczenie dla śledztwa:

- Czy był sam?

- Nie - odparł zadowolonym tonem della Corte. - Był w towarzystwie kobiety, na oko dziesięć lat młodszej od niego. Eleganckiej i bardzo atrakcyjnej. Tak przynajmniej powiedział kelner.

- Co jeszcze? - spytał Brunetti, świadom, że to nie wystarczy, aby zidentyfikować nieznajomą.

- Chwileczkę. Już mam. Trzydzieści pięć lat, włosy ciemnoblond, ani długie, ani krótkie. Mniej więcej wzrostu Favera.

Przypomniawszy sobie opis Favera znajdujący się w protokole sekcji, Brunetti pomyślał, że jak na kobietę była wysoka.

- Niewiele mówiła, ale kelner odniósł wrażenie, że to babka z klasą; w każdym razie tak ją określił.

- Gdzie jedli kolację? Ona i Favero?

- W restauracji nieopodal uniwersytetu.

- Jak się o tym dowiedziałeś?

- Nikt z obsługi nie czytuje „Gazzettino”, więc nie widzieli zdjęcia Favera, kiedy ukazał się artykuł o jego śmierci. Kelner zobaczył je dopiero dziś rano, kiedy poszedł do fryzjera i zaczął przeglądać jedną ze starych gazet leżących na stosie. Rozpoznał Favera na zdjęciu i zadzwonił do nas. Rozmawialiśmy przez telefon, ale zamierzam pomówić z nim osobiście. Pomyślałem, że może miałbyś ochotę pójść ze mną.

- Kiedy?

- Skoro to restauracja, może w porze obiadowej?

Brunetti zerknął na zegarek. Była za dwadzieścia jedenasta.

- Dotarcie na stację zajmie mi pół godziny. Wsiądę w pierwszy pociąg jadący do Padwy. Wyjdiesz po mnie na dworzec?

- Pewnie.

Della Corte czekał na peronie, kiedy pociąg wjechał na dworzec w Padwie. Brunetti ruszył w jego stronę, przeciskając się przez tłum studentów, którzy zaczęli szturmować drzwi wagonu, gdy tylko pociąg stanął. Uścisnęli sobie ręce i skierowali się w dół po schodach, które prowadziły do korytarza biegnącego pod torami. Kolejnymi schodami weszli na górę, po czym wyszli na ulicę; przy krawężniku czekał samochód policyjny z kierowcą i włączonym silnikiem.

- Czy ktoś od was kontaktował się z moim szefem? - spytał Brunetti, kiedy samochód włączył się w gęsty ruch.

- Z Patta? - Della Corte wymówił nazwisko z cichym cmoknięciem, które mogło znaczyć bardzo wiele. Albo nic.

- Tak.

- Nic mi o tym nie wiadomo. Dlaczego pytasz?

- Poradził mi, żebym nie mieszał się do dochodzenia w sprawie śmierci Favera. Samobójczej śmierci. Pomyślałem, że mógł mu to podsunąć ktoś od was.

- Możliwe - przyznał della Corte.

- Miałeś nowe kłopoty?

- Nie, właściwie nie. Wszyscy traktują śmierć Favera jako samobójstwo. Śledztwo, które prowadzę w tej sprawie, prowadzę w wolnym czasie i na własny rachunek.

- Jak teraz? - spytał Brunetti, wykonując ręką gest, którym objął samochód i kierowcę.

- Tak. Mam prawo jeść obiad, gdzie chcę.

- I zaprosić znajomego z Wenecji?

- Zgadza się.

Samochód zatrzymał się przed restauracją. Umundurowany kierowca wyskoczył z wozu i otworzył pasażerom drzwi.

- Jedź coś przekąsić, Rinaldi - powiedział della Corte. - Wróc po nas o trzeciej.

Młody policjant zsalutował i wsiadł z powrotem do wozu.

Po obu stronach wejścia do restauracji stały araukarie w glinianych donicach. Drzwi otworzyły się, ledwo della Corte i Brunetti się do nich zbliżyli.

- Witam panów - rzekł ubrany w ciemny garnitur mężczyzna o długiej twarzy i spojrzeniu baseta.

- Dzień dobry. Nazywam się della Corte. Zarezerwowałem telefonicznie stolik dla dwóch osób.

- Proszę za mną.

Mężczyzna wziął dwie podłużne karty dań z biureczka przy drzwiach, po czym wprowadził gości do małej salki, w której mieściło się zaledwie sześć czy siedem stolików; tylko jeden był wolny. Kiedy mijali sklepione łukiem wejście do drugiej sali, Brunetti zobaczył, że w niej też siedzą prawie sami mężczyźni, na oko biznesmeni. Ponieważ przez umieszczone wysoko okna wpadało niewiele światła, oba pomieszczenia rozjaśniał ciepły blask lamp zawieszonych pomiędzy dębowymi belkami na suficie. Kapitan z komisarzem przeszli obok stołu, na którym czekały przeróżne *antipasti*: salami, małże, *prosciutto*, kalmary. Mężczyzna w ciemnym garniturze podprowadził ich do wolnego stolika, wysunął dla Brunettiego krzesło, po czym położył przed nimi karty dań.

- Czy mogę panom zaproponować na początek prosecco? - zapytał.

Obaj skinęli głowami; mężczyzna odszedł.

- Właściciel? - spytał Brunetti.

- Tak.

- Dlaczego jest taki spięty?

- Wszyscy są spięci, kiedy przychodzi policja, żeby zadawać pytania. - Della Corte podniósł kartę i trzymając na odległość wyprostowanej ręki, zaczął ją uważnie studiować. Przeczytał całą, po czym odłożył na bok i rzekł: - Podobno kaczka jest tu wysmienita.

Żadne inne danie nie wydało się Brunettiemu równie kuszące. Zamknął kartę i położył na stoliku. Akurat wrócił właściciel z butelką prosecco. Napelniwszy dwa wąskie kieliszki stojące na prawo od talerzy gości, przekazał butelkę kelnerowi.

- Wybrał już pan, *capitano*?

- *Fettuccine* z truflami - oświadczył della Corte.

Brunetti skinął głową, dając znać, że zamawia to samo.

- A potem kaczkę.

Brunetti znów skinął głową.

- Do posiłku proponuję wino Merlot del Piave - powiedział właściciel.

Kiedy della Corte wyraził uśmiechem aprobatę, właściciel lokalu skłonił się lekko i zostawił ich samych.

Della Corte podniósł kieliszek i upił łyk musującego wina. Brunetti poszedł za jego przykładem. Dopóki nie przyniesiono pierwszego dania, rozmawiali o wszystkim i o niczym.

W pewnym momencie kapitan oznajmił, że ostatnie wybory prawdopodobnie spowodują radykalne zmiany w padewskiej policji, przynajmniej na najwyższych szczeblach.

Brunetti, pamiętając ostatnie wybory burmistrza Wenecji, nic nie odpowiedział. Żaden z dwóch kandydatów mu nie odpowiadał - ani wystawiony przez postkomunistów filozof bez doświadczenia w administracji, ani biznesmen wysunięty przez Ligę Północną - tak więc w końcu na nikogo nie oddał głosu, choć nie przyznał się do tego Paoli, która, uradowana zwycięstwem filozofa, nawet nie spytała męża, na kogo głosował. Może wszystkie te nowe wybory sprawią, że powoli coś się wreszcie zacznie zmieniać. Ale Brunetti w to wątpił; zbyt długo miał do czynienia z ludźmi ze sfer rządowych, aby wierzyć, iż możliwe są jakiegokolwiek zmiany oprócz drobnych, kosmetycznych.

Skierował uwagę na stół, na którym pojawiły się talerze z *fettucine*, połyskującym od roztopionego masła. Po chwili wrócił właściciel, niosąc w jednej ręce małą trufkę na białym talerzyku, a w drugiej metalową tarkę. Pochylił się nad talerzem della Corte i biorąc do ręki trufkę, starł połowę; następnie zrobił to samo, stając u boku Brunettiego. Wonny leśny zapach wzbił się znad parującego *fettucine* i rozszedł wokół stolika. Brunetti zakreślił widelcem, żeby nabrać porcję makaronu, i zaczął jeść, rozkoszując się idealnie ugotowanym *fettucine* pokrytym cienką warstewką masła i czując na języku mocny, aromatyczny smak trufli.

Della Corte najwyraźniej nie był typem człowieka, który psuje przyjemność z posiłku rozmową, więc prawie nie odzywali się aż do momentu, kiedy skończyli jeść - kaczka okazała się niemal tak dobra jak trufle, choć dla Brunettiego nic się nigdy nie mogło równać z trufkami - i siedzieli już tylko nad kieliszkami calvadosu.

Właśnie wtedy do stolika podszedł niski, brzuchaty mężczyzna. Miał na sobie białą marynarkę i czarną szarfę, identyczną jak kelner, których ich obsługiwał.

- Signor Germani powiedział, że chce pan ze mną pomówić, *capitano*.

- Czy to z panem rozmawiałem dziś rano? - spytał della Corte, dając mu znak, żeby usiadł.

Kelner odsunął krzesło dalej od stolika, żeby zmieścić swój pękaty brzuch.

- Tak - odparł.

- Chciałbym, żeby wszystko powtórzył pan mojemu koledze.

- Więc tak jak panu mówiłem - zaczął kelner, patrząc cały czas na kapitana - nie od razu go rozpoznałem na zdjęciu w gazecie. Dopiero potem, kiedy strzygł mnie fryzjer, nagle zdałem sobie sprawę, że przecież widziałem tego człowieka. I wtedy zadzwoniłem na policję.

Della Corte skinął głową i uśmiechnął się, jakby chciał pochwalić kelnera za spełnienie obywatelskiego obowiązku.

- Proszę kontynuować.

- Chyba nie zdołam powiedzieć nic ponad to, co mówiłem przez telefon. Był z kobietą. Już ją panu opisałem.

- Czy mógłby pan zrobić to jeszcze raz?

- Wysoka, prawie jego wzrostu. Ciemnoblonde włosy, jasna cera, oczy też raczej jasne. Byli tu już kiedyś wcześniej.

- Kiedy? - spytał della Corte.

- Raz jakiś miesiąc temu, a przedtem w lecie, nie pamiętam dokładnie kiedy. Ale było gorąco. Kobieta miała żółtą sukienkę.

- Jak się zachowywali?

- Jak się zachowywali? Ma pan na myśli ich maniery?

- Nie. Raczej to, jak odnosili się do siebie.

- Aha, interesuje pana, czy coś ich łączyło, tak?

- Tak - potwierdził della Corte.

- Nie sądzę. Było dla mnie oczywiste, że nie są małżeństwem - rzekł kelner i zanim della Corte zdążył spytać, dlaczego tak uważa, oznajmił: - Sam nie wiem, na czym to polega, ale zawsze poznaję, czy dwoje ludzi jest małżeństwem, czy nie. Właśnie po tym, jak się do siebie odnoszą. Wszystko jedno, kochają się czy nienawidzą, to gdy są małżeństwem, w ich zachowaniu nie ma sztuczności, skrępowania. - Zamachał bezradnie rękami, jakby to było zbyt skomplikowane, aby mógł wyjaśnić.

Brunetti rozumiał, o co kelnerowi chodzi, choć sam też nie potrafiłby ująć tego w słowa.

- Ale tamtych dwoje się tak nie zachowywało? - spytał, po raz pierwszy zabierając głos.

Grubas potrząsnął głową.

- Słyszał pan, o czym rozmawiali?

- Nie. Ale wydawali się bardzo z czegoś zadowoleni. W pewnym momencie mężczyzna pokazał kobiecie jakieś papiery. Studiowała je przez dłuższą chwilę. Właśnie wtedy włożyła okulary.

- Wie pan, co to były za papiery? - spytał della Corte.

- Nie. Oddała mu je, kiedy przyniosłem główne danie.

- Co z nimi zrobił?

- Pewnie schował do kieszeni marynarki. Nie widziałem.

Brunetti zerknął na della Cortego, ale ten potrząsnął głową, co miało znaczyć, że nie znaleziono przy zwłokach żadnych papierów.

- Niech pan spróbuje opisać kobietę nieco dokładniej - poprosił della Corte.

- Tak jak panu mówiłem, wyglądała na trzydzieści kilka lat. Włosy ciemnoblonde, ale chyba farbowane. A może tylko rozjaśnione, nie wiem. Cera jasna, jasne oczy.

- Coś jeszcze? - spytał Brunetti, uśmiechając się i pociągając łyk calvadosu, jakby jego pytanie nie było szczególnie istotne.

- Wtedy o tym nie myślałem, ale teraz, kiedy wiem, że ten człowiek nie żyje, że zginął z własnej ręki, mam wrażenie...

Brunetti i della Corte słuchali bez słowa.

- No, że coś między nimi było nie tak. - Grubas wyciągnął rękę i zgarnął ze stołu kilka okruszków. Nie mając co z nimi zrobić, schował je do kieszeni marynarki. Po czym, zachęcony milczeniem obu policjantów, kontynuował; mówił powoli, z namysłem. - Kiedy oglądała te papiery, nagle uniosła głowę i jakoś dziwnie na niego spojrzała.

Zapadło dłuższe milczenie.

- To znaczy jak? - spytał w końcu della Corte.

- Sam nie wiem. Nie ze złością. Raczej tak, jak patrzy się na zwierzę w zoo albo na coś, czego się nigdy dotąd nie widziało. Jakby... jakby jej towarzysz należał do innego gatunku albo przyleciał z kosmosu. Nie wiem, czy wyrażam się jasno... - Kelner umilkł niepewnie.

- Czy jej spojrzenie wyrażało groźbę?

- Och nie, bynajmniej. - Potrząsnął z przekonaniem głową. - To właśnie było najdziwniejsze, w jej oczach nie było gniewu. Nie było nic. - Wepchnął ręce do kieszeni i uśmiechnął się z zażenowaniem. - Przepraszam. Nie umiem tego dobrze wyjaśnić.

- Czy on zauważył to jej spojrzenie? - spytał Brunetti.

- Nie, w tym momencie nalewał wino.

- A w przeszłości? - zapytał Brunetti. - Zachowywali się przyjaźnie?

- O tak. Zawsze zachowywali się przyjaźnie, ostatnim razem również. Ale bez wylewności. Ot, jak zwykli znajomi.

- A czy w przeszłości też pokazywali sobie jakieś papiery?

- Nie. Wie pan, co mnie najbardziej uderzyło? Że patrząc na nich, człowiek miał wrażenie, że to dwoje ludzi interesu jedzących wspólnie posiłek. Atrakcyjna kobieta i przystojny mężczyzna, a jednak nie było między nimi żadnej iskry, śladu tego napięcia, jakie wytwarza się między parą ludzi, którzy są sobą zainteresowani. Tak, kiedy się nad tym teraz

zastanawiam, myślę, że właśnie to wydało mi się takie dziwne. - Uśmiechnął się, zadowolony, że wreszcie zdołał sprecyzować swoje spostrzeżenia.

- Pamięta pan, jakie pili wino? - spytał Brunetti.

Kelner i della Corte obaj spojrzeli na niego ze zdziwieniem.

- Barolo - odparł grubas po dłuższym namyśle. - Dobrze, krzepkie czerwone wino. Pasowało do *bistecche*. Potem, do deseru, pili *vin santo*.

- Czy Favero w jakimkolwiek momencie odchodził od stolika? - spytał Brunetti, pomyślawszy, że wtedy łatwo byłoby wrzucić mu środek nasenny do kieliszka.

- Nie pamiętam. Może.

- Czy płacił kartą kredytową?

- Nie, gotówką. O ile pamiętam, za każdym razem płacił gotówką.

- Czy poza tymi trzema razami był tu jeszcze kiedyś? Może pan akurat miał wolne...?

- Pytałem innych kelnerów. Nikt go nie pamięta. Myślę, że nie. We wtorki i środy lokal jest zamknięty, a w pozostałe dni pracuję. Od trzynastu lat nie brałem urlopu, więc gdyby tu przyszli, na pewno bym ich zauważył. Zwłaszcza ją, bo rzuca się w oczy. Gotów bym się założyć, że byli tu tylko te trzy razy, o których wspominałem; raz w zeszłym tygodniu i dwa razy wcześniej.

Della Corte spojrział na Brunettiego, ale ten potrząsnął głową. Nie miał więcej pytań. Kapitan wyjął z kieszeni wizytówkę.

- Gdyby się coś panu przypomniało, niech pan śmiało do mnie dzwoni. - Wręczył kelnerowi wizytówkę i dodał neutralnym tonem: - Tylko proszę zaznaczyć, że chce pan mówić właśnie ze mną, dobrze?

Kelner schował wizytówkę, wstał, odszedł parę kroków, nagle zatrzymał się i cofnął do stolika.

- Chce pan jej okulary?

- Słucham? - spytał della Corte.

- Okulary. Zostawiła je na sąsiednim krześle. Zdjęła z nosa, kiedy przejrzała papiery, a potem zapomniała zabrać. Znaleźliśmy je dopiero, kiedy oboje wyszli. To co, chce pan?

- Tak, oczywiście - powiedział szybko kapitan.

Kelner oddalił się; wkrótce wrócił, trzymając w jednej ręce skórzany futerał, a w drugiej okulary w drucianej oprawie.

- Proszę spojrzeć - rzekł z niemal dziecięcą radością, jakby chciał zademonstrować im magiczną sztuczkę, po czym zaczął wyginać oprawki; gięły się na wszystkie strony jak z gumy, a potem wracały do poprzedniego kształtu. - Niezwykłe, co?

Wręczył okulary i futerał della Cortemu, następnie przeszedł przez restaurację i znikł za drzwiami wiodącymi do kuchni.

- Dlaczego się nie łamią? - spytał della Corte, trzymając okulary jedną ręką i wyginając je drugą, tak jak kelner.

- Są z tytanu - odparł Brunetti, choć pytanie kapitana było najwyraźniej retoryczne.

- Słucham?

- Są z tytanu - powtórzył komisarz. - Moja żona była w zeszłym miesiącu u optyka i mówiła mi, że widziała takie oprawki. Mogę? - Wyciągnął dłoń, a kiedy della Corte dał mu okulary, podniósł je do oczu, szukając znaku producenta. Znalazł go po wewnętrznej stronie prawego uchwyty, tuż przy zawiasie. - Zobacz. - Wskazał kapitanowi maleńki znaczek.

- Przeczytaj mi. Nic nie widzę bez okularów.

- To po japońsku. Przynajmniej tak mi się zdaje. Bo robią je tylko Japończycy.

- Japończycy zrobili te okulary? - zdziwił się della Corte.

- Oprawki - wyjaśnił Brunetti. - Oprawki tego rodzaju kosztują blisko milion lirów. Tak mi mówiła żona. Jeśli te są tytanowe, a wszystko na to wskazuje... - wygiął je w precel i puścił; natychmiast przybrały dawny kształt - ...to właśnie tyle musiały kosztować. - Uśmiechnął się błogo, jakby znów zamieniły się w milion lirów, a on mógł ten milion zatrzymać dla siebie.

- Dlaczego się uśmiechasz? - spytał della Corte.

- Powinno być łatwo znaleźć optyka, który sprzedaje japońskie oprawki, zwłaszcza takie za milion lirów.

Uśmiech, jaki pojawił się na twarzy della Cortego, na pewno wart był niewiele mniej.

Rozdział 21

Optyk ustalił na podstawie szkielec wadę wzroku właścicielki. Wbrew pozorom znalezienie zakładu, w którym sprzedane były tak drogie importowane oprawki, okazało się trudniejsze, niż kapitan z komisarzem początkowo sądzili. Po pierwsze, della Corte, któremu polecono traktować śmierć Favera jako samobójstwo, nie miał dużo czasu na poszukiwania. A po drugie, oprawki wcale nie musiały być kupione w Padwie.

Brunetti nakazał jednemu z podległych mu funkcjonariuszy, żeby obdzwonił wszystkich optyków w Wenecji, Mestre i okolicy z pytaniem, czy mają tego rodzaju oprawki, a jeśli tak, to czy dopasowywali do nich szkła o mocy, jakiej potrzebowała kobieta towarzysząca Faverze. Potem jednak musiał wrócić do sprawy morderstwa Trevisana i Lotta; najbardziej interesowały go dwie osoby, które najwięcej zyskiwały na ich śmierci. Wdowa przypuszczalnie dziedziczyła po mężu, a Martucci przypuszczalnie dziedziczył wdowę. Ale zabójstwo Lotta słabo pasowało do scenariusza, w którym winnymi byłiby Martucci i signora Trevisan. Brunetti przywykł już do myśli, że mężowie zabijają żony i odwrotnie, lecz trudno było mu uwierzyć, by siostra zabiła brata. Mężów, nawet dzieci, można zastąpić, ale wiekowi rodzice nie są w stanie spłodzić nowego potomka. Antygona poświęciła życie, ponieważ to rozumiała. Brunetti zdał sobie sprawę, że musi ponownie przesłuchać wdowę i mecenasa Martucciego; postanowił spotkać się z obojgiem równocześnie i zobaczyć, co z tego wyniknie.

Ale najpierw musiał zająć się papierami, które pojawiły się na jego biurku. Była wśród nich obiecana lista klientów Trevisana; siedem gęsto zapisanych na maszynie stron z nazwiskami i adresami, ułożonymi w zupełnie neutralnym porządku alfabetycznym. Brunetti przerzucił szybko kartki, przebiegając wzrokiem kolumny nazwisk. Kilka razy gwizdnął cicho; klientela Trevisana rekrutowała się spośród najbogatszych obywateli miasta oraz tych, którzy tworzyli jego arystokrację. Wrócił do pierwszej strony i tym razem zaczął czytać listę wolno, nazwisko po nazwisku. Miał świadomość, iż ktoś spoza Wenecji mógłby uznać, że poświęca temu zajęciu zbyt wiele czasu, jednakże każdy weneccjanin wiedziałby, że studiując listę, przypomina sobie plotki, pogłoski i pomówienia dotyczące poszczególnych osób, które na niej figurują. Baggio - dyrektor portu, człowiek nawykły do władzy i posługujący się nią z całą bezwzględnością. Seno - właściciel największej wytwórni szkła na wyspie Murano, zatrudniający ponad trzysta osób, którego konkurencję trapiły strajki i nagłe pożary.

Brandoni, *conte* Brandoni - właściciel ogromnej fortuny, której pochodzenie było tak samo niejasne, jak jego hrabiowskiego tytułu.

Wiele z osób na liście cieszyło się znakomitą, wręcz nieskazitelną opinią; najbardziej dziwiło Brunettiego właśnie to, że podejrzane nazwiska widniały obok szanowanych, że filary prawości były wymieniane jednym tchem z łajdakami. Komisarz cofnął się do litery F, żeby sprawdzić, czy jego teść, *conte* Orazio Falier, również figuruje na liście, ale nie znalazł jego nazwiska. Odłożył kartki, świadom, że nie ma wyboru; będzie musiał przesłuchać kolejno wszystkich wymienionych. Był zły na siebie, że nie potrafi się przemóc, zadzwonić do teścia i spytać, co mu wiadomo o Trevisanie. I o jego klientach.

Pod listą znajdowała się pracowicie wystukana na maszynie, nadmiernie długa notatka sporządzona przez funkcjonariusza Graviniego, który pisał, że brazylijska prostytutka i jej alfons zjawili się ubiegłego wieczoru w barze Pinetta, a wtedy on, Gravini, „zainicjował” aresztowanie.

- Zainicjował? - zdziwił się na głos Brunetti.

Takie były skutki zatrudniania w policji absolwentów wyższych uczelni. Kiedy Brunetti zadzwonił na dół, by dowiedzieć się, gdzie jest teraz prostytutka i alfons, okazało się, że na polecenie Graviniego zostali rano przewiezieni z aresztu na komendę i umieszczeni w oddzielnych pomieszczeniach, na wypadek gdyby Brunetti zechciał ich przesłuchać.

Poniżej leżał faks z policji w Mestre z informacją, że pociski wydobyte ze zwłok Lotta pochodziły z pistoletu kalibru 5,6 mm. Nie sprawdzono jeszcze, czy Trevisana zastrzelono z tej samej broni, ale Brunetti nie wątpił, że badania balistyczne to potwierdzą.

Pod spodem leżało kilka przefaksowanych stron opatrzonych nagłówkiem SIP i zawierających wykaz rozmów, który pani Elettra zdobyła za pośrednictwem swojego znajomego. Wdzięczny Rondiniemu za pomoc, Brunetti przypomniał sobie nagle o liście, który obiecał mu napisać. Choć nie rozumiał i nawet nie próbował zrozumieć, czym się kierują ludzie, którzy się pobierają, przemknęło mu przez głowę, że może Rondini powinien zrezygnować z narzeczonej, skoro potrzebuje dla niej takiego listu.

Nie wiedział, czego oczekuje po rozmowie z Marą i jej alfonsem, ale mimo to postanowił z nimi pomówić. Zszedł na pierwsze piętro, gdzie mieściły się trzy pomieszczenia podobne do więziennych cel, w których przesłuchiowano podejrzanych i inne zatrzymane osoby.

Przed drzwiami jednego z pomieszczeń stał Gravini, przystojny młody mężczyzna, który wstąpił do policji przed rokiem. Przez dwa poprzednie lata bezskutecznie poszukiwał pracodawcy gotowego zatrudnić dwudziestosiedmioletniego absolwenta wydziału filozofii, w

dodatku bez żadnego doświadczenia. Brunetti często zastanawiał się, jaki to imperatyw skłonił Gravinię do przywdziania munduru i czapki sił porządku. A może - myśl ta pojawiła się nie wiadomo skąd - Gravini uznał, że *vice-questore* Patta to żywe wcielenie platońskiego filozofa króla?

- Dzień dobry, panie komisarzu - powiedział Gravini i zsalutował, bynajmniej nie zdziwiony faktem, że przełożony nadszedł śmiejąc się sam do siebie. Podobno filozofowie nie dziwią się niczemu.

- Które tu jest? - spytał Brunetti, wskazując ruchem głowy drzwi, przed którymi stał funkcjonariusz.

- Dziewczyna. - Gravini wręczył przełożonemu granatową teczkę. - Akta alfonsa. Ona dotąd nie była notowana.

Brunetti otworzył teczkę i spojrział na dwie kartki przypięte do wewnętrznej strony okładki. Nic szczególnego: napad, handel narkotykami, czerpanie korzyści z nierządu. Takich jak Franco Silvestri były tysiące. Przeczytawszy dokładnie obie kartki, Brunetti zwrócił teczkę Graviniemu.

- Czy sprawiali kłopoty podczas aresztowania?

- Dziewczyna nie. Zupełnie jakby się nas spodziewała. Ale facet usiłował uciec. Ruffo i Vallot byli ze mną, pilnowali drzwi, więc złapali go, kiedy tylko wyskoczył na ulicę.

- Dobra robota, Gravini. Czy to był twój pomysł, żeby ich zabrać ze sobą?

- Niezupełnie. - Gravini zakasłał cicho. - Kiedy im powiedziałem, co mam zrobić, sami zaproponowali, że pójda ze mną. Byli już po służbie.

- Dobrze się z nimi pracuje, prawda?

- Tak, panie komisarzu.

- Cieszę się. No, czas pogadać z dziewczyną.

Brunetti wszedł do ciasnego, ponurego pokoiku.

Przez brudne okienko znajdujące się wysoko na jednej ze ścian - zbyt wysoko, żeby ktokolwiek zdołał do niego podskoczyć - wpadało niewiele światła; pojedyncza sześćdziesięciowatowa żarówka za drucianą osłoną, paląca się na środku sufitu, też rzuciła słaby blask.

Mara siedziała na skraju jednego z trzech krzeseł. W pokoiku nie było nic, ani stołu, ani innych mebli, ani umywalki; tylko trzy proste, drewniane krzesła. Na podłodze wały się niedopałki. Kiedy Brunetti wszedł, dziewczyna podniosła głowę, poznała go i zupełnie spokojnym tonem powiedziała:

- Dzień dobry.

Sprawiała wrażenie zmęczonej, jakby kiepsko spała w nocy, ale nie wydawała się specjalnie zdenerwowana tym, że przebywa w areszcie. Na oparciu jednego z wolnych krzeseł wisiała kurtka ze sztucznego futra, którą Brunetti widział podczas ich poprzedniego spotkania; bluzka i spódnica, które Mara miała na sobie, były wygniecione, jakby w nich spała. Makijaż albo jej się starł, albo go zmyła; bez niego wyglądała znacznie młodziej, niemal jak nastolatka.

- Bywałeś już w takich miejscach, prawda? - spytał Brunetti siadając.

- Nawet nie pamiętam ile razy. Ma pan papierosy? Skończyły mi się, a glina na korytarzu nie chce nawet otworzyć drzwi.

Brunetti podszedł do drzwi i trzykrotnie zastukał, a kiedy Gravini otworzył, spytał go, czy ma papierosy. Funkcjonariusz dał mu paczkę. Komisarz wręczył ją dziewczynie.

- Dziękuję. - Wyjęła papierosa, po czym sięgnęła do kieszeni spódnicy po plastikową zapalniczkę. - Moja matka umarła od tego. - Pomachała zapalonym papierosem, obserwując unoszący się z niego dym. - Mówiłam, żeby tak właśnie napisano w akcie zgonu, ale lekarze nie chcieli. Napisali „nowotwór”, a powinni byli napisać „marlboro”. Błagała mnie, żebym nie paliła, i obiecałam jej, że nie nigdy zacznę.

- Dowiedziała się, że palisz?

Mara potrząsnęła głową.

- Nie, ani o tym, ani o wielu innych rzeczach.

- Na przykład o jakich?

- Na przykład o mojej ciąży. Zmarła, kiedy byłam w czwartym miesiącu. Pierwsza ciąża, więc niewiele było po mnie widać. Matka niczego nie zauważyła.

- Może by się ucieszyła. Zwłaszcza jeśli wiedziała, że umiera.

- Miałam piętnaście lat.

- Aha. - Brunetti odwrócił wzrok. - Miałas więcej?

- Czego?

- Dzieci. Powiedziałaś, że to była pierwsza ciąża.

- Nie. Tylko to jedno. Przy następnej ciąży poroniłam, a potem się już zawsze pilnowałam.

- Gdzie jest twoje dziecko?

- W Brazylii, u siostry mojej matki.

- Chłopiec czy dziewczynka?

- Dziewczynka.

- Ile ma lat?

- Sześć. - Uśmiechnęła się na myśl o córeczce. Spojrzała na buty, potem na Brunettiego; zawahała się, ale w końcu rzekła: - Mam jej zdjęcie, jeśli chce pan zobaczyć.

- Tak, oczywiście - powiedział, przysuwając się z krzesłem.

Rzuciła niedopałek na podłogę, po czym wyjęła z zza dekoltu pozłacany medalion wielkości stulirowej monety. Otworzyła go, naciskając przycisk u góry, i wyciągnęła do Brunettiego, który pochylił się, żeby lepiej widzieć. Po jednej stronie medalionu ujrzał spowite ciasno niemowlę o okrągłej buzi, a po drugiej sztywno wyprostowaną dziewczynkę o długich, ciemnych warkoczach, ubraną w szkolny mundurek.

- Chodzi do szkoły prowadzonej przez zakonnice - oznajmiła Mara, przekrzywiając głowę, żeby też spojrzeć na zdjęcia. - Uważam, że tak jest najlepiej.

- Też tak sędzę - zgodził się Brunetti. - Żona i ja również posyłaliśmy córkę do zakonnice, dopóki nie skończyła podstawówki.

- Ile ma lat? - spytała Mara, zamykając medalion i chowając go do bluzki.

- Czternaście. - Brunetti westchnął. - To trudny wiek - dodał i dopiero wtedy skojarzył, co w podobnym wieku musiało przydarzyć się Marze.

- Owszem, trudny - przyznała, nie wchodząc w szczegóły. - Mam nadzieję, że dobre z niej dziecko.

Brunetti uśmiechnął się z dumą.

- Tak, dobre. Nawet bardzo dobre.

- Ma pan więcej dzieci?

- Syna. Siedemnastoletniego.

Kiwnęła tylko głową, jakby za dużo wiedziała o siedemnastoletnich chłopakach.

- I po co to wszystko? - spytał po dłuższej chwili Brunetti, wskazując ręką ciasne wnętrze.

Mara wzruszyła ramionami.

- Masz córkę w Brazylii, więc dlaczego aż tutaj przyjechałaś do pracy? - zapytał, uśmiechając się, żeby jej nie urazić.

- Zarabiam i wysyłam ciotce dość pieniędzy, żeby starczyło na chesne, jedzenie, nowy mundurek, jeśli jest potrzebny - odparła zdławionym głosem; Brunetti nie był pewien, zdławionym z powodu dumy czy gniewu.

- A w Sao Paulo nie dałabyś rady na wszystko zarobić? Mogłabyś być z córką...

- Rzuciłam szkołę, kiedy miałam dziewięć lat, bo ktoś musiał się zaopiekować młodszym rodzeństwem. Matka chorowała, a ja byłam jedyną dziewczynką. Potem, po

urodzeniu córki, podjęłam pracę w barze. - Przechwyciła jego spojrzenie. - Nie, nie taką pracę. Po prostu serwowałam drinki.

Kiedy zorientował się, że nie zamierza powiedzieć nic więcej, zapytał:

- Długo byłaś kelnerką?

- Trzy lata. Starczyło na czynsz i na jedzenie dla mnie i dla ciotki, która opiekowała się moją córeczką. Ale na niewiele więcej.

Znów umilkła, lecz Brunetti domyślił się, że teraz opowie mu o sobie już wszystko.

- I co było potem? - zapytał.

- Potem zjawił się Eduardo, mój włoski kochanek - rzekła z goryczą. Zaczęła miażdżyć butem jeden z niedopałków, aż zostały z niego skrawki bibułki i sprasowane strzępy tytoniu.

- Eduardo?

- Eduardo Alfieri, a przynajmniej tak powiedział, że się nazywa. Pewnego wieczoru zobaczył mnie w barze, został aż do zamknięcia i spytał, czy nie poszłabym z nim na kawę. Nie na drinka, tylko na kawę, tak jak się zaprasza porządną dziewczynę.

- I co się stało?

- A jak pan sądzi? Wypiliśmy kawę i odtąd co wieczór przychodził do baru, a po zamknięciu zapraszał mnie na kawę, zawsze grzecznie, z szacunkiem. Podobałby się mojej babci, taki był dobrze wychowany. Po raz pierwszy mężczyzna traktował mnie jak normalną osobę, a nie jak dziurę do pieprzenia, więc stało się to, co stać się musiało. Zakochałam się.

- No tak. - Brunetti westchnął. - No tak.

- Powiedział, że chce się ze mną ożenić, ale najpierw muszę pojechać do Włoch i poznać jego rodzinę. Obiecał, że wszystko weźmie na siebie, że załatwi mi wizę, pracę. Mówił, że bez trudu nauczę się włoskiego. - Uśmiechnęła się gorzko. - Jedyne to się sprawdziło.

- I co dalej?

- Podpisałam wszystkie papiery, wsiadłam do samolotu linii Alitalia i przyleciałam do Włoch. Na lotnisku w Mediolanie czekał na mnie Eduardo. - Spojrzała Brunettiemu prosto w oczy. - Pewnie słyszał pan takie historie setki razy, co?

- Takie lub podobne. I co, okazało się, że są jakieś kłopoty z papierami, tak?

Uśmiechnęła się smutno na wspomnienie samej siebie sprzed lat, młodej i naiwnej.

- Właśnie. Kłopoty z papierami. Biurokracja. Ale Eduardo powiedział, że zabiera mnie do swojego mieszkania, że wszystko się później wyjaśni. Byłam zakochana, wierzyłam mu. Wieczorem poprosił mnie o paszport, bo bez niego nie załatwi formalności związanych ze

ślubem. - Mara wyjęła papierosa, po czym wsunęła go z powrotem do paczki. - Mogłabym prosić o kawę?

Brunetti zastukał do drzwi i polecił Gravinemu, żeby przyniósł kawę oraz kanapki. Kiedy wrócił na miejsce, dziewczyna trzymała w ustach zapalonego papierosa.

- Widziałam go potem tylko raz. Przyszedł wieczorem powiedzieć mi, że z moją wizą są poważne trudności, że nie może mnie poślubić, dopóki sprawa się nie wyjaśni. Nie wiem, kiedy przestałam mu wierzyć i zrozumiałam, o co chodzi.

- Dlaczego nie poszłaś na policję?

- Na policję? - Jej zdumienie nie było udawane. - Miał mój paszport, a poza tym pokazał mi jeden z papierów, które podpisałam przed wyjazdem, w dodatku w obecności notariusza, bo Eduardo twierdził, że to ułatwi nam wszystko we Włoszech. Z treści wynikało, że pożyczyl mi pięćdziesiąt milionów lirów.

- Co potem?

- Powiedział, że znalazł mi pracę w barze i że nie odda mi paszportu, dopóki nie spłacę długu.

- I co?

- Zaprowadził mnie do tego baru. Właściciel powiedział, że owszem, mogę u niego pracować. Że będę dostawać milion miesięcznie. Potem okazało się, że muszę mieszkać w pokoiku nad barem i właściciel będzie potrącał za czynsz. Nie mogłam mieszkać gdzie indziej, bo nie miałam paszportu i wizy. Jeszcze później okazało się, że będzie mi też potrącał za wyżywienie i odzież, którą mi kupił. Kupił, bo nie miałam co na siebie włożyć. Eduardo nigdy nie przyniósł moich walizek. W sumie stanęło na tym, że będę dostawać na rękę pięćdziesiąt tysięcy lirów miesięcznie. Nie znałam włoskiego, ale umiałam liczyć; wiedziałam, że to zaledwie trzydzieści dolarów. Nawet w Brazylii za mało, żeby utrzymać starą kobietę i dziecko.

Rozległo się pukanie i drzwi się uchyliły. Brunetti wziął od Graviniego metalową tacę. Kiedy wracał na miejsce, Mara przysunęła trzecie krzesło, żeby miał gdzie wszystko postawić. Oboje posłodzili kawę, po czym Brunetti wskazał dziewczynie talerz z kanapkami. Potrząsnęła głową.

- Nie, najpierw dokończę tę historię - powiedziała, upijając łyk kawy. - Nie byłam głupia; wiedziałam, jaki mam wybór. Więc zaczęłam odstawiać numerki. Na początku było trudno, ale potem przywykłam. To było dwa lata temu.

- Co potem? Jak trafiłaś z Mediolanu do Mestre?

- Pochorowałam się, dostałam zapalenia płuc. Nie znoszę zimnego klimatu. -
Wzdrygnęła się na samą myśl. - Kiedy byłam w szpitalu, bar spłonął. Słyszałam, że został
podpalony. Nie wiem, jak było naprawdę, ale mam nadzieję, że ktoś rzeczywiście puścił tę
budę z ogniem. Tego dnia, gdy wypisywano mnie ze szpitala, zjawił się Franco... - wykonała
gest w stronę ściany po lewej, jakby wiedziała, że alfons znajduje się w sąsiednim
pomieszczeniu - ...zapłacił za moje leczenie i przywiózł mnie tutaj. Od tego czasu pracuję dla
niego. - Dopłała kawę i odstawiła filiżankę na tacę.

Brunetti faktycznie tysiące razy słyszał takie historie, ale po raz pierwszy kobieta,
która mu ją opowiadała, nie użalała się nad sobą i nie usiłowała się przedstawić jako ofiara
potężnych sił, na które nie ma wpływu.

- Czy on... - wskazał głową tę samą ścianę co dziewczyna, choć tak się akurat
składało, że Franco trzymany był w pomieszczeniu po przeciwnej stronie - ...czy ma jakieś
powiązania z właścicielem tego baru w Mediolanie? Albo z właścicielem baru, w którym
pracujesz obecnie? Albo z Eduardem?

- Nie wiem. - Utkwiła wzrok w podłodze.

Brunetti milczał.

- Myślę, że mnie odkupił. Albo odkupił mój kontrakt - powiedziała wreszcie,
podnosząc głowę. - Bo co?

Nie widział powodu, żeby ją okłamywać.

- Trafiliśmy na numer baru Pinetta w trakcie pewnego śledztwa. Próbujemy się
dowiedzieć, o co chodzi.

- Czego dotyczy to śledztwo?

- Nie mogę ci wyjawić - oznajmił Brunetti. - Ale nie ma związku z tobą, Eduardem
czy podobnymi sprawami.

- Mogę zadać pytanie?

Ilekróć Chiara używała tego zwrotu, Brunetti żartował z niej, że przecież nie mogłaby
zadać odpowiedzi, ale teraz powiedział tylko:

- Oczywiście.

- Czy to śledztwo... czy ma coś wspólnego z... - Szukała właściwego sformułowania. -
Z tym, że niektóre z nas umierają?

- Niektóre z nas?

- Kurwy.

- Nie - odparł szybko; wiedział, że mu wierzy. - Dlaczego pytasz?

- Właściwie bez powodu. Po prostu krążą różne plotki. - Podniósłszy kanapkę, ugryzła niewielki kęs, po czym strzepnęła ręką okruszki, które spadły jej na bluzkę.

- Jakie plotki?

- Nic takiego. - Ugryzła następny kęs.

- Posłuchaj, Maro - zaczął Brunetti, niepewny, jaki najlepiej przyjąć ton. - Jeśli chcesz mi coś powiedzieć albo o coś mnie spytać, rękę ci, że nikt się o tym nie dowie. Nie mówię oczywiście o jakichś zbrodniach - dodał szybko, zanim dziewczyna zdążyła powiedzieć cokolwiek - ale o normalnych sprawach. Możesz mi zaufać.

- Nie będzie protokołu?

- Nie będzie.

- Jak panu na imię?

- Guido.

- Hydraulik Guido? - Uśmiechnęła się na myśl, że posłużył się swoim prawdziwym imieniem.

Skinął głową. Mara ugryzła kanapkę.

- Krążą dziwne pogłoski - rzekła, po czym spojrzała na swoją bluzkę i znów strzepnęła okruszki. - Sam pan wie, jak szybko wieść się niesie. W każdym razie słyszałam różne rzeczy. Już nie wiem, gdzie i od kogo.

- Co słyszałaś, Maro?

- Że ktoś nas morduje. - Potrząsnęła głową. - Nie, inaczej. Nie morduje. Ale dziewczyny umierają.

- Jak to umierają?

- Najpierw ta młoda. Nie pamiętam, jak się nazywała, była Jugosłowianką. Zabiła się w lecie, a potem Anję, Bułgarce, zabił klient. Nie znałam tej małej z Jugosławii, ale Anję tak. Szła z każdym.

Brunetti pamiętał obie zbrodnie; wiedział też, że policji nie udało się nawet ustalić nazwisk ofiar.

- A potem ta ciężarówka, która zjechała z szosy i się rozbiła. - Dziewczyna umilkła i spojrzała na Brunettiego.

Nie kojarzył, jaki wypadek Mara ma na myśli. Niby przez mgłę coś sobie przypominał, ale wspomnienie było bardzo mętne.

- Koleżanka mówiła, że podobno te dziewczyny jechały tu do roboty. Zapomniałam skąd.

- Miały pracować jako prostytutki? - Brunetti natychmiast pożałował pytania.

Mara nie odpowiedziała. Wyraz jej oczu zmienił się, jakby opadła w nich zasłona.

- Nie pamiętam - rzekła po chwili.

Komisarz poznał po jej głosie, że swoim obcesowym pytaniem przeciął cienką nić porozumienia, jaka na krótko się między nimi zawiązała.

- Informowałeś kogoś o tym?

- Ma pan na myśli policję? - Prychnęła sarkastycznie, po czym cisnęła nie dojeżdżoną kanapkę na talerz. - Czy jestem o coś oskarżona?

- Nie.

- Więc mogę już iść?

Młoda sympatyczna dziewczyna, z którą rozmawiał, znikła; jej miejsce zajęła kurwa z baru, za którą poszedł do pokoju.

- Tak, możesz wyjść, kiedy tylko zechcesz - odparł; nim zdążyła wstać, wskazał ścianę, za którą wcale Franca nie było, i spytał: - Uważasz, że to bezpieczne wychodzić, zanim zwolnimy jego?

- Co tam on! - Wydęła pogardliwie wargi.

Brunetti zastukał do drzwi.

- Signorina jest wolna - powiedział, kiedy Gravini otworzył.

Mara zgarnęła z krzesła kurtkę, minęła Brunettiego i bez słowa wyszła na korytarz. Kiedy znikła za rogiem, komisarz spojrział na Graviniego.

- Dziękuję za kawę - rzekł, biorąc od podwładnego teczkę, którą ten wciąż trzymał w ręce.

- Drobiazg, panie komisarzu.

- Proszę sprzątnąć tacę, a ja tymczasem zajrzę do pokoju obok.

- Mam kupić papierosy? Albo przynieść kawę?

- Nie. I tak jest mi winien pięćdziesiąt tysięcy lirów.

Kiedy Brunetti wszedł do pomieszczenia, w którym przebywał Franco, wystarczył mu jeden rzut oka na alfonsa, aby wiedzieć o nim wszystko, co potrzebował. Franco był twardym gościem, który nie bał się glin i nie pozwalał sobie w kaszę dmuchać. Z akt, a także ze słów della Cortego wynikało, że to narkoman. Narkoman, który od ponad dziesięciu godzin nie miał dostępu do heroiny, bo spędził noc w areszcie policyjnym.

- Dzień dobry, signor Silvestri - rzekł uprzejmie Brunetti, jakby przyszedł porozmawiać o rozgrywkach piłki nożnej.

Silvestri wyprostował ramiona i spojrział na komisarza. Rozpoznał go natychmiast.

- Hydraulik - mruknął i splunął na podłogę.

- Ależ signor Silvestri - powiedział wyrozumiałym tonem Brunetti, siadając na jednym z dwóch wolnych krzeseł. Otworzył teczkę i spojrzał na górną kartkę, a potem tę pod spodem.

- Napaść i czerpanie korzyści z nierządu; widzę, że był pan też aresztowany za handel narkotykami... - zerknął na poprzednią kartkę - ...w styczniu ubiegłego roku. Dwa nowe udokumentowane przypadki przyjmowania od klientów pieniędzy przeznaczonych dla prostytutki sprawią panu trochę nieprzyjemności, ale podejrzewam, że...

- Nie marnujmy czasu, dobrze, panie hydrauliku? - przerwał Silvestri. - Niech mnie pan po prostu oskarży, a ja zadzwonię do mojego adwokata, żeby przyjechał i mnie wyciągnął.

Zmierzywszy go od niechcienia wzrokiem, komisarz zobaczył, że alfons trzyma dłonie mocno zaciśnięte, a czoło ma wilgotne od potu.

- Chętnie bym tak zrobił, signor Silvestri, ale tym razem chodzi o znacznie poważniejszą sprawę niż wszystko, co ma pan dotąd na sumieniu. - Brunetti zamknął teczkę i klepnął się nią w kolano. - Niestety wykracza ona poza kompetencje policji weneckiej.

- Co to niby za sprawa? - Świadom, że Brunetti mu się przygląda, alfons zmusił się, żeby rozluźnić zaciśnięte dłonie i położyć je wyprostowane na udach.

- Otóż bar, w którym... no, powiedzmy, prowadzi pan interesy, od pewnego czasu jest obserwowany, a telefon znajduje się na podsłuchu.

- Kto obserwuje bar?

- SISMI. A konkretnie, brygada antyterrorystyczna.

- Brygada antyterrorystyczna? - powtórzył tępo Silvestri.

- Właśnie. Wygląda na to, że w barze Pinetta spotykają się osoby podejrzane o podłożenie bomby w muzeum we Florencji - rzekł Brunetti, który na poczekaniu wymyślił tę historię. - Pewnie nie powinienem o tym mówić, ale skoro i tak jest pan we wszystko zamieszany...

- We Florencji? - Silvestri potrafił już tylko powtarzać to, co usłyszał.

- Tak. Niewiele wyjawiono nam, zwykłej policji, ale najwyraźniej terroryści przekazywali sobie wiadomości przez telefon w barze. Brygada zainstalowała podsłuch co najmniej przed miesiącem. Oczywiście, wszystko zgodnie z prawem; otrzymali pozwolenie sędziego. - Brunetti zamachał teczką. - Kiedy moi ludzie aresztowali pana wczoraj wieczorem, próbowałem przekonać tamtych, że jest pan drobną płótką i podlega nam, ale nie chcieli słuchać.

- Co to oznacza? - spytał Silvestri głosem, w którym nie było już cienia złości.

- Że mogą pana zatrzymać zgodnie z procedurą stosowaną przy zwalczaniu terroryzmu. - Brunetti zamknął teczkę i wstał. - To oczywiście tylko nieporozumienie między różnymi organami sił porządku, signor Silvestri, nie ma pan się czym martwić. Zresztą po czterdziestu ośmiu godzinach i tak muszą pana wypuścić.

- A co z moim adwokatem?

- Będzie pan mógł wtedy do niego zadzwonić, signor Silvestri. To przecież tylko czterdzieści osiem godzin, z których... - Brunetti odsunął mankiet i spojrzął na zegarek - ...dziesięć minęło. Tak, za półtora dnia zadzwoni pan do adwokata, a on natychmiast pana stąd wyciągnie. - Uśmiechnął się.

- Dlaczego akurat pan ze mną rozmawia? - spytał podejrzliwie Silvestri.

- Zatrzymał pana jeden z moich ludzi. Poniekąd z mojej winy spędzi pan dwie doby w areszcie. Pomyślałem więc, że należy się panu jakieś wyjaśnienie. A ponieważ miałem już wcześniej do czynienia z tymi z SISMI, wiem, jak trudno przemówić im do rozumu - oświadczył znużonym tonem Brunetti. - No cóż, nic się na to nie poradzi. Mają prawo zatrzymać każdego na czterdzieści osiem godzin bez powiadamiania kogokolwiek. - Znów spojrzął na zegarek. - Ale czas płynie tak szybko, że ani się pan obejrzy, a już będzie pan na wolności. Gdyby chciał pan coś poczytać, gazety, pisma, niech pan da znać policjantowi przy drzwiach. - Komisarz wstał i skierował się do wyjścia.

- Proszę... proszę nie wychodzić - powiedział Silvestri, niewątpliwie po raz pierwszy w życiu zwracając się tak grzecznie do policjanta.

Brunetti odwrócił się, z zaciekawieniem przekrzywiając głowę.

- Już pan wie, jakie sobie życzył „Panorma”? „Architectural Digest”? „Famiglia Christiana”?

- Czego pan chce? - zapytał alfons podniesionym głosem, ale bez złości. Na czole lśniły mu grube krople potu.

Brunetti widział, że nie ma co się dłużej bawić w kotka i myszkę. Twardziel, który nie dawał sobie w kaszę dmuchać, był gotów jeść mu z ręki.

- Kto dzwoni do ciebie do baru? I do kogo ty dzwonisz? - spytał surowym tonem.

Silvestri przejechał obiema rękami po twarzy i włosach; niesforny lok przykleił mu się do czoła. Potem kilkakrotnie potarł wierzchem dłoni usta, jakby chcąc zetrzeć z nich niewidoczną plamę.

- Dzwoni pewien facet, kiedy przyjeżdżają nowe dziewczyny.

Brunetti milczał.

- Nie wiem, kim jest ani skąd dzwoni. Odzywa się mniej więcej raz na miesiąc i mówi, gdzie mani je odebrać. Dziewczyny nie stawiają oporu, wiedzą, czego się od nich oczekuje. Nie muszę im nic tłumaczyć, tylko je zabrać i każdej wyznaczyć rewir.

- A forsa?

Silvestri nie odpowiedział, więc Brunetti odwrócił się i znów ruszył w stronę drzwi.

- Oddaję pewnej kobiecie. Każdego miesiąca. Kiedy ten facet dzwoni, mówi mi, gdzie i kiedy mam się z nią spotkać. Więc spotykamy się i daję jej forszę.

- Ile?

- Wszystko.

- Co wszystko?

- Cały szmal, jaki zostaje po zapłaceniu dziewczynom i za wynajmowane pokoje.

- Ile tego jest?

- To zależy - powiedział wymijająco alfons.

- Nie marnuj mojego czasu, Silvestri! - warknął Brunetti, udając zagniewanego.

- Zwykle czterdzieści, pięćdziesiąt milionów. Raz więcej, raz mniej.

Brunetti podejrzewał, że częściej jest więcej niż mniej.

- Co to za kobieta? - spytał.

- Nie wiem. Nigdy jej nie widziałem.

- Jak to?

- Facet mówi mi, gdzie będzie zaparkowany jej wóz. Biały mercedes. Podchodzę od strony bagażnika, otwieram tylne drzwi i kładę pieniądze na siedzeniu. Ona zaraz odjeżdża.

- I nigdy jej nie widziałeś?

- Nosi okulary słoneczne. A na głowie chustkę.

- Jaka jest? Wysoka? Chuda? Biała? Czarna? Blondynka? Stara? Młoda? Bez wygłupów, Silvestri, nie trzeba widzieć twarzy, żeby to poznać.

- Niska nie jest, ale nie wiem, jakiego koloru ma włosy. I chyba nie jest stara, choć twarzy nie widziałem.

- Jakie są numery rejestracyjne wozu?

- Nie wiem.

- Nie widziałeś?

- Nie. Zawsze daję pieniądze późnym wieczorem, a wszystkie światła wozu są zgaszone.

Brunetti był przekonany, że Silvestri łączy jak z nut, ale czuł, że więcej z niego nie wyciągnie.

- Gdzie czeka na ciebie wóz?

- Na ulicy. W Mestre. Raz w Treviso. W różnych miejscach. Facet mówi mi przez telefon, gdzie mam się stawić.

- A dziewczyny? Gdzie je odbierasz?

- To samo. Facet mówi, na którym będą rogu i o której po nie podjechać.

- Kto je dowozi?

- Nie wiem. Kiedy przyjeżdżam, one już są.

- Tak po prostu? Stoją i czekają?

- Wiedzą, że lepiej nie próbować żadnych sztuczek - oznajmił Silvestri z niespodziewaną nutą okrucieństwa w głosie.

- Skąd są?

- Zewsząd.

- To znaczy?

- Z różnych miast. Z różnych krajów.

- Jak tu trafiają?

- Nie rozumiem.

- Jak to się dzieje, że trafiają do... do twojej stajni?

- Przecież to tylko kurwy. Skąd, na miłość boską, mam wiedzieć? Nie gadam z nimi. - Silvestri wsunął ręce do kieszeni i podnosząc głos, zapytał: - Kiedy mnie pan stąd wypuści?

- Ile ich dotąd było?

- Już nie mogę! - ryknął alfons, zrywając się z krzesła i podbiegając do Brunettiego. - Nie mogę! Niech mnie pan stąd wypuści!

Brunetti poczekał, aż Silvestri cofnie się na miejsce. Dopiero wtedy zastukał w drzwi. Gravini otworzył natychmiast. Brunetti wyszedł na korytarz i kiedy funkcjonariusz przekręcił klucz w zamku, powiedział cicho:

- Za półtorej godziny możesz go wypuścić.

- Tak jest, panie komisarzu - rzekł Gravini i zsalutował plecami oddalającego się przełożonego.

Rozdział 22

Po sesji z Marą i jej alfonsiem Brunetti nie miał najmniejszej ochoty na spotkanie z wdową Trevisan i współnikiem jej zmarłego męża - było to jedno z określeń Martucciego, niekoniecznie najlepiej oddające jego rolę w tej sprawie - lecz mimo to zadzwonił do niej i powiedział, że dla dobra śledztwa musi koniecznie porozmawiać z nią i, jeśli to możliwe, z mecenasem Martuccim. Sprawdzono już ich wersje tego, co robili w wieczór morderstwa Trevisana; pokojówka Trevisanów potwierdziła, że pani nie wychodziła z domu, a przyjaciel Martucciego oświadczył, że dzwonił do niego o wpół do dziesiątej i zastał go w domu.

Doświadczenie nauczyło komisarza, że najlepiej pozwolić, aby podejrzani sami wybrali miejsce na spotkanie z przedstawicielem prawa; z reguły wybierali lokum, w którym czuli się najpewniej, co z kolei dawało im złudne poczucie, że panują nad przebiegiem rozmowy. Tak jak było do przewidzenia, signora Trevisan zaproponowała własne mieszkanie. Brunetti zjawił się punktualnie o piątej trzydzieści. Wciąż negatywnie nastawiony do świata po rozmowie z Frankiem Silvestrim, z góry krzywił się na myśl o ewentualnych przejawach gościnności wdowy; jeśli zaoferuje mu drinka, będzie to oznaczało, że udaje kobietę światową; jeśli herbatę, będzie to oznaką jej drobnomieszczaństwa.

Ale kiedy signora Trevisan, ubrana w prostą granatową sukienkę, wprowadziła go do salonu, w którym znajdowało się za mało foteli, a za dużo bibelotów mających świadczyć o znakomitym guście właścicielki, Brunetti zdał sobie sprawę, że zbyt wysoko ocenił swoją pozycję. Nikt nie zamierzał traktować go tu jak przedstawiciela władz, lecz jak intruza. Wprawdzie wdowa podała mu rękę, a Martucci wstał na jego widok, lecz najwyraźniej postanowili zachować tylko najbardziej podstawowe wymogi uprzejmości. Ich poważny sposób bycia i posepne miny miały go przekonać, że zakłóca żałobę; wspólną żałobę po utracie najdroższego męża i serdecznego przyjaciela. Jednakże po spotkaniu z sędzią Beniaminem Brunetti był do obojga nastawiony sceptycznie; poza tym wcześniejsza rozmowa z Frankiem Silvestrim nastawiła go sceptycznie do całej ludzkości.

Szybko wyrecytował zwyczajowe podziękowania za to, że zechcieli się z nim zobaczyć. Martucci kiwnął głową; wdowa Trevisan nie dała żadnego znaku, że w ogóle cokolwiek słyszała.

- Signora Trevisan, pragnę uzyskać od pani informacje na temat finansów męża - oświadczył Brunetti.

Nie zareagowała; nawet nie spytała, o jakie dokładnie informacje mu chodzi.

- Czy może mi pani powiedzieć, co się stanie z kancelarią?

- O to może pan spytać mnie - wtrącił Martucci.

- Pytałem pana dwa dni temu - rzekł Brunetti. - Niewiele mi pan powiedział.

- Obecnie wiem znacznie więcej.

- Czy to znaczy, że wdowa udostępniła panu testament? - Brunetti z zadowoleniem spostrzegł, że jego bezceremonialność zaskoczyła ich oboje.

- Signora Trevisan poprosiła mnie, żebym poprowadził sprawy spadkowe jej męża - oznajmił spokojnym, uprzejmym tonem Martucci. - To chyba wszystko wyjaśnia.

- Owszem - przyznał Brunetti. Zaskoczyło go, że Martucci nie daje się wyprowadzić z równowagi, ale przecież był prawnikiem nawykłym do tego, by panować nad sobą i nie okazywać emocji podczas najbardziej skomplikowanych negocjacji handlowych. - A więc co się stanie z kancelarią?

- Signora Trevisan będzie miała sześćdziesiąt procent.

Komisarz milczał tak długo, że w końcu Martucci poczuł się zmuszony dodać:

- A ja czterdzieści procent.

- Kiedy sporządzono testament?

- Przed dwoma laty - odpowiedział bez wahania prawnik.

- A kiedy pan podjął pracę w kancelarii, *avvocato* Martucci?

Signora Trevisan skierowała swoje blade oczy na Brunettiego i odezwała się po raz pierwszy, odkąd weszli do salonu.

- Chciałabym wiedzieć, *commissario*, jakiemu celowi służy ta rozmowa poza zaspokojeniem pańskiej wulgarnej ciekawości?

- Jej jedynym celem jest uzyskanie informacji, które pomogą mi znaleźć osobę winną śmierci pani męża.

- Uważam, że pańskie pytania miałyby sens tylko wówczas, gdyby istniał związek między testamentem męża a jego śmiercią - oznajmiła, opierając łokcie na poręczach fotela i składając dłonie jak do modlitwy. - Czy może moje rozumowanie wydaje się panu naiwne?

Kiedy Brunetti nic nie odrzekł, pozwoliła sobie na cień ironicznego uśmiechu.

- Naiwne, infantylne, prostoduszne? - dodała.

- Cenię prostotę, signora - odparł Brunetti, zadowolony, że przynajmniej jedno z nich udało mu się wyprowadzić z równowagi. - Dlatego zadaję proste pytania, na które łatwo można udzielić odpowiedzi. Jak właśnie to, jak długo signor Martucci pracował u pani męża.

- Dwa lata - oświadczył prawnik.

Brunetti skoncentrował na nim całą uwagę.

- W jaki sposób zmarły rozporządził resztą swojego majątku? - zapytał.

Martucci miał zamiar odpowiedzieć, gdy wdowa powstrzymała go ruchem dłoni.

- Pozwoli pan, *avvocato*, że ja odpowiem na to pytanie. - Po czym zwracając się do Brunettiego, rzekła: - Większość swojego dobytku, jak jest zwyczajowo przyjęte, Carlo pozostawił w równych częściach mnie i dzieciom. Poczynił pewne zapisy na rzecz krewnych i przyjaciół, ale główna część masy spadkowej przypada nam. Czy ta odpowiedź zaspokaja pańską ciekawość?

- Tak. Owszem.

- Jeśli to już wszystko... - Martucci uniósł się nieco, jakby chciał wstać.

- Mam jeszcze kilka pytań. - Brunetti spojrzał na wdowę. - Do pani.

Skinęła głową, posyłając Martucciemu uspokajające spojrzenie.

- Czy ma pani samochód?

Przez chwilę milczała.

- Nie rozumiem pańskiego pytania - powiedziała w końcu.

- Czy ma pani samochód? - powtórzył Brunetti.

- Tak.

- Jaki?

- A co to ma za znaczenie? - wtrącił Martucci.

Signora Trevisan zignorowała pytanie mecenasa.

- BMW. Trzyletnie. Zielone - odparła.

- Dziękuję - powiedział z kamienną twarzą Brunetti. - Czy pani brat pozostawił jakąś rodzinę?

- Nie. Z żoną był w separacji, a dzieci nie miał.

- Przecież musi pan mieć tego rodzaju informacje w aktach! - ponownie wtrącił się do rozmowy Martucci.

Brunetti puścił jego wypowiedź mimo uszu.

- Czy pani brat miał coś wspólnego z prostytutkami? - spytał, starannie dobierając słowa.

Martucci zerwał się na równe nogi, ale komisarz nawet na niego nie spojrzał; wpatrywał się w wdowę, która - gdy tylko padło pytanie - gwałtownie uniosła głowę. Na moment uciekła wzrokiem w bok, jakby pytanie wciąż dźwięczało jej w uszach, po czym utkwiała oczy w komisarzu. Dopiero po chwili na jej twarzy odmalował się gniew.

- Mój brat nie musiał korzystać z usług dziwek - oświadczyła, jakby z premedytacją podnosząc głos.

Jej złość udzieliła się Martucciemu.

- Nie pozwolę panu obrażać pamięci brata pani Trevisan! Pańskie insynuacje są niesmaczne i obelżywe. - Urwał, żeby nabrać powietrza, a Brunetti niemal widział, jak umysł prawnika przelacza się na najwyższe obroty. - Signora Trevisan może pana oskarżyć o zniesławienie. Jeśli zajdzie taka potrzeba, ma świadka w mojej osobie. - Martucci popatrzył na wdowę, a następnie na komisarza, ale oboje zignorowali jego wybuch.

Brunetti nie odrywał wzroku od wdowy, ona też już nie starała się uciec oczami od jego spojrzenia. Martucci ponownie otworzył usta, żeby kontynuować tyradę, ale po chwili je zamknął, stropiony tym, że wdowa i komisarz tak intensywnie się w siebie wpatrują, a także nieświadom faktu, iż ważniejsze od obelgi imputowanej pytaniem jest sformułowanie, którym się Brunetti posłużył.

Komisarz czekał, aż signora Trevisan i współnik jej męża zdadzą sobie sprawę, że on, Brunetti, spodziewa się nie wyrazów oburzenia, lecz jasnych odpowiedzi. Widział, jak wdowa zastanawia się nad pytaniem. Miał nadzieję, że szczerść, jaką dostrzegał w jej oczach, sprawi, iż jej odpowiedź również będzie szczerą, ale akurat w chwili kiedy kobieta chciała się odezwać, głos ponownie zabrał Martucci.

- Żądam przeprosin! - zawołał.

Brunetti nawet na niego nie spojrział. Martucci podszedł dwa kroki do przodu i stanął między nim a wdową, przerywając ich kontakt wzrokowy.

- Żądam przeprosin - powtórzył, patrząc z góry na komisarza.

- Tak, oczywiście, bardzo proszę - powiedział obojętnie Brunetti. - Przepraszam.

Dźwignąwszy się z fotela, stanął obok Martucciego, ale signora Trevisan zdążyła spuścić oczy i najwyraźniej nie zamierzała ich podnosić. Interwencja mecenasa zabiła w niej wszelką ochotę do zwierzeń; naleganie nic by nie dało.

- Jeśli zdecyduje się pani odpowiedzieć na moje pytanie, proszę zadzwonić na komendę - oznajmił, po czym bez słowa obszedł Martucciego, opuścił salon i mieszkanie.

W drodze do domu myślał o tym, jak niewiele brakowało, aby nawiązał prawdziwy kontakt z wdową. Czasem w rozmowie ze świadkiem lub podejrzanym tak się zdarzało: jakaś przypadkowa uwaga lub słowo powodowało, że rozmówca nagle się otwierał i wyjawiał coś, co normalnie starałby się ukryć. Ciekaw był, co signora Trevisan zamierzała powiedzieć. Co miał Lotto wspólnego z prostytutkami? Kim była kobieta w mercedesie? Czy to ona jadła kolację z Faverem tego wieczoru, kiedy go zamordowano? I co mogło do tego stopnia

zdenerwować kobietę z restauracji, że zapomniała okularów wartych milion lirów? Czy coś, co wydarzyło się podczas kolacji, czy też coś, o czym wiedziała, że wydarzy się później? Zewsząd osaczały Brunettiego pytania; miał wrażenie, że niczym Erynie krążą nad nim i śmieją z niego - śmieją, bo nie zna odpowiedzi, a co gorsza, nawet nie wie, które z pytań są ważne.

Po wyjściu z budynku, w którym mieszkała signora Trevisan, odruchowo skręcił w kierunku mostu Accademia i domu. Był tak zamyślony, że dopiero po paru minutach zorientował się, iż ulica jest dziwnie zatłoczona. Spojrzał na zegarek, zdumiony, dlaczego w tej części miasta jest aż tyle ludzi, w dodatku pół godziny przed zamknięciem sklepów. Kiedy przyjrzał się dokładniej przechodniom, nie miał wątpliwości, że to Włosi; żadna inna nacja nie nosiła się tak elegancko.

Zwolnił kroku i po prostu pozwolił, aby potok ludzi niośł go w stronę Campo Santo Stefano. Od strony najbliższego mostu dolatywał głos wzmocniony przez megafony, ale komisarz nie był w stanie rozróżnić poszczególnych słów.

Tłum podążający wąską uliczką wyniósł go na mroczniejący plac. Tuż przed sobą Brunetti ujrzał pomnik, który w myślach zawsze nazywał „bezą”, ponieważ był wykonany z wyjątkowo białego i porowatego marmuru. Inni weneccjanie - z powodu ksiązek, które w dość osobliwy sposób sterczały spod surduta kamiennej postaci - używali bardziej dosadnych określeń.

Po prawej ręce Brunettiego, przy kościele Santo Stefano, zbudowano drewniane rusztowanie. Znajdowało się na nim kilka krzeseł, a na dwóch rogach stały ogromne głośniki. Z drewnianych słupów na tyłach trybuny zwisały smętnie trzy flagi: trójbarwna włoska; wenecka, z lwem Świętego Marka; oraz nowy sztandar byłej Partii Demokracji Chrześcijańskiej.

Komisarz podszedł bliżej pomnika i przestąpił przez metalową barierkę otaczającą postument. Przed rusztowaniem czekało ze sto osób. Na jego oczach odłączyło się trzech mężczyzn i jedna kobieta; zaczęli wchodzić po stopniach na trybunę. Wtem z głośników popłynęła muzyka. Brunetti pomyślał, że to chyba hymn państwowy, ale muzyka rozbrzmiewała tak głośno i towarzyszyły jej tak silne trzaski, że nie sposób było odgadnąć.

Młodzieniec w dzinsach i skórzanej kurtce lotniczej podał jednemu z mężczyzn, którzy weszli na trybunę, mikrofon na długim sznurze. Przez chwilę mężczyzna trzymał go w prawej ręce, uśmiechając się do tłumu, po czym przełożył do lewej ręki, żeby ucisnąć dłonie pozostałych osób na trybunie. Młodzieniec w skórzanej kurtce dał komuś znak, żeby wyłączył muzykę, ale ta nadal płynęła z głośników.

Mężczyzna na trybunie podniósł mikrofon do ust i coś powiedział, lecz muzyka zagłuszyła jego słowa. Wyciągnął mikrofon przed siebie i postukał w niego dłonią; odgłos był taki, jakby oddano sześć przytłumionych strzałów.

Kilka osób odłączyło się od tłumy i weszło do baru. Sześć innych skierowało się ku frontowi kościoła i zagłębiło w Calle della Mandorla. Młodzieniec w skórzanej kurtce wdrapał się na rusztowanie i zaczął manipulować przy drutach idących do jednego z głośników. Głośnik ucichł, ale z drugiego nadal wydobywała się głośnie muzyka i trzaski. Młodzieniec przeszedł szybko przez trybunę i ukląkł przy drugim głośniku.

Ludzie powoli zaczęli się rozchodzić. Z trybuny zeszła kobieta i znikła w tłumie; zaraz po niej zeszło dwóch mężczyzn. Młodzieńcowi nie udało się wyłączyć muzyki, więc podbiegł do mężczyzny z mikrofonem i zaczęli się naradzać. Kiedy Brunetti oderwał od nich wzrok, przed trybuną była zaledwie garstka osób.

Komisarz wrócił na drugą stronę barierki i skierował się do mostu Accademia. Właśnie mijał niewielką budkę z kwiatami na końcu placu, kiedy nagle muzyka i trzaski urwały się, po czym męski głos, wzmocniony samym tylko gniewem, zawołał z trybuny:

- *Cittadini, Italiani...*

Brunetti jednak się nie zatrzymał ani nawet nie obejrzał. Zdał sobie sprawę, że ma ochotę naradzić się z Paolą. Chociaż było to wbrew regulaminowi, zawsze informował ją o postępie śledztwa i opowiadał jej, jakie wrażenie wywarły na nim przesłuchiwanie osoby oraz jakich udzielały mu odpowiedzi. Paola miała zwyczaj - którego nie potrafił jej oduczyć - mówić już na samym początku, kogo uważa za winnego. Tym razem nie rzucała oskarżeń, bo faktycznie materiał dowodowy na nikogo nie wskazywał; jupitery omiatające mrok w poszukiwaniu mordercy na nikim się dotąd nie skupiły. Paola była znakomitą słuchaczką; zadawała mądre pytania i domagała się prostych, logicznych odpowiedzi. Często starając się rozwiązać jej wątpliwości, sam zaczynał lepiej rozumieć całą sprawę. Ale podczas tego śledztwa nic mu nie sugerowała, nie wymądrzała się, nie próbowała kierować jego podejrzeń na żadną z osób, z którymi rozmawiał. Słuchała go z zaciekawieniem i to wszystko. Kiedy wrócił do domu, Paoli jeszcze nie było, ale Chiara już nie mogła się go doczekać.

- *Papa!* - zawołała ze swojego pokoju, kiedy usłyszała, jak otwierają się drzwi.

Chwilę później pojawiła się na korytarzu, trzymając w ręku otwarte pismo. Po żółtym skraju okładki poznał, że to „Airone”; lśniący papier, obfitość zdjęć i prosty styl wręcz niewolniczo naśladowały podobne publikacje amerykańskie.

- Co takiego, kotku? - spytał, pochylając się, żeby pocałować córkę w czubek głowy, po czym odwrócił się, aby powiesić płaszcz w szafie ściennej przy drzwiach.

- Organizują konkurs. Ten, kto wygra, otrzyma darmową prenumeratę.
- Przecież już masz prenumeratę! - Sam jej wykupił na Gwiazdkę.
- Nie o to chodzi, tatusiu.
- A o co? - Ruszył korytarzem w stronę kuchni. Zapalił światło i podszedł do lodówki.
- Chodzi o fakt wygrania - odparła, drepcząc mu po piętach.

Brunetti pomyślał, że może byłoby lepiej, aby Chiara czytała pisma mniej amerykańskie. Znalazł orwieto, zerknął na etykietę i wstawił butelkę z powrotem, po czym wyjął soave, które rozpoczęli do kolacji ubiegłego wieczoru. Wziął kieliszek, napełnił go i pociągnął łyk wina.

- No dobrze, Chiaro, co to za konkurs?
- Trzeba wymyślić imię dla pingwina.
- Imię dla pingwina? - powtórzył tępo.
- Tak. Zobacz.

Jedną ręką wyciągnęła do niego pismo, a drugą wskazała zdjęcie. Zobaczył coś, co przypominało zbitą masę kłaków, identyczną jak ta, którą Paola zawsze wyciągała z odkurzacza.

- Co to? - Zbliżył pismo do światła.
- Maleńki pingwin. Urodził się miesiąc temu w rzymskim zoo i dotąd nie ma imienia. Więc zorganizowano konkurs i wygra ten, kto wymyśli najlepsze imię.

Kiedy Brunetti dokładnie przyjrzał się zdjęciu, istotnie dostrzegł dziób oraz parę okrągłych czarnych ślepek. I dwie żółte łapki. Na sąsiedniej stronie znajdowało się zdjęcie dorosłego pingwina, ale Brunetti daremnie usiłował się doszukać podobieństwa między pisklęciem a dojrzałym ptakiem.

- Jakie wymyśliłaś? - spytał, przerzucając kartki; hieny, ibisy i słonie przelatywały mu przed oczami.

- Piegus.
- Jak?
- Piegus - powtórzyła.

- Pingwin ma się nazywać Piegus? - Ponownie otworzył pismo na stronie z warunkami konkursu i przyjrzał się zdjęciu dorosłego ptaka. - Piegus?

- Pewnie. Wszyscy inni będą chcieli go nazwać Kelner albo Dyrygent. Moja propozycja będzie oryginalna.

Z pewnością, pomyślał Brunetti.

- Może lepiej zachowaj to imię na inną okazję - rzekł, odstawiając butelkę do lodówki.

- Na jaką? - spytała, zabierając mu pismo.

- Kiedy ogłoszą konkurs na imię dla zebry.

- Och, tatusiu, ale z ciebie potrafi być głuptas! - powiedziała dziewczyna i ruszyła do swojego pokoju, zupełnie nieświadoma, jaką mu przyjemność sprawiła swoim komentarzem.

Brunetti przeszedł do jadalni i podniósł książkę, którą wczoraj wieczorem przed udaniem się na spoczynek położył otwartą na stole, wierzchem do góry. Skoro żony nie było i nie miał nic lepszego do roboty, mógł się znów emocjonować wojną peloponeską.

Paola zjawiała się godzinę później. Otworzyła kluczem drzwi i od razu przyszła do jadalni. Rzuciła płaszcz na oparcie kanapy, po czym usiadła obok Brunettiego, nawet nie zdejmując szalika.

- Guido, czy myślałeś kiedyś, że jestem szalona?

- Często - oświadczył, odwracając stronę książki.

- Nie, mówię poważnie. Muszę być szalona, skoro pracuję dla tych kretynów.

- Jakich kretynów? - spytał, wciąż nie podnosząc głowy znad książki.

- Tych, którzy kierują uniwersytetem.

- O co chodzi tym razem?

- Trzy miesiące temu poprosili mnie, żebym wygłosiła wykład w Padwie dla pracowników anglistyki. Na temat angielskiej powieści. Jak myślisz, dlaczego od dwóch miesięcy czytam te wszystkie książki?

- Bo je lubisz. Czytasz je od dwudziestu lat.

- Och, przestań, Guido. - Szturchnęła go lekko łokciem w bok.

- I co się stało?

- Dziś wstąpiłam do rektoratu odebrać pocztę i usłyszałam, że zaszła pomyłka, że powinnam przygotować wykład o amerykańskiej poezji. Tylko nikomu nie przyszło do głowy, żeby mnie powiadomić. Myśleli, że żadna różnica, skoro i powieści, i wiersze pisane są po angielsku.

- I co będzie?

- Dowiem się jutro. Mają zawiadomić Padwę, że wykład będzie o angielskiej powieści... O ile *Il Magnifico* wyrazi zgodę.

Oboje ich ogromnie bawiła ta cudowna pozostałość z epoki kamienia łupanego wyższej edukacji, mianowicie, że rektora uniwersytetu tytułuje się *Il Magnifico Rettore*; była to jedyna rzecz świadcząca o tym, że życie akademickie może mieć swoje uroki, o jakiej Brunetti dowiedział się w ciągu dwudziestu lat małżeństwa z pracownikiem naukowym.

- Jak myślisz, co zrobi? - spytał żonę.

- Pewnie rzuci monetę.

- No to powodzenia - rzekł, odkładając książkę. - Amerykańska literatura nieszczególnie ci leży, prawda?

- W ogóle mi nie leży, na miłość boską! - zawołała, kryjąc twarz w dłoniach. - Purytanie, kowboje, piskliwe kobiety. Wolałabym już nauczać „literatury srebrnego widelca”.

- Co takiego?

- „Literatura srebrnego widelca” to powieści o prostej fabule, pisane po to, aby uczyć ludzi, którzy doszli do pieniędzy, jak się mają zachowywać w towarzystwie.

- Dla japiszonów? - spytał, autentycznie zaciekawiony.

Paola wybuchnęła śmiechem.

- Nie, Guido, nie dla japiszonów. Pisano je w osiemnastym wieku, kiedy do Anglii napływało mnóstwo pieniędzy z kolonii i trzeba było nauczyć tłuste żony tkaczy z Yorkshire, kiedy i do czego używa różnych widelców. - Zadumała się na moment. - Ale właściwie proza Breta Eastona Ellisa, współczesnego powieściopisarza amerykańskiego, jest bardzo podobna.

Wtulila twarz w ramię męża i zaczęła chichotać. Chichotała tak długo, aż opadła z sił, choć Brunetti nie miał pojęcia, co ją tak bawi.

- A co u ciebie? - zapytała, kiedy wreszcie przestała się śmiać. Ściągnęła szalik i rzuciła na stół.

Brunetti położył otwartą książkę na kolanach, wierzchem do góry.

- Rozmawiałem z dziwką i jej alfonsem, a potem z wdową po Trevisanie i jej prawnikiem. - Mówiąc powoli, żeby nie pominąć żadnych szczegółów, opowiedział jej wszystko, co wydarzyło się w ciągu dnia, kończąc na reakcji wdowy na jego pytanie o prostytutki.

- Czy pani brat miał coś wspólnego z prostytutkami? - Paola powtórzyła dokładnie jego słowa. - Myślisz, że wiedziała, co masz na myśli?

Brunetti skinął głową.

- A prawnik nie zrozumiał?

- Nie, i chyba nie udawał. Nie zorientował się, że pytanie ma podwójny sens, że wcale nie pytam o to, czy jej brat sypiał z prostytutkami.

- Jednakże ona wiedziała, o co chodzi?

Brunetti znów skinął głową.

- Tak. Jest o wiele bardziej bystra od niego.

- Kobiety zwykle są bardziej inteligentne - oświadczyła Paola. - A jak ci się zdaje, co Lotto mógł mieć wspólnego z prostytutkami?

- Nie wiem, ale ona dobrze wie, sądząc po jej reakcji.

Paola zamilkła, żeby nie zakłócać toku jego myśli. Brunetti pocałował jej dłoń, po czym położył sobie na udzie.

- To jedyna wspólna nić - zaczął po chwili, mówiąc bardziej do siebie niż do żony. - Trevisan i Favero obaj mieli zapisany numer baru w Mestre. Baru, w którym przesiaduje ten alfons. Frankowi Silvestriemu stale dostarczane są nowe dziewczyny. Niewiele wiem o Lotcie poza tym, że prowadził finanse kancelarii Trevisana. - Podniósł rękę Paoli i przebiegł palcem po niebieskich żyłkach na wierzchu jej dłoni.

- To mało, prawda?

Pokiwał głową.

- A ta dziewczyna, z którą rozmawiałeś, Mara, o co cię właściwie pytała?

- Czy wiadomo mi coś o dziewczynach, które zginęły tego lata. Wspomniała też o jakiejś rozbitej ciężarówce. Nie wiem, co miała na myśli.

Wolno, niczym wiekowy karp podpływający do powierzchni wody, coś - jakiś obraz, jakieś odległe wspomnienie - poruszyło się w pamięci Paoli. Zaczęła mgliście kojarzyć jakiś artykuł o kraksie tira i kobietach. Oparła głowę o kanapę i zamknęła oczy. Ujrzała śnieg. Ten drobny szczegół wystarczył, aby nagle wszystko sobie przypomniała.

- Guido, wczesną jesienią... chyba byłeś wtedy w Rzymie na konferencji... gdzieś w pobliżu austriackiej granicy rozbiła się ciężarówka. Dokładnie nie pamiętam, ale zdaje się, że wpadła w poślizg na oblodzonej szosie i uderzyła w coś. W skrzyni jechały kobiety, było ich osiem czy dziesięć, i wszystkie zginęły. Dziwna historia. Jednego dnia pisały o niej wszystkie gazety, a potem nagle cisza. Przynajmniej ja już nic więcej nie czytałam. - Paola poczuła, jak palce męża zaciskają się na jej nadgarstku. - Myślisz, że właśnie o tę ciężarówkę chodziło dziewczynie?

- Zaraz, zaraz. Czytałem wzmiankę o wypadku zamieszczoną w raporcie Interpolu. W raporcie o kobietach przywożonych do Włoch, żeby pracowały tu jako prostytutki. Jeśli dobrze pamiętam, zginął również kierowca?

Paola skinęła głową.

- Chyba tak.

Miejscowa policja niewątpliwie będzie miała akta tej sprawy; jutro do nich zadzwoni. Usiłował sobie przypomnieć coś więcej o raporcie Interpolu, ale nawet nie był nawet, czy nie sporządziła go inna agencja. Diabli wiedzą, czy zdoła go odnaleźć. Postanowił, że jutro wszystkim się zajmie.

Paola łagodnie ścisnęła go za rękę.

- Dlaczego do nich chodzicie?

- Hm? - Jej pytanie wyrwało go z zamyślenia.

- Dlaczego chodzicie do prostytutek? - zapytała, tym razem wyrażając się jaśniej. -
Mówię o mężczyznach w ogóle. Nie mam na myśli ciebie.

Uniósł ich splecione dłonie i wykonał nimi w powietrzu nieokreślony gest.

- Po seks. Czysty seks. Bez żadnych warunków, bez zobowiązań. Nawet nie trzeba być miłym ani uprzejmym.

- Nie wydaje mi się to zbyt pociągające. Ale dla większości kobiet seks bez uczucia jest mało atrakcyjny.

- No właśnie - powiedział Brunetti. - No właśnie.

Paola puściła jego dłoń i wstała. Przez moment przyglądała się mężowi, po czym udała się do kuchni, żeby przygotować kolację.

Rozdział 23

Brunetti spędził poranek szukając wśród swoich akt raportu Interpolu o prostytutce i równocześnie czekając, aż centrala połączy go z komisariatem w Tarvisio. Telefonistka okazała się szybsza niż Brunetti. Przez następny kwadrans komisarz słuchał relacji kapitana *carabinieri* o wypadku; na koniec rozmowy poprosił, żeby przysłano mu faksem wszystkie materiały ze śledztwa.

Znalezienie raportu zajęło mu dwadzieścia minut; przeczytanie - pół godziny. Nie była to przyjemna lektura, a w ostatnie zdanie ledwo mógł uwierzyć: „Według danych szacunkowych policji z różnych państw oraz organizacji międzynarodowych, sprawa dotyczy pół miliona kobiet”. Podobnie jak inni wyżsi funkcjonariusze policji w całej Europie, wiedział, że opisany w raporcie proceder ma miejsce; do tej pory jednak nie miał pojęcia o jego skali.

Z reguły rekrutacja odbywała się mniej więcej tak, jak to było w wypadku Mary: młodej kobiecie z jednego z krajów rozwijających się proponowano wyjazd do Europy i szansę na nowe życie. Czasami w grę wchodziła miłość, szalona miłość, ale najczęściej składano dziewczynie ofertę pracy w charakterze pomocy domowej, rzadziej w charakterze tancerki. Mówiono jej, że w Europie będzie mogła żyć jak człowiek, zarabiała dosyć, żeby pomagać rodzinie, później może nawet uda się jej ściągnąć rodzinę do siebie, do Europy Zachodniej, tego prawdziwego rajy na ziemi.

Po przyjeździe, podobnie jak Marę, dziewczyny spotykało gorzkie rozczarowanie. Okazywało się, że podpisana przed przyjazdem umowa o pracę była w rzeczywistości obietnicą zapłacenia ogromnej sumy, czasem i pięćdziesięciu tysięcy dolarów osobie, która sprowadziła je do Europy. Dziewczyny nie wiedziały, co robić. Były w obcym kraju, bez paszportu, bo oddały go „opiekunowi”, w dodatku wierzyły, że samą swoją obecnością łamią prawo; wmawiano im, iż jeśli nie spłacą długu, mogą w każdej chwili zostać aresztowane i skazane na długoletnie więzienie. Mimo to wiele z nich protestowało; twierdziły, że nie boją się aresztowania. Gwałt zbiorowy zwykle przełamywał ich opór. Jeśli to nie pomagało, uciekano się do bardziej drastycznych metod. Niektóre dziewczyny umierały. Wieść się roznosiła. Coraz mniej próbowało się stawiać.

Burdele krajów rozwiniętych powoli zaczęły się zapełniać egzotycznymi kobietami o ciemnych włosach i śniadej cerze: pojawiły się Tajlandki, których łagodność i skromność tak

mile łechczą męskie poczucie wyższości; mieszanej krwi Dominikanki, a przecież wiadomo, jak bardzo ciemna rasa lubi się pieprzyć; no i oczywiście Brazylijki - nie darmo wieść niesie, że każda gorąco krwista *carioca* to urodzona kurwa.

Ponieważ koszty sprowadzania kobiet z odległych krajów były wysokie, z zainteresowaniem śledzono wypadki w Europie Wschodniej, gdzie tysiące niebieskookich blondynek straciły pracę, a ich oszczędności zżarła inflacja. Siedemdziesiąt lat komunizmu i ubóstwa sprawiło, że padały łatwą ofiarą tych, którzy roztaczali przed nimi uroki Zachodu; przybywały samochodami osobowymi, ciężarówkami, pieszo, niektóre nawet pokonywały część drogi saniami, byleby tylko znaleźć się w tym baśniowym eldorado. Dopiero na miejscu przekonywały się, że nie mają żadnych praw, dokumentów, nadziei.

Brunetti nie miał powodu kwestionować raportu, choć liczba pół miliona wydała mu się mocno przesadzona. Na końcu znajdowała się lista osób i organizacji, które przygotowały dokument; jej lektura przekonała go, że liczba nie jest wyssana z palca. Mimo to pół miliona nie mieściło się w głowie. W wielu prowincjach Włoch nie mieszkało aż tyle kobiet. Pół miliona to dość, żeby zaludnić spore miasto.

Kiedy skończył czytać, położył raport na środku biurka, ale po chwili odsunął go od siebie, jakby nie chciał nim więcej kłaść rąk. Wyjął z szuflady ołówek i kartkę papieru, po czym zapisał na niej trzy nazwiska: majora brazylijskiej policji, którego poznał przed kilkoma laty na seminarium policyjnym w Paryżu, właściciela firmy importowo-eksportowej z siedzibą w Bangkoku oraz pewnej prostytutki. Wszyscy troje, z takiego lub innego powodu, byli jego dłużnikami; najlepiej mogli mu się odwdziżyć informacjami.

Spędził przy telefonie następne dwie godziny, jednakże naciśnięcie kilku klawiszy centralnego komputera SIP sprawiło, że za rozmowy te nie przyszedł do komendy rachunek. Wprawdzie Brunetti dowiedział się niewiele więcej niż to, co przeczytał w raporcie, ale obraz całej sprawy, jaki mu się ukształtował, był pełniejszy i bardziej osobisty.

Major de Vedia w Rio nie podzielał zatroskania Brunettiego ani jego oburzenia.. Miał własne kłopoty. Tego tygodnia aresztowano siedmiu jego podwładnych za stworzenie szwadronu śmierci i zabijanie dzieci ulicy na zlecenie miejscowych kupców, którym wadziło, że koczują przed ich sklepami.

- Guido, dziewczyny, którym udaje się wyjechać do Europy, mogą mówić o szczęściu
- powiedział de Vedia, zanim się rozłączył.

Znajomy w Bangkoku też nie rozumiał, o co właściwie chodzi Brunettiemu.

- Panie komisarzu, ponad połowa tutejszych prostytutek choruje na AIDS. Te, które wyjechały z Tajlandii, wygrały los na loterii.

Najbardziej cennym źródłem informacji okazała się Pia, prostytutka. Zastał ją w domu; dyżurowała przy Carolinie, suce rasy golden retriever, która lada chwila miała wydać na świat swój pierwszy miot. Pia wiedziała o sprowadzaniu kobiet do burdeli i zdziwiła się, że policja zawraca sobie tym głowę. Kiedy usłyszała, że zainteresowanie Brunettiego wywołała śmierć trzech biznesmenów, wybuchnęła śmiechem. Śmiała się długo i głośno. Kiedy się opanowała, powiedziała, że dziewczyny przywożone są z całego świata; niektóre pracują na ulicach, ale większość w domach publicznych, gdzie łatwiej sprawować nad nimi kontrolę. Tak, często bywają bite; przez tych, dla których pracują, albo przez klientów. Miałyby się skarżyć? A niby komu? Nie mają papierów, wmówiono im, że już sama ich obecność we Włoszech jest przestępstwem, wiele nie zna włoskiego. W końcu w ich zawodzie umiejętność prowadzenia błyskotliwej konwersacji nie jest szczególnie wymagana.

Pia nie czuła do obcych specjalnej wrogości, choć nie kryła, że stanowią dla niej niepożądaną konkurencję. Ani ona, ani jej koleżanki nie pracowały dla alfonsów i zdołały się już czegoś dorobić - każda miała samochód, mieszkanie, czasem nawet willę - podczas gdy cudzoziemki nie posiadały nic i dlatego nie mogły sobie pozwolić na odrzucenie klienta bez względu na to, czego żądał. Cudzoziemki i narkomanki miały najgorzej; na wszystko musiały się godzić, do wszystkiego można było je zmusić. Bezsilne, stawały się ofiarami przemocy i, co gorsza, nosicielkami chorób.

Kiedy Brunetti spytał, ile ich jest w regionie Veneto, Pia roześmiała się cierpko i powiedziała, że nie umie do tylu liczyć. Zaraz potem Carolina zaszczekała tak głośno, że nawet Brunetti ją usłyszał, i trzeba było kończyć rozmowę.

- Kto tym kieruje, Pia? - zapytał w nadziei, że uzyska tę cenną informację, zanim dziewczyna się rozłączy.

- To wielki interes. Równie dobrze mógłby pan spytać, kto kieruje bankami i giełdą. Szefami są ci sami doskonale ostrzyżeni ludzie w eleganckich, szytych na miarę garniturach. W niedzielę chodzą do kościoła, w ciągu tygodnia do swoich firm, a kiedy nikt nie patrzy, obliczają, ile znów się wzbogacili na kobietach, które zarabiają na nich własnym ciałem. Jesteśmy takim samym towarem jak każdy inny. Zobacz pan, pewnego dnia będziemy notowane na giełdzie. Wiem nawet, jak można by nazwać firmę, która wypuści akcje. - Pia zaśmiała się, powiedziała dość niecenzuralne słowo, po czym rozległo się wycie Caroliny i dziewczyna rzuciła słuchawkę.

Na tej samej kartce papieru, na której wcześniej zapisał trzy nazwiska, Brunetti zaczął przeprowadzać kilka prostych obliczeń. Uznał, że jeden numer powinien kosztować średnio pięćdziesiąt tysięcy lirów; nie wiedział jednak, ilu klientów przeciętnie ma w ciągu dnia

prostytutka. Dla ułatwienia rachunków przyjął, że dziesięciu. Nawet po odliczeniu sobót i niedziel, choć wątpił, aby dziewczyny mogły sobie pozwolić na wolny weekend, wyszło mu dwa i pół miliona lirów tygodniowo, a więc dziesięć milionów miesięcznie. Dla wygody przyjął, że prostytutka zarabia sto milionów lirów rocznie, po czym podzielił tę sumę przez pół, aby uwzględnić błędy, jakie mógł popełnić w swoich założeniach. Następnie usiłował pomnożyć wynik przez pół miliona; nie wiedział, jak nazwać tak ogromną sumę. Policzył zera. Było ich piętnaście. Tak, Pia miała rację: to był wielki interes.

Instynkt i doświadczenie mówiły mu, że nie zdoła wyciągnąć więcej informacji ani od Mary, ani od jej alfonsa. Połączył się z Vianellem i spytał, czy udało się znaleźć optyka, który sprzedał okulary znalezione w restauracji w Padwie. Vianello zasłonił ręką mikrofon, żeby zagłuszyć to, co mówił do kogoś; po chwili jednak jego głos ponownie rozległ się w słuchawce, tym razem napięty od gniewu.

- Zaraz u pana będę, panie komisarzu - powiedział sierżant, odkładając słuchawkę.

Kiedy wszedł do gabinetu Brunettiego, twarz miał czerwoną jak po gwałtownym wybuchu złości. Zamknął cicho drzwi i podszedł do biurka przełożonego.

- Riverre - rzekł gwoli wyjaśnienia, podając nazwisko funkcjonariusza, który był przekleństwem jego życia i zakałą całej weneckiej policji.

- Co znowu zrobił?

- Znalazł wczoraj optyka i nawet sporządził służbową notatkę, ale zostawił ją na swoim biurku. Powiedział mi o tym dopiero teraz, kiedy go spytałem.

Brunetti, gdyby był w lepszym nastroju, zażartowałby, że powinni się cieszyć, iż w ogóle sporządził notatkę, ale tego ranka nie miał ani dobrego humoru, ani cierpliwości do braku kompetencji swoich podwładnych. Zresztą obydwaj wiedzieli z doświadczenia, że komentowanie postępowania Riverrego jest stratą czasu.

- Co to za optyk?

- Carraro, na Calle della Mandorla.

- Podał nazwisko klientki?

Vianello przygryzł dolną wargę i zacisnął gniewnie dłonie.

- Riverre nie spytał o nazwisko. Dowiedział się tylko, że właśnie tam sprzedano te konkretne oprawki. Powiedział, że takie otrzymał polecenie, więc je wypełnił i koniec.

Brunetti wydobyl z szuflady książkę telefoniczną i odszukał właściwy numer. Optyk oznajmił, że spodziewał się kolejnego telefonu z policji i natychmiast podał Brunettiemu nazwisko i adres kobiety, która kupiła okulary. Sądził, że policja znalazła okulary i po prostu chce je zwrócić właścicielce. Brunetti nie zamierzał wyprowadzić do z błędu.

- Nie sądzę, aby zastał ją pan teraz w domu - rzekł doktor Carraro. - Powinna być w pracy.

- A gdzie pracuje, *dottore*? - spytał ciepłym, serdecznym tonem Brunetti.

- Prowadzi biuro podróży w pobliżu uniwersytetu; mieści się mniej więcej w połowie drogi między uniwersytetem a sklepem z dywanami.

- Ach tak, wiem, gdzie to jest - powiedział Brunetti, przypominając sobie wystawę z barwnymi plakatami, którą mijał mnóstwo razy. - Dziękuję, *dottore*. Dopilnuję, żeby okulary zostały zwrócone tej pani. - Odłożył słuchawkę i spojrzał na Vianello. - Regina Ceroni. Mówi ci coś to nazwisko?

Sierżant potrząsnął głową.

- Prowadzi biuro podróży. Przy uniwersytecie.

- Pójść z panem, panie komisarzu?

- Nie, zajrzę tam sam, w drodze na obiad.

Brunetti stał w listopadowej mżawce i patrzył na zalaną słońcem plażę. Na hamaku zawieszonym między dwiema ogromnymi palmami leżała młoda kobieta, najwyraźniej odziana tylko w dół od bikini. Za nią fale załamywały się łagodnie na piaszczystym brzegu, a dalej aż po horyzont ciągnęło się lazurowe morze. Mógł się tam znaleźć za jedyne milion osiemset tysięcy lirów, łącznie z przelotem (zakwaterowanie w pokoju dwuosobowym).

Pchnął drzwi i wszedł do biura. Przy komputerze siedziała atrakcyjna młoda brunetka. Uśmiechnęła się na jego widok.

- *Buongiorno* - rzekł, odwzajemniając uśmiech. - Czy jest signora Ceroni?

- Kogo mam zapowiedzieć?

- Nazywam się Brunetti.

Uniosła dłoń, dając mu znak, aby chwilę zaczekał, nacisnęła kilka klawiszy i wstała. Na lewo od niej zaklekotała drukarka, budząc się do życia, po czym zaczął się z niej wysuwać bilet lotniczy.

- Momencik - powiedziała dziewczyna, kierując się w stronę pojedynczych drzwi na końcu pomieszczenia. Zapukała i nie czekając na odpowiedź, weszła do środka. Po chwili wyłoniła się i trzymając drzwi otwarte, skinęła na Brunettiego.

Drugie pomieszczenie było znacznie mniejsze, ale swoje skąpe rozmiary z nadwyżką nadrabiało elegancją. Wykonane z teku biurko lśniło jak lustro; brak szuflad świadczył o tym, iż jest ono przedmiotem bardziej dekoracyjnym niż użytkowym. Na podłodze leżał złocisty jedwabny isfahan, równie piękny jak ten w gabinecie teścia Brunettiego.

Kobieta siedząca przy biurku miała jasne włosy ściągnięte gładko do tyłu; przytrzymał je rzeźbiony grzebień z kości słoniowej. Proste uczesanie kontrastowało z materiałem i krojem kostiumu, który był ciemnoszary, jedwabny, o szerokich, watowanych ramionach i bardzo wąskich rękawach. Kobieta liczyła trzydzieści kilka lat, choć trudno było ocenić, czy bliżej jej do trzydziestki, czy do czterdziestki; było to zasługą albo precyzyjnie wykonanego makijażu, albo szykownego wyglądu. Na nosie miała okulary w grubych ramkach; lewa soczewka była u dołu lekko wyszczerbiona - odprysnął od niej kawałek szkła mniej więcej wielkości ziarna groszku.

Kobieta spojrzała na Brunettiego i uśmiechnęła się, nie rozchylając ust, po czym zdjęła okulary i bez słowa położyła je na leżących przed nią papierach. Zauważył, że jej oczy mają dokładnie ten sam odcień co kostium; nie mógł to być przypadek. Brunettiemu przypomniały się słowa, jakimi Figaro opisuje dziewczynę, w której zakochał się od pierwszego wejrzenia hrabia Almoviva: jasne włosy, różane policzki, oczy, które mówią.

- *Si?*

- Signora Ceroni?

- Tak.

- Przyszedłem zwrócić pani okulary. - Brunetti wyjął futerał z kieszeni, ani na moment nie odrywając wzroku od kobiety.

Na jej twarzy odmalowała się radość, co sprawiło, że wyglądała jeszcze ładniej.

- Och, to wspaniale! - ucieszyła się Regina Ceroni. - Gdzie je pan znalazł?

Brunetti wychwycił lekki akcent, chyba słowiański, w każdym razie niewątpliwie wschodnioeuropejski.

W milczeniu podał jej przez biurko skórzany futerał. Położyła go przed sobą, nie zaglądając do środka.

- Nie sprawdzi pani, czy to jej okulary?

- Nie muszę, poznaję futerał - powiedziała z uśmiechem. - Skąd pan wiedział, że są moje?

- Obdzwoniliśmy prawie wszystkich optyków w mieście.

- Obdzwoniliśmy? - zapytała, po czym nagle przypomniała sobie o wymogach grzeczności: - Boże, gdzie moje maniery? Proszę, niech pan usiądzie.

- Dziękuję. - Brunetti usiadł na jednym z trzech foteli stojących przed biurkiem.

- Przepraszam, ale Roberta nie podała mi pańskiego nazwiska.

- Brunetti. Guido Brunetti.

- Dziękuję, signor Brunetti, że zechciał się pan fatygować. Gdyby pan do mnie zadzwonił, chętnie bym sama odebrała okulary. Nie musiałby pan jechać przez całe miasto.

- Przez całe miasto?

Na jej twarzy pojawiło się zakłopotanie, które po chwili znikło.

- No tak. Moje biuro mieści się daleko od centrum.

- Faktycznie.

- Nie wiem, jak panu dziękować.

- Mogłaby mi pani powiedzieć, gdzie zgubiła okulary?

Ponownie obdarzyła go uśmiechem.

- Gdybym wiedziała, znalazłabym je sama.

Popatrzyła na swojego gościa przez szerokość biurka, a kiedy Brunetti się nie odezwał, spuściła wzrok i sięgnęła po futerał. Wyjęła okulary, po czym najpierw mocno odciągnęła w bok jeden uchwyt, a następnie oba; oprawki wygięły się, ale nie pękły.

- Zdumiewające, prawda? - powiedziała, nie podnosząc oczu.

Brunetti nadal milczał.

- Nie chciałam mieć z tym nic wspólnego - oznajmiła spokojnym głosem.

- To znaczy z nami? - spytał, zakładając, że skoro wie, iż musiał do niej jechać przez całe miasto, musi wiedzieć, z kim ma do czynienia.

- Tak.

- Dlaczego?

- Był człowiekiem żonatym.

- Niedługo rozpocznie się dwudziesty pierwszy wiek, signora.

- Co ma pan na myśli? - spytała, spoglądając na niego zdezorientowana.

- To, czy ktoś jest żonaty, nie ma wielkiego znaczenia.

- Miało dla jego żony - oznajmiła gniewnie. Podniosła okulary i schowała do skórzanego futerału.

- Ale chyba jego śmierć zmieniła sytuację.

- Bynajmniej. Nie chciałam, żeby podejrzewano, iż miałam coś z tym coś wspólnego.

- A miała pani?

- Panie komisarzy - rzekła, zadziwiając Brunettiego użyciem jego policyjnego stopnia - zajęło mi pięć lat, zanim stałam się obywatelką tego kraju, a przecież w każdej chwili mogę utracić obywatelstwo, jeśli policja zacznie się mną interesować. Dlatego nie chciałam zwracać na siebie uwagi.

- A jednak pani zwróciła.

Wydęła nerwowo wargi.

- Miałam nadzieję, że uda mi się tego umknąć.
- Wiedziała pani, że zostawiła okulary w restauracji?
- Wiedziałam, że zgubiłam je tego dnia, ale liczyłam na to, że gdzie indziej.
- Czy miała pani z nim romans?

Widział, że zastanawia się, jak odpowiedzieć; w końcu skinęła głową.

- Od dawna?
- Od trzech lat.
- Czy zamierzała pani zmienić ten stan rzeczy?
- Co to znaczy? Nie rozumiem pytania.
- Czy chciała pani za niego wyjść?
- Nie. Istniejący układ w zupełności mi odpowiadał.
- Czyli jaki?
- Widywaliśmy się co kilka tygodni.
- I co wtedy?

Podniosła na komisarza wzrok.

- Znow nie rozumiem pańskiego pytania.
- Coście robili, kiedyście się spotykali?
- A co zwykle robią kochankowie, kiedy się spotykają, panie komisarzu?
- Śpią ze sobą.
- Dobra odpowiedź. Tak, spaliśmy ze sobą.

Czuł, że jest zła, ale jej złość nie była wywołana przez niego.

- Gdzie? - spytał.
- Słucham?
- Gdzie spaliście ze sobą?
- W łóżku - odparła przez zaciśnięte wargi.
- Gdzie? Milczenie.
- Gdzie w łóżku? Tu w Wenecji czy w Padwie?
- I tu, i tam.
- W mieszkaniu czy w hotelu?

Zanim mogła odpowiedzieć, telefon na biurku zabrzączał cicho; podniosła słuchawkę.

- Zadzwoń później - powiedziała po chwili i rozłączyła się. Przerwa w rozmowie z Brunettim była bardzo krótka, ale wystarczyła, żeby Regina Ceroni się opanowała. -
Przepraszam, czy mógłby pan powtórzyć pytanie?

- Spytałem, gdzie sypialiście ze sobą. - Dobrze wiedział, że dzięki telefonowi miała czas zastanowić się nad tym, co mu powiedziała. Chciał jednak usłyszeć, jak zmienia swoje zeznania.

- W moim mieszkaniu.

- A w Padwie?

- Słucham? - spytała, udając zdziwienie.

- Gdzie spotykaliście się w Padwie?

Uśmiechnęła się przepraszająco.

- Chyba wcześniej nie zrozumiałam pytania. Zwykle spotykaliśmy się tutaj. W Wenecji.

- Jak często się widywaliście?

Jej sposób bycia stał się bardziej serdeczny, jak to zwykle bywa w wypadku ludzi, którzy zamierzają kłamać.

- Nasz romans właściwie już się skończył, choć nadal się lubiliśmy. Byliśmy po prostu przyjaciółmi. Co jakiś czas jedliśmy razem kolację albo tu, albo w Padwie.

- Pamięta pani, kiedy ostatni raz spotkaliście się w Wenecji?

Odwróciła głowę, zastanawiając się, co powiedzieć.

- Hm. Nie, nie pamiętam. Chyba latem.

- Czy jest pani mężatką?

- Nie. Rozwódką.

- Mieszka pani sama?

Skinęła głową.

- Jak się pani dowiedziała o śmierci Favera?

- Z gazety, nazajutrz rano.

- I nie zadzwoniła pani do nas?

- Nie.

- Mimo że widziała się z nim pani poprzedniego wieczoru?

- Tym bardziej nie chciałam dzwonić. Jak już wspomniałam, nie mam zaufania do władzy.

W chwilach przygnębienia Brunetti podejrzewał, że nikt nie ma zaufania do władzy, ale nie zamierzał dzielić się tą myślą z Reginą Ceroni.

- Skąd pani pochodzi?

- Z Jugosławii. Z Mostaru.

- A od jak dawna mieszka we Włoszech?

- Od dziewięciu lat.

- Jak to się stało, że się pani tu osiedliła?

- Przyjechałam jako turystka, ale znalazłam pracę i postanowiłam zostać.

- W Wenecji?

- Tak.

- Gdzie pani pracowała? - spytał, choć wiedział, że można znaleźć te informacje w aktach Ufficio Stranieri.

- Początkowo w barze, potem w biurze podróży. Znam kilka języków, więc nie miałam trudności ze znalezieniem pracy.

- A teraz to wszystko należy do pani? - Wykonał dłonią zamaszty ruch obejmujący całe biuro. - Jest pani właścicielką, prawda?

- Tak.

- Od dawna?

- Od trzech lat. Zajęło mi ponad cztery lata, zanim zebrałam odpowiednią sumę, żeby wpłacić zaliczkę poprzednim właścicielom. Ale teraz biuro jest już wyłącznie moje. To kolejny powód, dlaczego chciałam uniknąć kłopotów.

- Nawet jeśli nie miała pani nic do ukrycia?

- Jeśli mam być szczerą, panie komisarzu, w trakcie moich poprzednich kontaktów z policją przekonałam się, że to, czy ktoś ma coś do ukrycia, czy nie, jest nieistotne. Czasami bywa wręcz odwrotnie. Uznałam, że ponieważ nic nie wiem o śmierci pana Favera i nie dysponuję żadnymi informacjami, które mogłyby wam pomóc, nie muszę dzwonić.

- O czym rozmawialiście wtedy przy kolacji, podczas ostatniego spotkania?

Pochyliła głowę, wracając pamięcią do tamtego wieczoru.

- O różnych rzeczach. Jak to starzy przyjaciele. O jego pracy. O mojej. O dzieciach.

- O jego żonie?

Ściągnęła niechętnie wargi.

- Nie, nie rozmawialiśmy o jego żonie. Oboje uważaliśmy, że nie byłoby to w dobrym guście.

- Czego jeszcze dotyczyła wasza rozmowa?

- Nie przypominam sobie nic konkretnego. Wspomniał, że chce kupić nowy samochód i zastanawia się jaki, ale nie potrafiłam mu doradzić.

- Nie prowadzi pani?

- Nie. W Wenecji nie ma takiej potrzeby, prawda? - Uśmiechnęła się. - Zupełnie nie znam się na samochodach. Jak większość kobiet.

Brunettiego zdziwiło, że nagle pozuje na słabą, bezbronną istotę; nie pasowało mu to do kobiety, która przed chwilą rozmawiała z nim jak równy z równym.

- Kelner z restauracji, w której jedliście kolację, powiedział, że signor Favero pokazał pani jakieś dokumenty...

- A tak. Właśnie wtedy wyjęłam z torby okulary. Używam ich do czytania.

- Co to były za dokumenty?

Przez moment milczała. Albo usiłowała sobie faktycznie przypomnieć, albo próbowała wymyślić jakieś kłamstwo.

- Prospekt spółki, w którą radził mi zainwestować. Ponieważ moje biuro przynosi zyski, uważał, że powinnam zacząć inwestować pieniądze. „Niech pracują dla ciebie”, tak właśnie powiedział. Ale nie byłam zainteresowana.

- Pamięta pani, co to za spółka?

- Nie, przykro mi. Nie zwracam uwagi na takie rzeczy.

Brunetti nie wierzył, że Regina Ceroni mówi prawdę.

- Czy to istotne?

- W bagażniku samochodu Favera znaleźliśmy wiele papierów - skłamał. - Chcielibyśmy wiedzieć, czy któreś z nich są ważne.

Widział wyraźnie, że korci ją, by spytać, co to za papiery, ale ugryzła się w język.

- Czy nie zauważyła pani nic szczególnego? Nic dziwnego? Może signor Favero wydał się pani czymś zaniepokojony? Może zdenerwowany? - Przemknęło mu przez głowę, iż powinno ją zdziwić, że dopiero teraz zadaje to pytanie.

- Był mniej rozmowny niż zwykle, ale to pewnie dlatego, że miał dużo pracy. Kilka razy powtórzył, że jest bardzo zajęty.

- Wspomniał, co go tak pochłania?

- Nie.

- Co państwo robili po kolacji?

- Odwiozł mnie na dworzec i wróciłam do Wenecji.

- Którym pociągiem?

- Przyjechałam na miejsce chyba około wpół do jedenastej - odparła po krótkim namyśle.

- Trevisan jechał tym samym pociągiem, tyle że innego dnia - powiedział Brunetti i po wyrazie twarzy pani Ceroni poznał, że nazwisko adwokata nie jest jej obce.

- To ten prawnik, którego zastrzelono w czasie podróży? - spytała po chwili.

- Tak. Znała go pani?

- Był klientem naszego biura. Załatwialiśmy bilety i rezerwacje dla niego i jego pracowników.

- Dziwne, nie sądzi pani?

- Co?

- Że dwóch ludzi, których pani znała, rozstało się z życiem tego samego tygodnia.

- Wcale nie wydaje mi się to takie dziwne - oznajmiła chłodnym, obojętnym tonem. - Chyba nie sugeruje pan, że między tymi zabójstwami istnieje jakiś związek?

Wstał, pozostawiając jej pytanie bez odpowiedzi.

- Dziękuję, że zechciała mi pani poświęcić trochę czasu. - Wyciągnął na pożegnanie rękę.

Regina Ceroni wstała i obeszła biurko; poruszała się z wdziękiem.

- To ja dziękuję, że pofatygował się pan aż tutaj, aby zwrócić mi okulary.

- Spełniłem swój obowiązek.

- Mimo wszystko serdecznie panu dziękuję.

Podeszła z nim do drzwi, otworzyła je i przepuściła go przodem. W drugim pomieszczeniu młoda brunetka wciąż siedziała przy biurku, a z drukarki zwisał długi arkusz biletów. Signora Ceroni odprowadziła gościa do drzwi wejściowych. Komisarz ponownie uściskał jej dłoń, po czym ruszył w stronę domu. Właścicielka biura podróży stała na tle plaży i obserwowała go, dopóki nie znikł za rogiem.

Rozdział 24

Kiedy Brunetti wrócił po obiedzie do gmachu komendy, najpierw wstąpił do pokoju, w którym urzędowała signorina Elettra, i podyktował jej list do Giorgia - tak go nazywał w myślach, jakby był jego znajomym - przepraszając adresata za „biurokratyczne błędy”. Miał nadzieję, że takie ogólnikowe stwierdzenie wystarczy Giorgiowi dla narzeczonej i przyszłych teściów; wolał nie nawiązywać wprost do wydarzenia na plaży.

- Na pewno bardzo się ucieszy - powiedziała sekretarka, spoglądając na własny zapis stenograficzny.

- A co z adnotacją w aktach? - zapytał komisarz.

Skierowała na niego oczy wielkie jak spodki.

- Z jaką adnotacją? - Podniosła plik wydruków komputerowych i podała Brunettiemu.

- Pański list będzie miłym za to podziękowaniem.

- Numery z kalendarzyka Favera?

- Zgadza się - rzekła, nie kryjąc dumy.

Jej radość była tak zaraźliwa, że komisarz też się uśmiechnął.

- Przejrzała pani wydruki?

- Zdążyłam tylko rzucić na nie okiem.

Giorgio podał nazwy i adresy abonentów oraz daty i godziny, kiedy łączono się z nimi z Wenecji i Padwy.

- Jak on to robi? - spytał Brunetti, pełen uznania dla umiejętności Giorgia. Spenetrowanie akt tajnych służb wydawało się komisarzowi łatwiejsze od wydobycia danych z SIP.

- Przez rok studiował elektronikę w Stanach. Poznał wielu hakerów i cały czas jest z nimi w kontakcie. Informują się nawzajem, jak włamywać się do komputerów.

- I włamuje się, korzystając z linii SIP? - Podziw i wdzięczność, jakie Brunetti odczuwał, sprawiły, że zapomniał o tym, iż działalność Giorgia prawdopodobnie jest nielegalna.

- Oczywiście.

- Dobrze im tak! - Jak większość Włochów komisarz nie lubił SIP, głównie za to, że rachunki telefoniczne zawsze dostawał zawyżone.

- Hakerzy działają na całym świecie. Niewiele można przed nimi ukryć - wyjaśniła pani Elettra. - Giorgio powiedział, że musiał w tej sprawie kontaktować się z komputerowcami na Węgrzech, Kubie i jeszcze gdzieś. Czy w Laosie mają telefony?

Brunetti nie słuchał, pochłonięty czytaniem długich kolumn numerów, godzin, dat, miejscowości. Ale nazwisko Patty dotarło do jego świadomości.

- ...chce się z panem widzieć.

- Później - rzekł i wyszedł, nie przerywając lektury.

W swoim gabinecie zbliżył się do okna, żeby skorzystać ze światła dziennego. Stał tak niczym rzymski senator z czasów antycznych studiujący długie sprawozdanie z krańców cesarstwa. Dokument, który Brunetti trzymał w ręce, nie dotyczył ani ruchów wojsk, ani dostaw oliwy i przypraw. Choć informował tylko o tym, kiedy dwóch mało znaczących Włochów rozmawiało z Bangkokiem, Santo Domingo, Belgradem, Manilą i jeszcze paroma miastami, był nie mniej pasjonujący. Na marginesie wpisano ołówkiem adresy automatów, z których dzwoniono. Wprawdzie telefonowano również z biur Favera i Trevisana, częściej jednak korzystano z budki znajdującej się na tej samej ulicy co biuro Favera w Padwie oraz z automatu na niewielkiej *calle* biegnącej za budynkiem, w którym mieściła się kancelaria Trevisana.

Na dole figurowały nazwy firm, do których należały poszczególne numery. Trzy z nich, między innymi numer w Belgradzie, należały do biur podróży, numer w Manili zaś do spółki Euro-Employ. Kiedy Brunetti uzmysłowił sobie, że jest to zapewne agencja zajmująca się wynajdywaniem pracy w Europie, wszystkie wydarzenia, począwszy od śmierci Trevisana, które dotąd niczym kawałki szkła w obracającym się kalejdoskopie układały się w przypadkowe wzory, nagle zaczęły się łączyć w spójną, logiczną całość. Komisarz nie widział jeszcze pełnego obrazu, ale wreszcie zrozumiał, o co chodzi w tej sprawie.

Wyjął z szuflady adresownik i odszukał numer Roberta Linchianki, podpułkownika filipińskiej żandarmerii, z którym zaprzyjaźnił się na dwutygodniowym seminarium policyjnym w Lyonie przed trzema laty. Od tego czasu rozmawiali parę razy przez telefon i wymieniali fakсы.

Zabrzączał interfon. Brunetti zignorował go, podniósł słuchawkę i wykręcił numer domowy podpułkownika, choć nie miał pojęcia, jaka jest różnica czasu między Wenecją a Manilą. Okazało się, że sześć godzin; Linchianko właśnie kładł się spać. Tak, nazwa Euro-Employ nie była mu obca. Niechęć w jego głosie dawała się odczuć mimo odległości. Euro-Employ była jedną z licznych agencji trudniących się handlem kobiet. Nawet nie najgorszą, bo przynajmniej wszystkie dokumenty, jakie młode kobiety podpisywały przed wyjazdem do

„pracy”, były legalne. Fakt, że wiele kobiet nie umiało pisać i jedynie stawiało krzyżyk, i że większość nie znała języka, w którym sporządzony był kontrakt, w niczym nie umniejszał jego mocy prawnej. W każdym razie żadna z kobiet, której udało się wrócić na Filipiny, nie próbowała wytoczyć agencji procesu. Zresztą jak się Linchianko orientował, wracało ich bardzo niewiele, mimo że Euro-Employ wysyłała od pięćdziesięciu do stu „pracownic” miesięcznie. Podał nazwę biura podróży, które zajmowało się załatwianiem biletów; okazało się, że jest to jedno z biur figurujących na wydruku komputerowym. Linchianko obiecał przesłać Brunettiemu faksem oficjalne policyjne akta dotyczące Euro-Employ i biura podróży, a także materiały, które sam w ciągu ostatnich lat zebrał o manilskich agencjach pośrednictwa pracy.

Brunetti nie miał żadnych znajomych w pozostałych miastach wymienionych w wydruku, ale po rozmowie z podpułkownikiem filipińskiej policji był pewien, że dowiedziałby się tam bardzo podobnych rzeczy.

Studiując historię starożytnej Grecji i Rzymu, zawsze dziwił się, że w dawnych epokach ludzie z taką łatwością akceptowali niewolnictwo. Oczywiście inne były wówczas zasady prowadzenia wojen, inna też baza ekonomiczna społeczeństw, więc niewolnicy byli z jednej strony dostępni, a z drugiej niezbędni. Może fakt, iż w wypadku przegranej wojny mogło się to przytrafić każdemu, że mały obrót koła fortuny decydował o tym, czy się jest panem, czy niewolnikiem, ułatwiał akceptację? W każdym razie nikt nie potępiał tego zjawiska, ani Plato, ani Sokrates, chyba że w pismach, które nie przetrwały do naszych czasów.

Współcześnie też nikt nie występował przeciwko niewolnictwu, ale milczenie wynikało z przekonania, że niewolnictwo zlikwidowano dawno temu. Brunetti sam puszczał mimo uszu radykalne tyrady Paoli, w których wciąż powracał wątek o zniewoleniu siły roboczej i ekonomicznych łańcuchach. Teraz te wyświechtane zwroty stały mu żywo w pamięci, bo na określenie kobiet zatrudnianych przez agencje opisane przez Linchiankę istniało tylko jedno słowo: niewolnice.

Tok jego myśli przerwało natarczywe brzęczenie interfonu.

- Słucham.

- Chcę z tobą pomówić - oznajmił niechętnym tonem Patta.

- Już idę.

Kiedy komisarz zszedł na dół, pani Elettry nie było przy biurku, więc pchnął drzwi do gabinetu przełożonego, nie wiedząc, czego może oczekiwać. Nie miało to zresztą większego znaczenia, bo repertuar Patty, jeśli chodzi o wyrażanie niezadowolenia, był dość ograniczony.

Okazało się, że tym razem nie komisarz był przyczyną irytacji szefa; miał tylko w jego imieniu przywołać do porządku jednego z podwładnych.

- To ten twój sierżant - oznajmił *vice-questore*, kiedy Brunetti usiadł na wskazanym krześle.

- Vianello?

- Tak.

- Co takiego zrobił? - spytał Brunetti i dopiero kiedy usłyszał własny ton, zdał sobie sprawę, jak silnie przebija z niego nuta niedowierzania.

Sceptycyzm komisarza nie umknął uwagi Patty.

- Bardzo ostro zbeształ jednego z funkcjonariuszy.

- Riverrego?

- Wiedziałaś? I nie zareagowałaś?

- Nie, o niczym nie wiedziałem. Ale jeśli ktoś zasługuje na zbesztanie, to właśnie Riverre.

Patta wyrzucił w górę obie ręce, żeby zmanifestować niezadowolenie.

- Ktoś wniósł skargę na Vianella - oznajmił.

- Porucznik Scarpa? - spytał Brunetti, nie potrafiąc ukryć niechęci do Sycylijczyka, który pojawił się w Wenecji razem ze swoim patronem Pattą i służył mu nie tyle za asystenta, ile za szpicla.

- Nieważne kto. Ważne, że wniósł.

- Na piśmie?

- To nieistotne! - warknął gniewnie Patta. Wszystko, czego nie chciał słyszeć, zawsze było nieistotne, bez względu na to, jak się miało do prawdy. - Nie życzę sobie kłopotów ze związkami zawodowymi, a przecież nie będą tolerować takiego postępowania.

Brunetti, oburzony najnowszym przykładem tchórzostwa przełożonego, miał ochotę spytać, czy istnieje choć jedna groźba, przed którą ten by się nie ugiął, ale ugryzł się w język, pamiętając, że nie należy prowokować głupców do zemsty.

- Porozmawiam z nimi - obiecał.

- Z nimi?

- Z porucznikiem Scarpą, sierżantem Vianello i funkcjonariuszem Riverre.

Niewiele brakowało, aby Patta się sprzeciwił, ale najwyraźniej uzmysłowił sobie, że nawet jeśli nie rozwiązał problemu po swojej myśli, to przynajmniej się go pozbył.

- A co z zabójstwem Trevisana? - spytał.

- Wciąż nad nim pracujemy, panie komendancie.

- Są postępy?

- Nieznaczące. - Brunetti nie zamierzał jeszcze omawiać swoich wniosków z przełożonym.

- No dobrze, proszę się zająć sprawą sierżanta. I proszę mnie o wszystkim informować. - *Vice-questore* ponownie zagłębił się w papierach leżących na biurku, co oznaczało, że uważa rozmowę za zakończoną.

Signorina Elettra wciąż była nieobecna, więc Brunetti udał się do pokoju Vianella. Sierżant czytał „Gazzettino”.

- Scarpa - powiedział od drzwi komisarz.

Vianello zgniótł gniewnie gazetę, rzucając parę niewybrednych epitetów pod adresem porucznika, dość obraźliwych dla jego matki.

- Co się stało?

- Wszedł, kiedy rozmawiałem z Riverrem - odparł sierżant, rozprostowując gazetę.

- I co?

Vianello wzruszył ramionami.

- Riverre dobrze wiedział, o co mi chodzi. Powinien był wcześniej dać panu nazwisko właścicielki okularów. Porucznik wszedł w trakcie naszej rozmowy. Nie podobało mu się to, co mówiłem.

- A co mówiłeś?

Vianello złożył gazetę na pół i odsunął na brzeg biurka.

- Nazwałem Riverrego idiotą.

Funkcjonariusz rzeczywiście był idiotą, toteż Brunetti wcale się nie zdziwił.

- I co on na to?

- Riverre?

- Nie, porucznik.

- Oświadczył, że nie powinienem mówić w ten sposób do podwładnego.

- To wszystko?

Vianello milczał.

- Czy porucznik jeszcze coś powiedział?

Sierżant nadal milczał.

- A może ty mu coś powiedziałaś?

- Że sprawa go nie dotyczy, więc niech się nie wtrąca - przyznał Vianello.

Brunetti wiedział, że nie musi tłumaczyć sierżantowi, iż było to niezbyt mądre posunięcie.

- A Riverre?

- Wpadł do mnie przed chwilą powiedzieć, że o ile pamięta, opowiadałem mu wtedy dowcip. O głupim Sycylijczyku. - Vianello pozwolił sobie na lekki uśmiech.

- Porucznik zjawił się akurat wtedy, gdy doszedłem do puenty, a ponieważ mówiliśmy dialektem, nie rozumiał, o co chodzi, i myślał, że nazwałem idiotą Riverrego.

- Czyli możemy uznać sprawę za zamkniętą - oznajmił Brunetti. Nie podobało mu się, że porucznik poleciał ze skargą do Patty. Vianello nie był ulubieńcem szefa z tego prostego powodu, że zawsze ściśle współpracował z nim, Brunettim; szkoda, że teraz obrócił przeciwko sobie również porucznika. Komisarz poczuł jednak ulgę, że ominie go rozmowa ze Scarpą. - Czy słyszałeś o wypadku ciężarówki, który miał miejsce jesienią pod Treviso?

- Tak. A o co chodzi?

- Pamiętasz, kiedy to było?

Vianello zadumał się na moment.

- Dwudziestego szóstego września. Dwa dni przed moimi urodzinami. Pierwszy raz tak wcześnie spadł tam śnieg.

Znając sierżanta, Brunetti nie musiał pytać, czy jest pewien daty. Pozostawił Vianella, aby mógł spokojnie czytać dalej gazetę, a sam wrócił do swojego gabinetu i wydruków komputerowych. Dwudziestego szóstego września o dziewiątej rano z kancelarii Trevisana zadzwoniono pod numer w Belgradzie. Rozmowa trwała trzy minuty. Nazajutrz zatelefonowano pod ten sam numer, ale z automatu na uliczce za budynkiem, w którym urzędował adwokat. Ta rozmowa trwała dwanaście minut.

Tir zjechał z autostrady i się rozbił, transport uległ zniszczeniu. Nabywca zadzwonił do spedytora, żeby dowiedzieć się, czy to jego towar leży rozrzucony w śniegu. Brunetti wzdrygnął się na myśl, że ktoś może traktować tragiczną śmierć młodych kobiet jako zniszczenie towaru.

Przerzucił kilka kartek, aż doszedł do dnia śmierci Trevisana. W następnym dniu dwukrotnie telefonowano z kancelarii do Belgradu. Jeśli wcześniej dzwoniono, żeby dowiedzieć się o towar, czy te kolejne połączenia nie oznaczały, że po śmierci Trevisana ktoś inny przejmował interes?

Rozdział 25

Brunetti zaczął przeglądać papiery, które w ciągu dwóch dni nagromadziły się na biurku. Przekonał się, że przesłuchano wdowę po Lotcie; zeznała, że tego dnia, kiedy zginął jej mąż, spędziła wieczór w szpitalu miejskim przy łóżku matki umierającej na raka. Obie pielęgniarki pełniące wtedy dyżur potwierdziły, że była tam do rana. Wdowę przesłuchiwał Vianello; jak zawsze dokładny, spytał ją również, co robiła w czasie, kiedy zamordowano Trevisana i Favera. W dniu śmierci mecenasa także była wieczorem w szpitalu; w dniu śmierci księgowego wieczór spędziła w domu. Za każdym razem towarzyszyła jej siostra, która przyjechała z Turynu. Przeczytawszy raport, Brunetti wyłączył wdowę z kręgu podejrzanych.

Nagle zaczął się zastanawiać, czy Chiara na pewno zrezygnowała z pomysłu wydobycia informacji od Franceski. Dumając nad tym, poczuł wstręt do samego siebie. Zawsze z oburzeniem myślał o ludziach nakłaniających nastolatki do prostytucji, a sam nie miał skrupułów przed wykorzystaniem własnej córki jako szpiega.

Jego rozważania przerwało brzęczenie telefonu. Podniósł słuchawkę. Rozległ się głos Paoli, roztrzęsionej, będącej w stanie najwyższego zdenerwowania. Kilka razy powtórzyła jego imię. W tle słyszał coś jakby płacz albo wycie.

- Paola, co się stało?

- Guido, przyjdź natychmiast. Chodzi o Chiare! - zawołała.

- Co się dzieje? Co jej jest?!

- Nie wiem, Guido. Była w salonie, nagle zaczęła krzyczeć. Potem zamknęła się w swoim pokoju.

Panika w głosie żony udzieliła się komisarzowi.

- Miała wypadek? Jest ranna?

- Nie. Ale sam ją słyszysz. Dostała hysterii. Wróc do domu jak najszybciej. Błagam.

- Już jadę! - zawołał, ciskając słuchawkę na widełki.

Chwycił płaszcz i wybiegł z gabinetu, nerwowo zastanawiając się, jak najprędzej dostać się do domu.

Przy *embarcadero* przed komendą nie było policyjnej motorówki. Niewiele myśląc, pognął w lewo; łopotwały za nim poły płaszcza. Na rogu skręcił w wąską *calle*, usiłując się

zdecydować, czy biec przez most Rialto, czy wsiąść do gondoli. Przed sobą ujrzał trzech chłopców idących ramię w ramię i zajmujących całą szerokość wąskiej uliczki.

- *Attenti!* - krzyknął gniewnie i przemknął obok, kiedy rozpierzchli się na boki.

Zanim dotarł do Campo Santa Maria Formosa, zabrakło mu tchu, więc musiał zwolnić do truchtu. Przed Rialto znów zwolnił, bo dookoła było pełno turystów. W pewnym momencie pchnął na bok dziewczynę z plecakiem i pobiegł dalej, nie zważając na gniewne niemieckie słowa, które rzuciła pod jego adresem.

Na Campo San Bartolomeo skręcił w lewo, żeby wziąć gondolę i uniknąć zatłoczonego o tej porze mostu. Na szczęście przy nabrzeżu czekała akurat łódź; stały w niej dwie staruszki. Brunetti przebiegł po drewnianym pomoście i wskoczył do środka.

- Ruszamy! - zawołał do gondoliera na rufie. - Policja, muszę natychmiast dostać się na drugi brzeg!

Z obojętną miną, jakby coś takiego zdarzało się codziennie, gondolier na dziobie odepchnął się od poręczy pomostu i łódź odbiła tyłem od nabrzeża. Drugi gondolier zaparł się o wiosło i łódź obróciła się we właściwym kierunku. Przestraszone staruszki, cudzoziemki, złapały się jedna drugiej, po czym usiadły na niskiej ławce.

- Możecie mnie zawieźć na koniec Calle Tiepolo? - spytał Brunetti.

- Naprawdę jest pan z policji?

Komisarz wyciągnął z kieszeni legitymację służbową.

- W porządku. Mała zmiana trasy - powiedział w weneckim dialekcie gondolier na rufie, zwracając się do pasażerek.

Były zbyt przerażone, żeby się odezwać.

Brunetti stał w gondoli, ślepy na wszystko, co działo się wokół, na mijane łodzie, nawet na światło dnia; docierało do niego jedynie, że płyną straszliwie wolno. Miał wrażenie, że dopiero po kilku godzinach dobili do pomostu na końcu Calle Tiepolo. Wcisnąwszy tysiąc lirów gondolierowi, wyskoczył z łodzi i ruszył szybko przed siebie.

Zdążył nieco odsapnąć, toteż odległość do domu pokonał biegiem, ale po schodach wspinał się już na miękkich nogach. Kiedy dotarł na trzecie piętro, usłyszał, że piętro wyżej otwierają się drzwi. Po chwili ujrzał stojącą w nich Paolę.

- Paola...

Nie pozwoliła mu dokończyć.

- Mam nadzieję, że ucieszy cię, co znalazła twoja mała pomocnica! - Twarz miała zaczerwienioną z gniewu. - Zobaczysz, w jaki świat ją wprowadzasz!

Cofnęła się do mieszkania i nie czekając na męża, ruszyła przed siebie korytarzem. Zawołał ją, ale go zignorowała; weszła do kuchni i zatrzasnęła drzwi. Brunetti zbliżył się do drzwi, za którymi znajdował się pokój Chiary. Cisza. Nie słyszał ani płaczu, ani żadnych dźwięków, które zdradzałyby obecność córki. Nic. Cofnął się i zastukał do drzwi kuchennych. Po chwili uchyliły się; w szparze ukazała się żona. Zmierzyła go wściekłym spojrzeniem.

- Powiedz, o co chodzi - poprosił. - Wyjaśnij mi.

Często widywał Paolę złą, ale jeszcze nigdy w takim stanie; dosłownie dygotała z gniewu. Odruchowo cofnął się o krok i starając się nie podnosić głosu, ponownie poprosił:

- Powiedz, o co chodzi.

Paola wessała powietrze przez zaciśnięte zęby. Na jej szyi wyraźnie rysowały się napięte ścięgna. Kiedy wreszcie się odezwała, mówiła głosem tak zduszonym, że ledwo było ją słyszeć.

- Kiedy po południu wróciła do domu, oznajmiła, że ma kasetę wideo, którą chce obejrzeć. Powiedziałam, że dobrze, byleby ściszyła dźwięk, bo muszę popracować. - Paola urwała i przez kilka sekund patrzyła bez słowa na męża. Brunetti milczał. Po chwili wzięła głęboki oddech i kontynuowała: - Mniej więcej po kwadransie zaczęła krzyczeć. Wypadła na korytarz i dostała hysterii. Sam słyszałeś. Usiłowałam ją objąć, uspokoić, ale nie przestawała wyć. Teraz jest u siebie.

- Ale co się stało?

- Obejrzała kasetę, którą przyniosła do domu.

- Od kogo ją dostała?

- Guido, przepraszam za to, co powiedziałam... - Paola wciąż oddychała ciężko, ale już znacznie bardziej miarowo.

- Nieważne. Od kogo ma tę kasetę?

- Od Franceski.

- Trevisan?

- Tak.

- Obejrzałaś ją?

Paola skinęła głową.

- Co przedstawia?

Nie była w stanie wydobyć z siebie słowa. Uniosła rękę i wskazała salon; zrozumiał, że ma nie pytać, tylko sam usiąść przed telewizorem.

- A co z Chiarą...?

- Przed kilkoma minutami pozwoliła mi wejść. Dałam jej aspirynę i poradziłam, żeby się położyła. Chce z tobą porozmawiać. Ale najpierw musisz obejrzeć kasety.

Brunetti skierował się do salonu, gdzie stał telewizor i magnetowid.

- Może powinnaś przy niej posiedzieć?

- Słusznie - przyznała Paola i ruszyła do pokoju córki.

Telewizor i magnetowid były włączone, kaseta siedziała w środku. Brunetti wcisnął guzik, żeby przewinąć taśmę do początku. Przesuwała się z cichym szelestem, jakby po trawie sunął wąż. Komisarz starał się o niczym nie myśleć, nie zastanawiać, nie próbować odgadnąć, co za chwilę zobaczy.

Usłyszawszy cichy trzask, oznaczający, że taśma się już przewinęła, wcisnął przycisk odtwarzania i usiadł na krześle. Na ekranie nie pojawił się ani tytuł, ani nazwiska aktorów; nie było też dźwięku. Po chwili migocząca szarość znikła, a jej miejsce zajął pokój z trzema krzesłami, stołem oraz dwoma usytuowanymi wysoko oknami. Wpadające przez okna światło dzienne uzupełniał blask lampy stojącej za osobą trzymającą kamerę. Obraz drgał - najwyraźniej film kręcono z ręki.

Rozległ się jakiś hałas - kamera ukazała otwierające się drzwi, przez które popychając się i śmiejąc, weszło trzech młodych mężczyzn. Ostatni odwrócił się i wciągnął do środka kobietę; za nią weszło do pokoju jeszcze trzech mężczyzn.

Pierwsi trzech mieli na oko niespełna dwadzieścia lat, dwóch było mniej więcej w wieku Brunettiego, ostatni liczył około trzydziestki. Wszyscy ubrani byli w koszule i spodnie o wojskowym kroju; nosili buty na grubych podeszwach, sznurowane nad kostką.

Kobieta, w ciemnej spódnicy i swetrze, wyglądała na trzydzieści kilka, może czterdzieści lat. Twarz miała nieumalowaną, a włosy w nieładzie, jakby rozleciał się jej kok albo jakby ktoś ściągnął jej z głowy chustkę. Trudno było określić kolor jej oczu; wydawały się ciemne z przerażenia.

Mężczyźni rozmawiali w obcym języku, którego Brunetti nie rozumiał. Nagle jeden ze starszych coś powiedział i trzech najmłodszy parsknęli śmiechem, kobieta zaś popatrzyła na niego zszokowana, jakby nie wierzyła - albo nie chciała uwierzyć - w jego słowa. Odruchowo skrzyżowała ręce na piersiach i opuściła głowę.

Przez dłuższą chwilę nikt się nie odzywał, nie ruszał, po czym nagle rozległ się głos, choć żadna z osób widocznych na ekranie nie otworzyła ust. Brunetti domyślił się, że to głos operatora. Prawdopodobnie wydał jakieś polecenie albo wypowiedział słowa zachęty. Kobieta uniosła gwałtownie głowę i spojrzała w stronę kamery, nie w sam obiektyw, tylko bardziej w

lewo, na osobę mówiącego. Ten powtórzył polecenie, tym razem ostrzejszym tonem, i mężczyźni wzięli się do dzieła.

Dwóch młodych podeszło do kobiety i złapało ją za ręce. Trzydziestolatek stanął przed nią i coś powiedział. Kiedy potrząsnęła głową, uderzył ją w twarz, nie otwartą dłonią, lecz pięścią. Następnie wyjął nóż i rozciął kobiecie sweter od góry do dołu. Zaczęła krzyczeć. Uderzył ją po raz drugi i ściągnął z niej sweter, obnażając ją do pasa. Kiedy znów usiłowała krzyknąć, oderwał od swetra rękaw i wepchnął jej do ust.

Powiedział coś do trzymających ją mężczyzn; ci położyli ją na stole. Na jego kolejny rozkaz dwaj starsi mężczyźni chwycili nogi kobiety i przycisnęli do stołu. Wówczas trzydziestolatek rozciął jej nożem spódnicę na całej długości. Następnie rozchylił poły takim gestem, jakby otwierał książkę.

Ponownie rozległ się głos operatora i mężczyzna z nożem przeszedł na drugą stronę stołu, tak by nie zasłaniać sobą widoku. Odłożywszy nóż, rozpiął spodnie, po czym wdrapał na stół i położył na kobiecie. Mężczyźni trzymający jej nogi musieli się trochę cofnąć, żeby ich nie kopnął, kiedy się poruszał. Po kilku minutach zsunął się z kobiety; jego miejsce zajął pierwszy z młodzieńców, potem kolejno pozostali dwaj.

Mężczyźni zachowywali się hałaśliwie, pokrzykiwali i śmiali się; operator cały czas ich zachęcał. Mimo to słychać było płacz i jęki kobiety.

Jeden ze starszych mężczyzn potrząsnął głową, kiedy nadeszła jego kolej, ale gdy koledzy zaczęli pohukiwać drwiąco, też wgramolił się na stół. Ostatni, najstarszy ze wszystkich, był taki chętny, że zepchnął z kobiety poprzednika, byleby się szybciej do niej dostać.

Dopiero kiedy cała szóstka skończyła, operator zrobił zbliżenie. Kamera przesuwiała się jakby pieszczotliwie po ciele kobiety, przystając wszędzie tam, gdzie widać było krew. Potem zatrzymała się na jej twarzy. Kobieta miała zamknięte oczy, ale na dźwięk głosu operatora, uniosła powieki. Kamera znajdowała się zaledwie kilkanaście centymetrów od jej twarzy. Kobieta krzyknęła i gwałtownie odwróciła głowę; Brunetti słyszał, jak uderza nią o blat, daremnie usiłując uciec przed kamerą.

Nastąpił powolny odjazd; na ekranie stopniowo ukazywało się coraz więcej ciała. Kiedy kamera wróciła na poprzednie miejsce, operator coś zawołał. Mężczyzna, który pierwszy wdrapał się na kobietę, podniósł nóż. Operator zaczął ponaglać. Mężczyzna - z taką obojętnością, jakby kroił kurczaka na kolację - przejechał ostrzem po gardle kobiety. Krew trysnęła na jego dłoń i ramię; najwyraźniej nie spodziewał się tego, bo odskoczył od stołu. Na widok jego zdziwionej miny pozostali gruchnęli śmiechem. Wciąż ryczeli, kiedy operator

wykonał kolejne zbliżenie. Tym razem nie musiał szukać krwawych plam; ciało kobiety było nimi wszędzie poznaczone. Po chwili ekran ściemniał.

Taśma dalej się przesuwała; ciszę zakłócał jedynie szmer obracających się szpul oraz cichy charkot. Brunetti wsłuchiwał się w niego zdezorientowany; dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że ten dziwny dźwięk wydobywa się z jego własnego gardła. Komisarz umilkł. Chciał wstać, ale nie był w stanie, bo dłonie miał tak mocno zaciśnięte na brzegu krzesła. Z najwyższym trudem zmusił się, żeby rozluźnić palce. Wreszcie mu się udało - oderwał ręce od krzesła i podniósł się.

Domyślał się, że język, którym posługiwali się mężczyźni, to serbsko-chorwacki. Kilka miesięcy temu widział w „Corriere della Sera” krótki artykuł o tego rodzaju filmach kręconych w śmiertelnych pułapkach, jakimi stały się bośniackie miasta, a następnie wywożonych za granicę, gdzie je powielano i sprzedawano. Nie dał wtedy wiary temu, co przeczytał; mimo iż ciągle stykał się ze zbrodnią, nie mógł, a raczej nie chciał przyjąć do wiadomości, że ludzie zdolni są do takich okropieństw. Teraz jednak, niczym święty Tomasz, włożył rękę do otwartej rany i nie miał wyjścia; po prostu musiał uwierzyć.

Wyłączył telewizor i magnetowid, po czym ruszył korytarzem do pokoju córki. Drzwi były otwarte, więc wszedł bez pukania. Chiara leżała na łóżku, wsparta o poduszki, jedną ręką obejmując siedzącą obok Paolę, drugą tuląc do siebie zniszczonego pluszowego psa o długich, wyświechtanych uszach, który był jej ulubioną zabawką, odkąd dostała go na szóste urodziny.

- *Ciao, Papa* - rzekła, spoglądając na ojca. Nie uśmiechnęła się.

- *Ciao, angelo*. - Stanął przy jej łóżku. - Nawet nie wiesz, jak bardzo żałuję, że to widziałas. - Chciał powiedzieć coś więcej, ale najzwyczajniej w świecie zabrakło mu słów.

Chiara spojrzała na ojca, żeby upewnić się, czy w jego słowach nie ma nagany. Nie było. Odczuwał tylko potworne wyrzuty sumienia, lecz ona była zbyt młoda, żeby zdać sobie z tego sprawę.

- Czy naprawdę ją zabili? - spytała, odbierając mu resztki nadziei; w skrytości ducha liczył na to, że może córka uciekła przed telewizora, nie obejrzawszy taśmy do końca.

Skinął głową.

- Tak. Niestety.

- Dlaczego? - Głos miała przepełniony zdumieniem i trwogą.

Zamyślił się. Pragnął znaleźć jakieś wzniosłe słowa, które przekonałyby Chiarę o tym, że choć widziała coś strasznego, to tak naprawdę tego typu makabryczne rzeczy zdarzają się rzadko, a ludzkość jest z gruntu dobra i szlachetna.

- Dlaczego, tatusiu? Dlaczego to zrobili?

- Nie wiem - odparł w końcu.

- Naprawdę ją zabili?

- Nie mówmy już o tym. - Paola przygarnęła córkę do siebie i schyliła się, żeby pocałować ją w głowę.

Ale Chiara nie dała za wygraną.

- Naprawdę, tatusiu?

- Tak.

- Ta kobieta naprawdę umarła?

- Naprawdę - potwierdził, choć Paola posłała mu błagalne spojrzenie, żeby milczał.

Dziewczyna położyła sobie na kolanach pluszowego psa i wbiła w niego wzrok.

- Kto ci dał tę kasetę, Chiaro? - spytał Brunetti.

Pociągnęła delikatnie psa za naddarte ucho.

- Francesca - rzekła po chwili. - Dziś rano, przed lekcjami.

- Co powiedziała?

Chiara obróciła psa, aby siedział prosto.

- Że wie, iż o nią wypytuje. Że pewnie to robię, bo jesteś gliną. I że jeśli interesuje mnie, dlaczego ktoś mógł zabić jej ojca, to powinnam obejrzeć kasetę. - Cały czas bawiła się pluszowym psiakiem, to go głaskała, to ciągała za uszy, to przechylała z boku na bok.

- Mówiła coś jeszcze?

- Nie, to wszystko.

- Nie wiesz, skąd miała kasetę?

- Nie. Powiedziała jedynie, że dowiem się z niej, dlaczego ktoś mógł chcieć zabić jej ojca. Ale co ojciec Franceski miał wspólnego z tą kasetą?

- Nie wiem.

Paola poderwała się tak gwałtownie, że Chiara puściła zabawkę; pluszowy piesek upadł na podłogę. Matka schyliła się po niego; przez chwilę stała, ściskając psiaka kurczowo w dłoni, po czym położyła go córce na kolanach, pogładziła ją czule po głowie i wyszła z pokoju.

- Kim są ci mężczyźni, tatusiu?

- Chyba Serbami, ale nie jestem pewien. Może to stwierdzić ktoś, kto zna ich język.

- Co z nimi będzie? Aresztujesz ich i pošlesz do więzienia?

- Nie wiem, kochanie. Niełatwo będzie ich znaleźć.

- Ale powinni trafić za kratki, prawda?

- Absolutnie.

- Jak myślisz, jaki związek miał z tym ojciec Franceski? - Nagle coś przyszło jej do głowy. - Chyba to nie on trzymał kamerę?

- Na pewno nie.

- Więc o co jej chodziło?

- Nie wiem, ale postaram się dowiedzieć. - Patrzył, jak córka usiłuje związać uszy psa.

- Chiaro?

- Tak? - Spojrzała na ojca ufnie, wierząc, że dzięki niemu wszystko znów będzie tak jak dawniej.

- Lepiej nie rozmawiaj więcej z Francescą.

- Już nikogo o nic nie pytać?

- Tak, bardzo cię o to proszę.

Przez chwilę milczała, dumając nad słowami ojca, po czym spytała cicho:

- Nie gniewasz się na mnie?

Brunetti kucnął przy łóżku.

- Nie, kochanie. Nie gniewam się. - Urwał, bojąc się, że głos mu się załamię. Potem wskazał psa. - Uważaj, żebyś nie oderwała Szczekusiowi uszu.

- Brzydki ten mój Szczekus, prawda? Kto to widział, żeby pies miał łyse uszy?

Brunetti potarł palcem nos zabawki.

- Na ogół właścicielki psów nie obgryzają uszu swoim ulubieńcom.

Chiara uśmiechnęła się i spuściła nogi na podłogę.

- Chyba odrobie lekcje - powiedziała wstając.

- Dobrze. A ja pójdę porozmawiać z mamą.

- Tatusiu! - zawołała, kiedy był już w drzwiach.

- Tak?

- Mama też się na mnie nie gniewa?

- Chiaro, jesteś naszą największą radością - odparł drżącym głosem, po czym opanowując wzruszenie, dodał szybko: - No dobrze, kochanie, siadaj do lekcji.

Dopiero gdy ujrzał uśmiech na twarzy córki, zamknął za sobą drzwi.

Paola stała w kuchni przy zlewie, odwirowując sałatę.

- Choćby walił się cały świat, obiad i tak trzeba zjeść - powiedziała, spoglądając na męża.

Brunetti odetchnął z ulgą.

- Z Chiara wszystko w porządku? - spytała po chwili.

Wzruszył ramionami.

- Postanowiła odrobić lekcje. Nie wiem, czy wszystko z nią w porządku. A ty jak myślisz? Znasz ją lepiej niż ja.

Paola cofnęła rękę od pokrętła wirówki i popatrzyła na męża zdumiona.

- Naprawdę tak sądzisz?

- Co?

- Że znam ją lepiej od ciebie.

- Przecież jesteś jej matką - rzekł Brunetti, jakby to było dostateczne wytłumaczenie.

- Och, Guido, jaki ty czasami bywasz ślepy! Gdybyś był jedną stroną monety, Chiara byłaby drugą.

O dziwo, słysząc te słowa, Brunetti poczuł się nagle bardzo zmęczony. Wsunąwszy krzesło, usiadł przy stole.

- Kto wie? Jest młoda. Może zapomni - powiedział.

- A ty? Zapomnisz? - spytała Paola, siadając naprzeciwko niego.

Potrząsnął głową.

- Szczegóły się pozacierają, ale tego, co widziałem, nigdy nie zapomnę.

- Jednego nie rozumiem... Kogo to podnieca? Przecież to obrzydliwe. Złe. - Na moment umilkła. - Po prostu złe. Kiedy odeszłam od telewizora, poczułam się tak, jakbym zajrzała do okna, z którego wyziera ludzkie zło w najczystszej postaci... Guido, jak oni mogli to zrobić? Jak można tak postąpić i wciąż uważać się za człowieka?

Brunetti nigdy nie umiał sobie radzić z czymś, co nazywał w myślach Wielkimi Pytaniami. Zamiast silić się na odpowiedź, spytał:

- A operator? Co sądzić o nim? A co o ludziach, którzy płacą za takie filmy?

- Płacą? - zdumiała się. - Naprawdę płacą?

Skinął głową.

- Jestem pewien, że ta kaseta została zrobiona na sprzedaż. Istnieje zapotrzebowanie na filmy, w których autentycznie giną ludzie. Przed paroma miesiącami czytałem o tym w gazecie, a wcześniej miałem w ręku raport Interpolu. Znaleziono kilka takich taśm w Ameryce. W studio filmowym, w którym je kopiowano.

- Ale kto je kręci? - spytała ze zgrozą Paola.

- Nie wiem. Na kasecie, którą widziałas, mężczyźni mają na sobie wojskowe mundury. I chyba mówią po serbsko-chorwacku.

- Boże, zmiłuj się nad nami - szepnęła. - Ta biedna kobieta... - Zakryła usta dłonią. - Guido...

Wstał.

- Muszę porozmawiać z matką Franceski - oznajmił.

- Myślisz, że coś wie?

Nie miał pojęcia, ale nie zamierzał dłużej tolerować jej ledwo skrywanej wzdrygi i udawanej niewinności. Podejrzewał, że skoro to Francesca dała taśmę Chiarze, o wiele lepiej od matki potrafiła odróżniać fakty od fikcji. Kiedy pomyślał, że dziewczyna oglądała kasetę, aż wzdrygnął się na myśl, że ma ją przesłuchać. Z drugiej strony, gdy przywołał w pamięci wyraz oczu zgwałconej kobiety patrzącej w wycelowany w siebie obiektyw, wiedział, że nie zawaha się przed niczym, aby wydobyć informacje z matki i córki.

Rozdział 26

Pani Trevisan otworzyła drzwi i cofnęła się przed Brunettim, jakby uderzyła ją bijąca od niego fala gniewu. Komisarz wszedł do środka i zatrzasnął drzwi tak głośno, że wdowa aż podskoczyła. Sprawilo mu to niemal przyjemność.

- Starczy, signora - powiedział. - Żadnych więcej wykretów, żadnych więcej kłamstw. Chcę wiedzieć wszystko, co pani wiadomo.

- Nie wiem, o czym pan mówi. - Usiłowała przybrać ton oburzenia, lecz zabrzmiało to sztucznie; mimo najlepszych chęci nie potrafiła ukryć strachu. - Już z panem rozmawiałam i...

- I kłamała pani, w kółko kłamała - rzekł gniewnie Brunetti. - Nie chcę słyszeć żadnych więcej kłamstw, bo pani i jej kochanek wylądujecie na komendzie, a policja finansowa weźmie pod lupę wasze transakcje bankowe z ostatnich dziesięciu lat.

Postąpił w stronę kobiety; cofnęła się, wyciągając dłoń, jakby chciała odeprzeć jego złość.

- Nie wiem, czy... - zaczęła, ale Brunetti uniósł rękę tak gwałtownym gestem, że przestraszył nawet siebie.

- Niech pani nie próbuje więcej kłamać, signora. Moja córka obejrzała kasetę z Bośni. - Podniósł głos, żeby nie mogła mu przerwać. - Ma dopiero czternaście lat, a widziała tę ohydę.

Wdowa cofała się korytarzem, a on uparczywie szedł za nią krok w krok.

- Powie mi pani wszystko, co wie, całą prawdę, bo inaczej będzie pani żałować do końca swoich dni.

Kiedy skierowała na niego wzrok, zobaczył w jej oczach równie wielki strach jak u kobiety na kasecie, ale nawet to nie zrobiło na nim wrażenia.

Za plecami wdowy otworzyły się nie bramy piekła, lecz drzwi, a w nich ukazała głowa jej córki.

- Co się stało, *mamma*? - zapytała Francesca.

Spojrzała na Brunettiego; poznała go, ale nic nie powiedziała.

- Wracaj, Francesco, do swojego pokoju - poleciła signora Trevisan; Brunettiego zdumiało opanowanie w jej głosie. - Pan komisarz chce mi zadać jeszcze kilka pytań.

- O tatę i *zio* Ubaldo? - spytała nastolatka, nie kryjąc zaciekawienia.

- Prosiłam, żebyś wróciła do swojego pokoju.

Francesca cofnęła głowę i zamknęła cicho drzwi.

- No dobrze - powiedziała signora Trevisan tym samym opanowanym tonem i skrzyła do pokoju, w którym poprzednio przyjmowała komisarza.

Zajęła miejsce w fotelu, jednakże Brunetti był zbyt roztrzęsiony, aby usiąść; aż do wyjścia to stał nad wdową, przestępując z nogi na nogę, to robił parę kroków w jedną lub w drugą stronę.

- Co chce pan wiedzieć?

- Wszystko o tych kasetach.

- Są kręcone w Bośni. Chyba w Sarajewie.

- Wiem.

- Więc co chce pan jeszcze wiedzieć? - spytała, niezbyt przekonująco udając zdumienie.

- Signora. - Pochylił się nad nią. - Ostrzegam, że zniszczę panią, jeśli nie powie mi pani wszystkiego. - Wyczytał w jej oczach, że wreszcie coś zaczyna do niej docierać. - Co pani wie o kasetach?

- No dobrze - rzekła tonem gospodyni, która chce ułagodzić kłótlivego gościa. - Są kręcone w Bośni, a następnie kopiowane we Francji i w Stanach. Kopie są sprzedawane.

- Gdzie?

- W sklepach. Albo wysyłane bezpośrednio do klientów. Istnieją listy adresowe.

- Kto je ma?

- Dystrybutorzy.

- To znaczy?

- Nie znam nazwisk. Taśmy matki wysyłane są do skrytek pocztowych w Marsylii i Los Angeles.

- Kto kręci filmy?

- Ktoś w Sarajewie. Chyba służy w serbskim wojsku, ale nie jestem pewna.

- Czy pani mąż go znał? Proszę mówić prawdę - dodał, widząc, że signora Trevisan zaczyna się wahać.

- Tak.

- A kto je zamawia? Na czyje polecenie się je produkuje?

- Nie wiem. Wiem tylko, że Carlo obejrzał gdzieś taki film. Potem wpadł na pomysł, żeby rozprowadzać kasety. Wcześniej rozprowadzał inne materiały...

- Jakie?

- Pisma.

- Jakie pisma?

- Pornograficzne.

- Signora, pisma pornograficzne można kupić w każdym kiosku w tym mieście. Co to była za pornografia?

- Dziecięca - szepnęła tak cicho, że gdyby się nie pochylił, toby jej nie usłyszał.

Nie odezwał się; czekał, co jeszcze powie.

- Carlo twierdził, że nie ma w tym nic nielegalnego...

Trwało chwilę, zanim zdał sobie sprawę, że ona mówi zupełnie poważnie.

- Skąd pani córka wzięła tę kasetę?

- Carlo trzymał nowe taśmy matki w swoim gabinecie. Lubił je oglądać przed wysłaniem dalej. Francesca pewnie podkrađła jedną - rzekła z nutą dezaprobaty wdowa. - Nigdy by do tego nie doszło, gdyby mąż żył.

Jeśli sądziła, że wzbudzi w Brunettim współczucie, strogo się pomyliła.

- Ile w sumie było kaset?

- Bo ja wiem? Kilkanaście. Może dwadzieścia.

- Wszystkie takie same?

- Nie bardzo rozumiem, co pan ma na myśli mówiąc „takie same”.

- Czy na wszystkich gwałci się i morduje kobiety?

Spojrzała na niego z niechęcią; ludzie dobrze wychowani nie poruszają tak ohydnych tematów.

- Zdaje mi się, że tak - odparła.

- Zdaje się pani, czy wie pani na pewno?

- Wiem.

- Kto jeszcze był w to zamieszany?

- Ja nie. Nie miałam z tym nic wspólnego.

- Oprócz pani męża i brata kto jeszcze się tym zajmował?

- Chyba ten księgowy w Padwie.

- Favero?

- Tak.

- Kto jeszcze?

- Jeśli chodzi o kasety, to o nikim już nie wiem.

- A jeśli chodzi o prostytutki?

- Pewna kobieta, nie znam jej nazwiska. Pomagała Carlowi załatwiać transport dziewcząt.

Brunetti zwrócił uwagę, że bez zająknięcia odpowiedziała na pytanie o prostytutkę, tym samym przyznając, iż wiedziała, że jej mąż handlował żywym towarem.

- Skąd?

- Z całego świata.

- Co to za jedna?

- Nie wiem. Niewiele o niej mówili.

- A co mówili?

- Nic.

- Co o niej mówili?

- Nie pamiętam. Zresztą Ubaldo tylko raz wspomniał o niej przy mnie.

- Co powiedział?

- Nazwał ją Słowianką. Nie wiem, co miał na myśli.

Ale Brunetti wiedział.

- Więc jest Słowianką czy nie? - zapytał.

Signora Trevisan spuściła wzrok.

- Chyba tak - odpowiedziała cicho.

- Kim jest? Gdzie mieszka?

Widział, że się zastanawia, że stara się odgadnąć, na ile prawda może jej zaszkodzić.

Odwrócił się gwałtownie i odszedł dwa kroki, po czym wrócił na miejsce.

- Gdzie mieszka? - powtórzył.

- Chyba tu.

- W Wenecji?

- Tak.

- Co pani jeszcze o niej wie?

- Że pracuje.

- Większość ludzi pracuje, signora. Czym konkretnie się zajmuje?

- Robi... robiła rezerwacje lotnicze dla Ubalda i Carla.

- Signora Ceroni?

- Chyba tak - odparła zdziwiona.

- Co jeszcze dla nich robiła?

- Nie wiem - oznajmiła wdowa, ale widząc, jak komisarz marszczy gniewnie czoło, dodała szybko: - Naprawdę nie wiem. Słyszałam tylko, jak parę razy rozmawiali z nią przez telefon.

- O biletach samolotowych? - spytał z przekąsem Brunetti.

- Nie, o innych sprawach. O dziewczynach. Pieniądżach.

- Zna ją pani?

- Nie, na oczy jej nie widziałam.

- A słyszała pani, żeby wymieniali jej nazwisko, rozmawiając o kasetach?

- Nigdy nie rozmawiali o kasetach. Czasem padały pojedyncze słowa, a ja się domyślałam, o co chodzi.

Uznał, że nie ma sensu marnować czasu i zarzucać jej kłamstwa, bo wiedział, jaką zaplanowała linię obrony - będzie twierdziła, że podejrzenia to nie to samo co pewność, a skoro nie była pewna, nie może czuć się odpowiedzialna. Budziła w nim tak wielki wstręt, że nie chciał przebywać z nią dłużej w jednym pomieszczeniu. Odwrócił się na pięcie i bez słowa opuścił pokój, zamykając za sobą drzwi. Nie czuł się też na siłach rozmawiać teraz z Francescą, więc po prostu wyszedł z mieszkania, zostawiając matkę i córkę, aby zaczęły sobie wspólnie budować wygodną przyszłość.

Mrok i chłód pomogły mu trochę ochłonać. Spojrzał na zegarek i zobaczył, że minęła dziewiąta. Zwykle o tej porze miał ochotę coś przekąsić, wypić, ale wściekłość sprawiła, że nie odczuwał ani głodu, ani pragnienia.

Nie pamiętał dokładnego adresu Reginy Ceroni, ale wiedział, że mieszka na San Vio, w pobliżu kościoła Santa Maria della Salute. Sprawdził adres w książce telefonicznej w najbliższym barze, po czym wsiadł do *vaporetto* linii numer jeden.

Dom, w którym mieszkała właścicielka biura podróży, znajdował się nie przy samym kościele, tylko po drugiej stronie biegnącego obok wąskiego kanału. Jej nazwisko widniało przy dzwonku. Minęło kilka chwil, zanim odezwała się przez domofon. Gdy Brunetti się przedstawił, wpuściła go, nie zadając dalszych pytań.

Nie zwrócił uwagi na hall, na schody, na to, jak go powitała ani jak zareagowała na jego widok. Wszedł do dużego salonu, którego jedną ścianę zajmowały regały z książkami. Pokój oświetlał łagodny blask lamp przemyślnie ukrytych pomiędzy belkami na suficie. Ale komisarza nie interesował ani wystrój wnętrza, ani uroda i elegancja gospodyni.

- Nie powiedziała mi pani, że znała Carla Trevisana - rzekł, kiedy usiedli naprzeciwko siebie.

- Wspomniałam, że był moim klientem.

Zmierzył ją wzrokiem; zobaczył beżową sukienkę, starannie uczesane włosy, srebrne klamry u butów.

- Signora... - zaczął, ze znużeniem potrząsając głową - ...nie mówię o tym, że był pani klientem, tylko że łączyły was interesy. Pani dla niego pracowała.

Kobieta uniosła brodę i rozchyliwszy lekko usta spojrzała w bok, jakby zastanawiała się nad powzięciem trudnej decyzji. Przemówiła dopiero po dłuższej chwili.

- Kiedy rozmawialiśmy ostatnim razem, powiedziałam panu, że nie chcę, aby policja zaczęła się mną interesować.

- Niestety nie udało się pani tego uniknąć.

- Na to wygląda - odparła bez uśmiechu.

- Co pani robiła dla Trevisana?

- Skoro wie pan, że pracowałam dla niego, chyba nie musi pan pytać.

- Proszę odpowiedzieć.

- Zbierałam dla niego pieniądze.

- Od kogo?

- Od różnych ludzi.

- Pieniądze zarobione przez prostytutki?

- Tak.

- Chyba pani wie, że czerpanie zysku z prostytucji jest zabronione?

- Oczywiście, wiem - oświadczyła gniewnie.

- A mimo to zbierała pani pieniądze pochodzące z nierządu?

- Przecież powiedziałam, że tak.

- Co jeszcze robiła pani dla Trevisana?

- Nie widzę powodu, żeby ułatwiać panu pracę, *commissario*.

- Czy miała pani coś wspólnego z kasetami?

Gdyby ją uderzył, reakcja byłaby nie mniej gwałtowna. Signora Ceroni poderwała się jak oparzona; dopiero po chwili zreflektowała się i usiadła z powrotem na miejsce. Wpatrując się w nią, Brunetti przygotowywał w myślach listę zadań: odnaleźć lekarza Reginy Ceroni i dowiedzieć się, czy kiedykolwiek przepisał jej roipnal; pokazać jej zdjęcie pasażerom pociągu, którym jechał Trevisan, może ktoś ją rozpozna; sprawdzić wyciągi rozmów telefonicznych prowadzonych z jej mieszkania i biura; przesłać jej nazwisko, zdjęcie i odciski palców do Interpolu; sprawdzić rachunki, które płaciła kartą kredytową, a nuż się okaże, że korzystała z agencji wynajmu samochodów i wbrew temu, co twierdziła, umie prowadzić auto. Tym wszystkim powinien był się zająć od razu wtedy, gdy uzyskał informację, do kogo należą okulary.

- Czy miała pani coś wspólnego z kasetami? - powtórzył.

- To pan o nich wie? - Po chwili uzmysłowiła sobie, że skoro pyta, to znaczy, że wie. - Jak się pan dowiedział?

- Moja córka obejrzała jedną. Kasetę dała jej córka Trevisana mówiąc, że to wyjaśnia, dlaczego ktoś mógł chcieć zabić jej ojca.

- Ile lat ma pańska córka?

- Czternaście.

- Tak mi przykro. - Signora Ceroni spuściła wzrok. - Naprawdę bardzo mi przykro.

- Wie pani, co jest na tych kasetach?

Skinęła głową.

- Tak.

- A mimo to pomagała pani Trevisanowi je sprzedawać? - Nie krył obrzydzenia.

- *Commissario*, nie chcę więcej o tym rozmawiać - oznajmiła wstając. - Jeśli chce mnie pan przesłuchać, proszę to zrobić w komendzie, w obecności mojego adwokata.

- Zabiła ich pani, prawda? - zapytał nagle.

- Przepraszam, ale nie wiem, o czym pan mówi. Proszę wyjść. - Ruszyła w stronę drzwi.

- To pani jest tą kobietą z pociągu, tą w futrzanej czapce, tak?

Słyszając te słowa, potknęła się, ale szybko odzyskała równowagę. Podeszła do drzwi i otworzyła je, już całkiem opanowana.

- Żegnam pana, *commissario*.

Kiedy na moment przystanął w progu, zmierzyła go chłodnym wzrokiem. Wyszedł bez słowa.

Po opuszczeniu budynku nawet nie spojrzał w jej okna. Przeszedł przez most i skręcił w najbliższą *calle*, po czym zatrzymał się, żalując - nie po raz pierwszy w życiu - że nie ma telefonu komórkowego. Przywołał w pamięci plan tej części Wenecji; aby dotrzeć na koniec ulicy, przy której mieszkała Regina Ceroni, i móc obserwować stamtąd drzwi jej domu, powinien dojść do następnej *calle*, skręcić w lewo, a potem znów w lewo.

Gdy znalazł się na miejscu, stanął przy murze i uzbroił w cierpliwość; czekał dwie godziny, zanim właścicielka biura podróży wreszcie wyszła. Rozejrzała się dookoła, ale ponieważ Brunetti stał w cieniu, nie dostrzegła go. Ruszył za nią, dziękując losowi, że włożył buty na gumowych podszwach, które tłumiliły odgłos kroków. Głośny stukot wysokich obcasów kobiety sprawiał, że łatwo było ją śledzić, nawet kiedy znikwała za rogiem.

Po kilku minutach komisarz uświadomił sobie, że signora Ceroni - choć trzyma się bocznych *calli*, zamiast po prostu wsiąść w *vaporetto* - zdąża albo w stronę dworca kolejowego, albo Piazzale Roma. Na Campo Santa Margherita skierowała się w lewo, w stronę Piazzale Roma i pętli autobusów łączących Wenecję ze stałym lądem.

Brunetti szedł za nią w takiej odległości, aby cały czas słyszeć jej kroki. O tej porze ulice były prawie puste, toteż stanowczy, miarowy stukot obcasów niósł się znakomicie.

Na *piazzale* zaskoczyła Brunettiego, bo wcale nie podeszła do stanowisk autobusów, tylko ruszyła w kierunku piętrowego parkingu. Znikła w środku. Komisarz zatrzymał się przy drzwiach. Na prawo od nich znajdowała się oszklona budka strażnika.

- Widział pan kobietę w szarym płaszczu, która tu przed chwilą weszła? - zapytał przez okienko siedzącego wewnątrz mężczyznę.

- A co pan za jeden, z policji? - Strażnik uniósł głowę znad rozłożonego pisma.

Brunetti bez słowa sięgnął po portfel, wyjął legitymację i rzucił tamtemu przed nos.

- Widział pan kobietę w szarym płaszczu, która tu weszła?

Strażnik oddał legitymację.

- Tak, to signora Ceroni.

- Gdzie trzyma samochód?

- Na czwartym poziomie. Zaraz powinna zjechać.

Nie mylił się, gdyż po chwili doleciał ich warkot pojazdu zjeżdżającego po kolistej rampie. Brunetti odsunął się od oszklonej budki, stanął na środku wyjazdu i wziął się pod boki.

Biały mercedes skręcił z rampy w stronę wyjazdu i szosy łączącej Wenecję ze stałym lądem. Światło reflektorów uderzyło komisarza w twarz, oślepiając go i zmuszając do zmrużenia oczu.

- Hej, co pan robi! - zawołał strażnik, wypadając z budki.

Ruszył pędem do Brunettiego, lecz w następnej chwili rozległ się ryk klaksonu, tak przeraźliwie głośny, że strażnik podskoczył wystraszony, po czym cofnął się, uderzając plecami we framugę drzwi. Przez moment stał oszołomiony, patrząc, jak mercedes pokonuje ostatnie dziesięć metrów dzielących go od człowieka blokującego drogę. Znow krzyknął, ale policjant nie zareagował. Wiedział, że powinien podbiec do gliniarza i zepchnąć go na bok, ale nie potrafił się zmusić do wykonania jakiegokolwiek ruchu.

Ciszę ponownie przeszył ryk klaksonu. Strażnik zamknął oczy; dopiero pisk opon sprawił, że je otworzył. Zobaczył, jak mercedes, ślizgając się po mokrej od oleju nawierzchni, uderza w peugeot zaparkowanego na siedemnastym stanowisku, odbija się i zatrzymuje dosłownie metr od policjanta, a ten otwiera drzwi od strony pasażera i wsiada. Po chwili samochód ruszył z piskiem opon i skręcił w lewo, a strażnik niebotycznie zdumiony zadzwonił na policję.

Rozdział 27

Przez moment, gdy mknęli ku światłom Mestre i Marghery, Brunetti wpatrywał się w profil Reginy Ceroni. Kobieta kompletnie go ignorowała, nie odrywając wzroku od szosy. Odwrócił więc głowę i popatrzył w prawo, w kierunku latarni morskiej w Murano, a potem jeszcze dalej, na migoczące w oddali światła Burano.

- Wyjątkowo dziś jasna noc - oznajmił. - Chyba widać Torcello.

Regina Ceroni dodała gazu; mercedes przyśpieszył. Jechali znacznie szybciej niż inne samochody.

- Wystarczy, że szarpnę kierownicą w prawo, a przelecimy przez balustradę i wpadniemy do wody - powiedziała.

- Istotnie.

Uniosła nieco stopę i mercedes zwolnił. Jakiś wóz przemknął lewym pasem.

- Kiedy pojawił się pan w moim biurze, wiedziałam, że jeszcze pan wróci. Powinnam była natychmiast uciekać.

- Dokąd?

- Do Szwajcarii, a stamtąd do Brazylii.

- Bo ma tam pani kontakty zawodowe?

- Nie bardzo mogłabym z nich korzystać.

- Słusznie, nie w tych okolicznościach. Więc dlaczego akurat do Brazylii?

- Bo mam tam pieniądze.

- A w Szwajcarii?

- Też. Każdy ma konto w Szwajcarii!

Brunetti, mimo że nie miał, rozumiał, o co Reginie Ceroni chodzi.

- Oczywiście - rzekł. - A nie mogłaby pani tam zostać? W Szwajcarii?

- Nie. Brazylia jest bezpieczniejsza.

- No tak. Teraz jednak nigdzie pani nie pojedzie.

Milczała.

- Może byśmy porozmawiali? Wiem, że nie jesteśmy na komendzie i nie ma pani przy sobie adwokata, ale zżera mnie ciekawość. Jak do tego doszło? Dlaczego ich pani zabiła?

- Pyta pan jako osoba prywatna czy jako policjant?

Brunetti westchnął.

- Obawiam się, że między osobą prywatną a policjantem już dawno się zatarła granica. Signora Ceroni przyjrzała mu się uważnie; zachęciły ją nie tyle słowa komisarza, ile właśnie to westchnienie.

- Co teraz będzie? - spytała.

- Z panią?

- Tak.

- To zależy... - Zamierzał powiedzieć, że zależy od motywów zbrodni. Ale kiedy pomyślał, że z zimną krwią zabiła trzech ludzi, uświadomił sobie, że motywy nie będą dla sądu istotne. - Nie wiem. Nic dobrego.

- Wszystko mi jedno - oświadczyła tak lekkim tonem, że aż go to zdziwiło.

- Dlaczego?

- Bo zasługiwali na śmierć, wszyscy trzech.

Już chciał zaprotestować, oznajmić, że nikt nie zasługuje na to, żeby umrzeć, zginąć w ten sposób, ale przypomniał sobie taśmę.

- Proszę mi o wszystkim opowiedzieć.

- Wie pan, że dla nich pracowałam?

- Tak.

- Nie tylko teraz. Również i dawniej. Całymi latami, od samego przyjazdu do Włoch.

- Dla Trevisana i Favera?

- Nie, ale dla takich jak oni, którzy potem odsprzedali interes Trevisanowi.

- Odkupił od nich kobiety? - Zdumiało go, że signora Ceroni mówi o transakcji tak, jakby chodziło o sprzedaż fabryki lub sklepu.

- Tak. Nie znam szczegółów, ale pewnego dnia tamci znikli, a ich miejsce zajął Trevisan. Został nowym szefem.

- A pani?

- Byłam, że tak powiem, pracownikiem średniego szczebla. - Z jej głosu przebijała ironia.

- Co to znaczy?

- To znaczy, że nie musiałam już sprzedawać swojego tyłka na ulicy. - Zerknęła na niego z ukosa, żeby sprawdzić, jakie te słowa wywarły na nim wrażenie.

- Długo się pani tym trudniła? - spytał obojętnie.

- Czym? Prostyucją?

- Tak.

- Przyjechałam tu jako prostytutka. - Na moment zamilkła. - Nie, to nieprawda. Przyjechałam jako zakochana po uszy dziewczyna, zakochana w swoim pierwszym mężczyźnie, Włochu, który obiecywał, że rzuci mi świat do stóp, jeśli tylko zostawię rodzinę i z nim wyjadę. Dałam się nabrać. Jak już panu mówiłam, pochodzę z Mostaru. A to znaczy, że ja i moja rodzina jesteśmy muzułmanami, choć nikt z nas nie był nigdy w meczecie, jeśli nie liczyć stryja, którego wszyscy mieli za szaleńca. Uczyły mnie zakonnice. Przez dwanaście lat chodziłam do katolickiej szkoły, bo rodzice uważali, że tam jest wyższy poziom.

Jechali nad kanałem łączącym Wenecję i Padwę, wzdłuż którego Palladio pobudował przepiękne rezydencje. Jedna z nich zamajaczyła w blasku księżyca, po drugiej stronie kanału. Domownicy chyba spali, bo wewnątrz było ciemno; tylko w oknie na piętrze paliło się światło.

- Moja historia jest dość typowa, więc nie będę nią pana zanudzać. Po prostu zakochałam się, przyjechałam do Włoch i w ciągu miesiąca znalazłam na ulicy. Bez paszportu, nie znając języka. Na szczęście miałam za sobą sześć lat łaciny u zakonnicy, toteż nauka włoskiego poszła mi stosunkowo łatwo. A ponieważ należę do osób ambitnych, robiłam wszystko, żeby odnieść sukces w nowych warunkach.

- To znaczy?

- Dobrze wykonywałam swoją pracę. Byłam czysta. Pomagałam facetowi, który nami kierował.

- Pomagał pani? Jak?

- Donosiłam na inne dziewczyny. Dwa razy uprzedziłam go, że kilka planuje uciec.

- Co się z nimi stało?

- Zbił je. Jednej chyba połamał palce. Ale nasi opiekunowie rzadko bili nas tak, żebyśmy nie mogły potem pracować. Nie chcieli tracić dochodów.

- Na czym jeszcze polegała pani pomoc?

- Przekazywałam nazwiska klientów podatnych na szantaż. Umiałam poznać, którzy się denerwują, i wdawałam się z nimi w rozmowę; prędzej czy później wszyscy zaczęli opowiadać o swoich żonach. Jeśli sprawa wyglądała obiecująco, zdobywałam ich nazwiska i adresy. Nie było to trudne. Mężczyźni są słabi i próżni.

- I co potem? - spytał Brunetti po chwili milczenia.

- Zdjęto mnie z ulicy. Szefowie uznali, że przydam im się bardziej jako personel średniego szczebla. Jako *manager*. - Ostatnie słowo wymówiła z bezbłędnym angielskim akcentem; rzeczywiście miała talent do języków.

- Co pani odtąd robiła?

- Rozmawiałam z nowymi dziewczynami, wyjaśniałam im obowiązujące zasady, radziłam, żeby się nie stawiały. Szybko nauczyłam się portugalskiego, co okazało się bardzo przydatne.

- Dużo pani zarabiała?

- W miarę jak awansowałam, coraz więcej. W ciągu dwóch lat odłożyłam tyle, by móc kupić biuro podróży.

- Wciąż pani dla nich pracuje?

- Jak raz się zacznie, to nie ma odwrotu. - Zatrzymała mercedesa na czerwonym świetle, ale nie spojrzała na Brunettiego. Siedziała z palcami zaciśniętymi na kierownicy, patrząc prosto przed siebie.

- Nie przeszkadzało pani, że zajmuje się czymś takim?

Wzruszyła ramionami. Akurat zmieniło się światło, więc wrzuciła bieg i auto ruszyło z miejsca.

- Interes kwitł. Dziewczyn przybywało z roku na rok, a właściwie z miesiąca na miesiąc. Przywoziliśmy je...

- Temu właśnie służyło biuro podróży? - przerwał jej Brunetti.

- Tak. Ale po pewnym czasie import przestał się opłacać. Mnóstwo dziewczyn przyjeżdżało na własną rękę. Głównie ze Wschodu i z Afryki Północnej. Wzięliśmy to pod uwagę i zmieniliśmy sposób działania. Odtąd zaczęliśmy zatrudniać dziewczyny, które były już na miejscu. To ogromnie zmniejszyło koszty. Wystarczyło im po prostu zabrać paszport. Jeśli go w ogóle miały. To zdumiewające, jak łatwo jest wjechać do Włoch i tu pozostać - dodała niemal z oburzeniem.

Po prawej znów pojawiła się wspaniała rezydencja, ale Brunetti ledwo na nią spojrzał.

- A kasety? - spytał.

- No tak, kasety. Słyszałam o nich, zanim jeszcze je obejrzałam. To znaczy, wiedziałam, że jakieś kasety przychodzą z Bośni, ale nie miałam zielonego pojęcia, co przedstawiają. Trevisan, Favero i Lotto byli ogromnie podnieceni, mówili o krociowych zyskach. Jedna czysta taśma kosztuje kilka tysięcy lirów, więc kopie - szczególnie w Stanach - są sprzedawane z dwudziesto-, a nawet trzydziestokrotnym przebicciem. Początkowo Trevisan i jego wspólnicy chyba tylko odsprzedawali oryginalne taśmy, każdą za kilka milionów lirów, ale potem postanowili sami zająć się dystrybucją, bo to przynosi największe dochody.

Któregoś dnia Trevisan spytał mnie o zdanie. Zdażył się zorientować, że mam głowę do interesów, i chciał zasięgnąć mojej rady. Powiedziałam, że muszę obejrzeć kasety, zanim

się wypowiem. Myślałam o nich jak o towarze, takim samym jak każdy inny, wymagającym tylko odpowiedniej strategii rynkowej.

Zerknęła na Brunettiego.

- Właśnie takimi pojęciami operowałam. Towar. Strategia rynkowa. - Westchnęła głęboko. - Trevisan porozumiał się ze współnikami. Zgodzili się pokazać mi kasety, ale musiałam obejrzeć je w ich obecności. Odkąd zrozumieli, jak cenny jest to towar, nie wypuszczali go z rąk.

Zamilkła; tak długo się nie odzywała, że sądził, iż nic więcej już nie powie.

- I co? Obejrzała pani?

- Tak. Trzy.

- Gdzie?

- W mieszkaniu Lotta. On jeden nie mieszkał z żoną, więc poszliśmy do niego.

- No i...?

- No i wtedy powzięłam decyzję.

- Jaką decyzję?

- Że ich zabiję.

- Wszystkich trzech?

- Oczywiście.

- Dlaczego?

- Bo te filmy sprawiały im przyjemność. Najgorszy był Favero. Przy drugiej taśmie tak się podniecił, że wyszedł z pokoju. Nie wiem, dokąd się udał, ale wrócił dopiero wtedy, gdy było po wszystkim.

- A pozostali dwaj?

- Też byli podnieceni. Jednakże oni już wcześniej widzieli kasety, więc potrafili lepiej nad sobą panować.

- Czy to były takie same kasety jak ta, którą widziałem?

- A na pańskiej zginęła kobieta?

Potwierdził.

- No to były takie same. Zwykle na każdej odbywa się zbiorowy gwałt, a potem morduje się ofiarę. - Głos Reginy Ceroni brzmiał równie beznamiętnie, jakby opisywała film instruktażowy dla stewardes.

- Ile w sumie było takich kaset?

- Nie wiem. Oprócz tych, które oglądałam, myślę, że co najmniej siedem. Te pierwsze sprzedali od razu. Dopiero te, które mi pokazali, zamierzali sami kopiować i rozprowadzać.

- Co im pani powiedziała?

- Że potrzebuję dnia albo dwóch do namysłu. I że znam kogoś w Brukseli, kto pewnie byłby zainteresowany rozprowadzaniem kopii w Belgii oraz Holandii. Ale już wtedy wiedziałam, że ich zabiję. Chciałam się tylko zastanowić, jak to najlepiej zrobić.

- Dlaczego?

- Co dlaczego? Dlaczego postanowiłam zabić, czy dlaczego nie zabiłam od razu?

- Dlaczego postanowiła pani zabić?

Samochód przed nimi zwolnił, żeby skrócić w lewo, więc lekko przyhamowała.

- Często o tym myślałam - rzekła, spoglądając na Brunettiego. - Chyba największą rolę odegrał fakt, że oglądanie tych filmów sprawiało im tak dużą przyjemność. Zupełnie się tego nie spodziewałam. Tamtego dnia w mieszkaniu Lotta zdałam sobie sprawę, że oni nie tylko nie widzą nic złego w oglądaniu takich filmów, ale również w zamawianiu ich.

- W zamawianiu? To znaczy, że filmy powstawały na ich zamówienie?

Popatrzyła przed siebie na ciemną szosę,

- *Commissario*, niech pan ruszy głową! Gdyby nie istniało zapotrzebowanie na tego rodzaju materiały, nikt by ich nie produkował. Trevisan i jego przyjaciele rozkręcili rynek, toteż musieli dbać o regularne dostawy towaru. Zanim jeszcze obejrzałam kasety i przekonałam się, co zawierają, słyszałam, jak Trevisan mówił do Lotta, że trzeba wysłać faks do Sarajewa i zamówić kolejne filmy. Rozmawiali tak, jakby chodziło o zamówienie skrzynki wina albo zlecenie maklerowi, żeby kupił lub sprzedał pakiet akcji. Dla nich był to interes jak każdy inny.

- A potem zobaczyła pani kasety...

- Tak. Potem zobaczyłam kasety.

- Czy nie pomyślała pani o tym, że postępuje źle, uciekając się do zbrodni?

- Właśnie staram się to panu wyjaśnić. Zabicie ich nie było złym uczynkiem. Powzięłam słuszną decyzję; od początku nie miałam co do tego żadnych wątpliwości. I jeśli chce pan wiedzieć, to tak, dziś zrobiłabym to samo.

- Dlatego że te kobiety były Bośniaczkami? Muzułmankami?

Prychnęła pogardliwie.

- Może mi pan wierzyć, że to, kim były, nie miało najmniejszego znaczenia. - Oderwała oczy od szosy i popatrzyła na swojego pasażera. - Wciąż mówi się i pisze o zbrodniach przeciwko ludzkości. Pełno jest na ten temat w gazetach, w przemówieniach polityków. Tyle że nikt w tej sprawie nic nie robi. Padają szlachetne słowa, a tymczasem kobiety nadal są gwałcone i mordowane; jeden łajdak to kręci, inni oglądają. - Mimo

wściekłości mówiła wolno, wręcz cedziła słowa. - Postanowiłam ich powstrzymać, ukrócić proceder. Nikt inny by tego nie zrobił.

- Mogła pani pójść na policję.

- I co? Kazać aresztować Trevisana, Lotta i Favera? Za co? Czy znalazłby się odpowiedni paragraf?

Brunetti nie wiedział, lecz wstyd było mu się przyznać.

- Znalazłby się?

- Nie wiem - odparł w końcu. - Ale mogła pani przynajmniej ujawnić ich proceder z prostytutkami. To by ich częściowo powstrzymało...

Roześmiała się głośno.

- Ale pan jest naiwny! Nie mam nic przeciwko zorganizowanej prostytucji. Sama świetnie zarabiałam na tym interesie. Dlaczego miałabym chcieć położyć mu kres?

- Z powodu tego, co panią kiedyś spotkało i co teraz spotyka inne dziewczyny.

- To samo spotkałoby je wszędzie - oznajmiła szybko, z irytacją, ale bez gniewu. - Gdyby nie wyjechały ze swoich krajów, też byłyby prostytutkami i ofiarami przemocy.

- Niektóre z nich giną!

- Co mam panu powiedzieć, *commissario*! Że chciałam pomścić śmierć wszystkich biednych prostytutek na świecie? Wcale nie chciałam. Usiłuję panu wyjaśnić, dlaczego postąpiłam tak, jak postąpiłam. Gdyby Trevisana i jego kumpli aresztowano, ich działalność wyszłaby na jaw. Wtedy ja też trafiłabym za kratki. I co dalej? Spędziliby kilka miesięcy w więzieniu, czekając na proces, a następnie skazano by ich na grzywnę. No, może na rok więzienia. Góra dwa. Uważa pan, że to byłaby dostateczna kara?

Brunetti czuł się zbyt zmęczony, żeby roztrząsać kwestie etyczne. Postanowił ograniczyć się do faktów.

- Jak pani zabiła Trevisana?

- Wiedziałam, że się umówił z Faverem na kolację, i wiedziałam, którym pociągiem zwykle wraca do Wenecji. Kupiłam bilet na ten sam pociąg. Na tym odcinku wagony zazwyczaj są puste...

- Rozpoznał panią?

- Nie wiem. Wszystko stało się bardzo szybko.

- Skąd miała pani broń?

- Od znajomego. - Widać było, że nie zamierza zdradzić jego nazwiska.

- A Favero?

- Kiedy podczas kolacji wyszedł do toalety, wsypałam mu do wina środek nasenny. Specjalnie prosiłam, żeby zamówił po posiłku *vin santo*. Wiedziałałam, że słodki smak zabije goryczkę.

- A potem?

- Miał mnie odwieźć na stację, ale zasnął po drodze, kiedy staliśmy na światłach. Przeciągnęłam go na miejsce pasażera, a sama usiadłam za kierownicą. Podjechałam pod jego dom, otworzyłam pilotem drzwi garażu, wjechałam do środka, po czym nie gasząc silnika, przeciągnęłam Favera z powrotem na miejsce kierowcy. Następnie wcisnęłam przycisk zamykający drzwi garażu i szybko wybiegłam.

- Lotto?

- Zadzwoił do mnie zdenerwowany i powiedział, że chce ze mną porozmawiać o tym, co się dzieje.

Brunetti patrzył na jej profil, który to pojawiał się, to znikał w blasku reflektorów pojazdów nadjeżdżających z naprzeciwka. Twarz kobiety była zupełnie spokojna.

- Zażyczyłam sobie, żebyśmy na wszelki wypadek spotkali się za miastem. Skłamałam, że mam do załatwienia kilka spraw na łądzie, i zaproponowałam Dolo. Zgodził się. Przyjechałam pierwsza i kiedy tylko podjechał, wsiadłam do jego wozu. Był przerażony. Uważał, że to jego siostra zabiła Trevisana i Favera; pytał, co o tym myślę. Bał się, że zamierza również zabić jego, aby wraz z kochankiem przejąć cały interes.

Zjechała na bok, żeby przepuścić jadący z tyłu samochód. Kiedy ich wyprzedził, zawróciła w kierunku Wenecji.

- Powiedziałam, że nie ma się czego obawiać ze strony siostry. Odetchnął z ulgą, a ja nacisnęłam na spust. Sama nie wiem, ile oddałam strzałów. Następnie wsiadłam do swojego wozu i wróciłam na Piazzale Roma.

- A broń?

- Wciąż jest w moim mieszkaniu. Nie chciałam się jej pozbywać, dopóki nie doprowadzę sprawy do końca.

- To znaczy?

Spojrzała mu w oczy.

- Dopóki nie rozprawię się z pozostałymi.

- Czyli z kim?

Potrząsnęła głową tak zdecydowanie, że wiedział, iż tej informacji nie zdoła z niej wydobyć.

- I co? Wydawało się pani, że policja nie wpadnie na jej trop?

- Nie wiem. Chyba o tym nie myślałam. Aż do chwili kiedy pan zajrzał do mnie do biura, a ja skłamałam, że nie prowadzę samochodu. Zaczęłam się później zastanawiać, jakie jeszcze popełniłam błędy. Po pierwsze, zostawiłam w restauracji okulary. Po drugie, ktoś mógł mnie widzieć w pociągu. Po trzecie, strażnik na parkingu wiedział, że tego dnia, kiedy zginął Lotto, brałam wóz... Kiedy dziś pana zobaczyłam, zrozumiałam, że to koniec. Sądziłam, że zdążę uciec... - Urwała, a po chwili dodała: - Właściwie nie tyle sądziłam, ile miałam nadzieję.

Po pewnym czasie minęli kolejną rezydencję Palladia, tę, którą Brunetti ujrzał jako pierwszą, gdy wyjeżdżali z Wenecji; teraz znajdowała się po tej samej stronie kanału co oni.

- Zdaje pan sobie sprawę, że mnie zabiją - powiedziała Regina Ceroni, przerywając ciszę.

Brunetti, który prawie zdążył zapaść w drzemkę w ciepłym wnętrzu łagodnie sunącego pojazdu, potrząsnął głową i wyprostował się.

- Słucham?

- Kiedy dowiedzą się, że zostałam aresztowana i że to ja zabiłam tamtych trzech, nie będą mieli wyboru. Będą musieli mnie zlikwidować.

- Nie rozumiem. Kto?

- Ci, którzy zajmują się kasetami i kierują prostytutką. Trevisan nie był jedyny. Nie chodzi mi o płotki na ulicy, o alfonsów, którzy pilnują dziewczyn i biorą od nich szmal. Mam na myśli ludzi, którzy kierują tym interesem. Którym podlega cały import-eksport. Import dziewczyn, eksport kaset. Nie znam oczywiście wszystkich nazwisk, ale kilka tak.

- Co to za ludzie? - spytał Brunetti, przekonany, że usłyszy nazwiska wąsatych południowców, członków mafii.

Wymieniła burmistrza miasta w Lombardii i prezesa wielkiej firmy farmaceutycznej. Kiedy Brunetti odwrócił się gwałtownie, zaskoczony informacją, kobieta uśmiechnęła się ponuro i dorzuciła nazwisko jednego z wiceministrów sprawiedliwości.

- To wielki międzynarodowy interes, *commissario*. Nie mówimy o paru podstarzałych rzeźmieszkach popijających w barze kiepskie wino i gadających o dziwkach. Ci ludzie mają własne jachty i samoloty, spotykają się w salach konferencyjnych, polecenia wydają przez telefony komórkowe albo wysyłając faksy. Mają władzę. Myśli pan, że inaczej zdołaliby usunąć zapiski lekarza, który robił sekcję Favera?

- Skąd pani o tym wie?

- Od Lotta. Nie chcieli, żeby policja prowadziła dochodzenie; za wiele mogłaby się dowiedzieć. Ja niestety też wiem za wiele. - Uśmiech znikł z jej twarzy. - Dlatego zginę.

- Zapewnimy pani w więzieniu ochronę - powiedział Brunetti i natychmiast zaczął obmyślać szczegóły.

- Tak jak Sidonie? - spytała sarkastycznie kobieta. - Strzegł go tłum strażników, kamery filmowały go dwadzieścia cztery godziny na dobę. A jednak ktoś zdołał wsypać mu truciznę do kawy. Myśli pan, że ja dłużej pożyję?

- Nic się pani nie stanie! - oznajmił z przekonaniem komisarz, po czym nagle uzmysłowił sobie, że właściwie nie ma powodu jej wierzyć. Owszem, zabiła trzech ludzi, lecz nic nie wskazywało na to, aby jej życie faktycznie było zagrożone. Zapewne fantazjowała.

Jakiś wewnętrzny radar pozwolił Reginie Ceroni wychwycić zmianę w jego nastroju, bo raptem zamilkła. Jechali przez mrok, nie odzywając się do siebie. Brunetti obserwował światła reflektorów odbijające się na powierzchni kanału.

Ocknął się, kiedy potrząsnęła go za ramię. Otworzył oczy i dostrzegł przed sobą mur. Instynktownie podniósł ręce, żeby osłonić twarz, i przycisnął brodę do klatki piersiowej. Ale nie usłyszał zgrzytu metalu, nie poczuł uderzenia; kolizja nie nastąpiła. Samochód stał z wyłączonym silnikiem.

- Wróciliśmy do Wenecji - powiedziała Regina Ceroni.

Odjął ręce od twarzy i rozejrzał się. Mur, którego się wystraszył, był ścianą wewnątrz piętrowego parkingu; po obu stronach mercedesa stały samochody.

Signora Ceroni odpięła pas.

- Pewnie zabierze mnie pan na komendę?

Tramwaj wodny linii numer jeden odpłynął na ich oczach, kiedy zbliżali się do *embarcadero*. Brunetti spojrział na zegarek; zdumiał się, że minęła trzecia nad ranem. Poczul wyrzuty sumienia, że nie zadzwonił ani do Paoli, ani do pracy, żeby dać znać, co się z nim dzieje. Regina Ceroni podeszła do tablicy z rozkładem jazdy. Zmrużyła oczy, ale niewiele to pomogło; w końcu wyjęła z torebki okulary.

- Następny będzie za czterdzieści minut.

- Chce pani iść pieszo? - spytał.

Było zbyt chłodno, żeby czekać tak długo na nie osłoniętym przystanku. Wprawdzie mógł zadzwonić na komendę, żeby przysłano motorówkę, uznał jednak, że szybciej dotrą na własnych nogach.

- Chętnie - odparła. - To będzie mój ostatni spacer po mieście.

Brunetti uznał, że kobieta dramatyzuje, ale nic nie powiedział. Skierował się w prawo wzdłuż nabrzeża. Kiedy doszli do najbliższego mostu, signora Ceroni poprosiła:

- Czy moglibyśmy pójść dalej? Tak żeby przejść mostem Rialto? Nigdy nie lubiłam Strada Nuova.

Brunetti skinął głową; nie miał nic przeciwko temu. Po jakimś czasie dotarli do mostu, który wyprowadził ich na Campo dei Tolentini, a stamtąd ruszyli wąskimi uliczkami w stronę Rialto. Regina Ceroni maszerowała w równym tempie, nie zwracając uwagi na mijane po drodze budynki. Brunetti czasem przyśpieszał kroku, po czym przystawał i czekał na nią przy najbliższym rogu lub moście. Wreszcie doszli do targu rybnego, a chwilę później do Rialto. Kobieta zatrzymała się i spojrzała w dół na Canale Grande; o tej porze nie było na nim ani jednej łodzi. Za mostem, na Campo San Bartolomeo, natknęli się na strażnika miejskiego z owczarkiem niemieckim na smyczy, ale minęli go bez słowa.

Zbliżała się czwarta, kiedy dotarli do gmachu komendy. Brunetti kilka razy uderzył pięścią w ciężkie oszklone drzwi, zanim w oknie po prawej zapaliło się światło. Zaspany dyżurny, przecierając oczy, wyjrzał przez szybę; na widok Brunettiego otworzył drzwi i zasalutował.

- *Buongiorno, commissario* - powiedział, zerkając na kobietę towarzyszącą przełożonemu.

Brunetti zapytał go, czy jakaś policjantka pełni służbę tej nocy, a kiedy usłyszał, że nie, polecił dyżurnemu, żeby zadzwonił do pierwszej na liście i kazał jej natychmiast się stawić. Na razie postanowił zaprowadzić Reginę Ceroni do swojego gabinetu. W budynku zakręcono na noc ogrzewanie, toteż od ścian wiało chłodem, a w powietrzu czuć było wilgoć. Kiedy weszli po schodach na górę, komisarz pchnął drzwi i przepuścił zatrzymaną przodem.

- Chciałabym skorzystać z toalety.

- Przykro mi. Nie może pani, dopóki nie zjawi się policjantka.

Signora Ceroni uśmiechnęła się.

- Boi się pan, że odbiorę sobie życie? Niech mi pan wierzy, zabiją mnie inni.

Wskazał jej krzesło, a sam stanął za biurkiem i zaczął przerzucać leżące na nim papiery. Nie zamienili słowa przez kwadrans, aż do pojawienia się funkcjonariuszki. Była to kobieta w średnim wieku, od wielu lat pracująca w policji. Kiedy tylko weszła do gabinetu, Brunetti spojrzał na Reginę Ceroni i spytał:

- Czy chce pani złożyć zeznania? Funkcjonariuszka Di Censo sporządzi protokół.

Regina Ceroni potrząsnęła głową.

- Może chce pani zadzwonić do swojego adwokata?

Ponownie potrząsnęła głową. Brunetti odczekał chwilę, po czym zwrócił się do policjantki.

- Proszę zaprowadzić panią Ceroni do celi numer cztery. Czwórka, zdaje się, jest ogrzewana. Jeśli zatrzymana zmieni zdanie, ma prawo porozumieć się z rodziną albo z adwokatem.

Signora Ceroni po raz trzeci potrząsnęła głową - nie zamierzała zmieniać zdania.

- Zatrzymana nie może się kontaktować z nikim innym, ani z komendy, ani spoza tego gmachu. Czy to jasne?

- Tak jest, panie komisarzu - potwierdziła funkcjonariuszka Di Censo. - Czy mam jej cały czas towarzyszyć?

- Tak, dopóki ktoś pani nie zmieni - oznajmił Brunetti, po czym zwrócił się do zatrzymanej: - Zobaczymy się rano, signora.

Skinęła bez słowa głową, wstała i wyszła za Di Censo z gabinetu komisarza. Przez chwilę Brunetti słuchał odgłosu ich oddalających się kroków; solidne obcasy funkcjonariuszki dudniły miarowo, a cienkie obcasy Reginy Ceroni stukotały lekko - tak samo jak przed kilkoma godzinami, kiedy szedł za nią do Piazzale Roma, gdzie ostatecznie wyzbył się wątpliwości, że to ona zamordowała Trevisana, Lotta i Favera.

Napisał krótki meldunek, w którym streścił rozmowę z zatrzymaną, na końcu wspominając o jej odmowie porozumienia się z adwokatem i złożenia oficjalnych zeznań. Wychodząc z budynku, wręczył meldunek dyżurnemu, z poleceniem, aby go oddał komendantowi Patcie albo porucznikowi Scarpie, zależnie od tego, który zjawi się pierwszy.

Dochodziła piąta, kiedy wreszcie wślizgnął się do łóżka obok żony. Paola drgnęła, obróciła się do niego i zarzuciwszy mu rękę na szyję, mruknęła coś niezrozumiałego. Zасыpiając, widział w pamięci nie twarz umierającej kobiety, lecz Chiare ściskającą pluszową zabawkę, Szczekusia. Całkiem sympatyczne imię dla psa, pomyślał i po chwili zapadł w sen.

Rozdział 28

Kiedy obudził się, Paoli już nie było; zostawiła jednak liścik, w którym napisała, że Chiara zachowywała się rano zupełnie normalnie i poszła do szkoły jak zwykle. Choć wiadomość sprawiła mu ulgę, cały czas nękał go dojmujący smutek - czternastoletnia dziewczynka nie powinna oglądać takich okropności jak te na kasecie. Wypił kawę i wziął długi prysznic, ale mimo to czuł się znużony i nie potrafił otrząsnąć się z przygnębienia. Kiedyś bez trudu odzyskiwał formę po nie przespanej nocy i nawet najgorsze zbrodnie nie miały wpływu na jego równowagę psychiczną; wytrwale, bez spoczynku parł naprzód w poszukiwaniu prawdy, a przynajmniej sprawiedliwości. To się jednak skończyło. Choć ścigał przestępców z jeszcze większą determinacją niż dawniej, miał świadomość, że jego możliwości fizyczne wyraźnie zmaląły.

Odsunął od siebie ponure myśli i wyszedł z mieszkania; rześkie powietrze i obecność ludzi na ulicach poprawiły mu nastrój. Przechodząc obok kiosku z gazetami, rzucił okiem na nagłówki, mimo iż wiedział, że jeszcze za wcześnie, aby pojawiła się jakakolwiek wzmianka o zatrzymaniu Reginy Ceroni.

W komendzie zjawił się przed jedenastą. Mundurowi funkcjonariusze salutowali na jego widok, inni podwładni i współpracownicy witali go skinieniami głowy. Trochę się zdziwił, że nikt mu nie gratuluje znalezienia i aresztowania morderczynie Trevisana, Favera i Lotta, lecz nie dał tego po sobie poznać.

Na biurku znalazł dwie krótkie notatki informujące go o tym, żeby natychmiast zgłosił się do Patty. Zszedł na dół.

- Jest u siebie?

- Tak - potwierdziła bez uśmiechu sekretarka. - W dodatku w złym humorze.

Miał ochotę spytać, czy kiedykolwiek widziała Pattę w dobrym humorze, ale ugryzł się w język.

- O co mu chodzi?

- O przeniesienie.

- O co? - Powód złości Patty niespecjalnie go obchodził, ale rozmowa z uroczą sekretarką była przyjemnym sposobem odwleczenia choćby o kilka minut spotkania z szefem.

- O przeniesienie - powtórzyła. - Przeniesienie tej kobiety, którą pan zatrzymał.

Zadzwoił telefon.

- Si? - powiedziała signorina Elettra, podnosząc słuchawkę. - Nie, nie mogę. - Rozłączyła się i spojrzała na Brunettiego.

- Co się stało? - zapytał. Serce waliło mu jak młotem; był pewien, że sekretarka to słyszy.

- Rano zadzwoniono z Ministerstwa Sprawiedliwości i powiedziano, że ma zostać przewieziona do Padwy.

Brunetti pochylił się i oparł obiema rękami o blat biurka.

- Kto odebrał telefon? - spytał.

- Nie wiem. Któryś z dyżurnych, przed moim przyjściem. Potem, około ósmej, pojawili się ludzie z wydziału specjalnego. Mieli nakaz.

- I zabrali ją?

- Tak. Do Padwy.

Pani Elettra patrzyła z przerażeniem, jak dłonie komisarza zaciskają się w pięści, pozostawiając osiem długich rys na lśniącej powierzchni blatu.

- O co chodzi, panie komisarzu?

- A dowieźli na miejsce?

- Nie wiem. - Spojrzała na zegarek. - Wyjechali ponad trzy godziny temu. Powinni już byli dotrzeć.

- Proszę zadzwonić i sprawdzić - powiedział chrapliwym głosem Brunetti.

Zamiast od razu wykonać polecenie, wbiła w niego oczy, zdumiona zmianą, jaka w nim nastąpiła.

- Proszę zadzwonić do Padwy. Do della Corte! - powtórzył głośniejszym głosem komisarz i zanim zdążyła zareagować, sam chwycił telefon i wystukał numer.

Della Corte podniósł słuchawkę po trzecim dzwonku.

- Tu Guido. Czy już ją dowieźli? - spytał Brunetti, nie wdając się w wyjaśnienia.

- Ciao, Guido. Czy kogo dowieźli? Nie wiem, o czym mówisz.

- Zatrzymałem wczoraj kobietę, która zabiła tych trzech.

- Przyznała się?

- Tak.

Della Corte zagwizdał z uznaniem.

- No, no. Nie wiedziałem. Ale o co chodzi? Gdzie ją aresztowałeś?

- Tu. W Wenecji. Ale dziś rano zjawili się po nią ludzie z wydziału specjalnego. Przysłał ich ktoś z Ministerstwa Sprawiedliwości. Powiedzieli, że zgodnie z procedurą musi być przewieziona do Padwy.

- Bzdura! - oburzył się della Corte. - Przecież dopóki zatrzymany nie zostanie oficjalnie oskarżony, powinien pozostawać w miejscu aresztowania. Każdy dureń to wie! - Zamilkł, a po chwili zapytał: - Chyba że zdążyliście ją oskarżyć?

- Nie. Nie było na to czasu.

- Postaram się czegoś dowiedzieć i zaraz oddzwonię. Jak się nazywa?

- Ceroni, Regina Ceroni.

Della Corte błyskawicznie się rozłączył.

- Co się stało? - spytała zaniepokojona sekretarka.

- Nie mam pojęcia - odparł Brunetti, po czym odwrócił się i zastukał do drzwi Patty.

- *Avanti.*

Komisarz wszedł do gabinetu szefa. Postanowił nic nie mówić, dopóki nie zorientuje się ze słów Patty, w jakim ten jest nastroju.

- O co chodzi z tym przeniesieniem zatrzymanej do Padwy? - spytał *vice-questore*.

- Nie wiem. Przyprowadziłem ją około czwartej rano. Przyznała się do zamordowania Trevisana, Favera i Lotta.

- Gdzie?

W pierwszej chwili Brunetti nie zrozumiał pytania.

- W swoim samochodzie - odpowiedział w końcu. - Przyznała się w swoim samochodzie.

- W samochodzie?

- Tak. Najpierw śledziłem ją do Piazzale Roma. Potem długo rozmawialiśmy w jej aucie, wreszcie przyprowadziłem ją tutaj. Wszystko mi powiedziała; jak ich zabiła i dlaczego.

Patty nie interesowały jednak ani motywy, ani metody.

- Podpisała zeznania? - spytał. - Zostały zaprotokołowane?

Brunetti potrząsnął głową.

- Spytałem, czy chce zadzwonić do adwokata, ale odmówiła. Spytałem, czy chce złożyć zeznania, ale też odmówiła, więc poleciłem, żeby ją umieszczono w celi. Funkcjonariuszka Di Censo odprowadziła ją do kobiecego skrzydła.

- Bez złożenia zeznań czy choćby oświadczenia?

- Pomyślałem, że zrobi to rano.

- Pomyślałeś, że zrobi to rano - powtórzył zgryźliwie *vice-questore*.

- Tak.

- Ale teraz już ich nie złoży, prawda? - Patta nawet nie próbował ukryć złości. - Zabrano ją do Padwy i...

- Dotarła na miejsce? - przerwał mu Brunetti.

Patta wywrócił oczy do nieba.

- Pozwól mi skończyć!

Brunetti szybko skinął głową.

- A więc dziś rano zabrano ją do Padwy. Zabrano, zanim łaskawie zdecydowałeś się przyjść do pracy i przesłuchać ją do protokołu, co zgodnie z procedurą powinieneś był zrobić w nocy, po przyprowadzeniu jej tutaj. A tak zabrano ją do Padwy. Wiesz, co to znaczy? - Patta umilkł i spojrzał wyczekująco na podwładnego.

- Sądzi pan, że jest w niebezpieczeństwie?!

Vice-questore, który spodziewał się, że komisarz wyrazi skruchę z powodu swojej rażącej niekompetencji, zamrugnął zaskoczony.

- W niebezpieczeństwie? Nie wiem, skąd przyszedł ci do głowy taki pomysł. Jedyne niebezpieczeństwo, jakie widzę, to że ta kobieta zabiła trzech mężczyzn, w tym dwóch wybitnych mieszkańców naszego miasta, a całą zasługę za jej schwytanie przypisze sobie Padwa!

- Więc jednak jest w Padwie? - spytał z nadzieją Brunetti.

- Nie mam pojęcia, gdzie jest, i szczerze mówiąc, w ogóle mnie to nie obchodzi. W chwili gdy zabrano ją spod naszej jurysdykcji, jej dalsze losy przestały mnie interesować. Możemy zamknąć dochodzenie w sprawie morderstwa mecenasa i jego szwagra, ale to jedyna korzyść, jaką z tego mamy. Cała chwała spłynie na Padwę! - *Vice-questore* aż dygotał z wściekłości. - Nie mam ci nic więcej do powiedzenia. Wracaj do swoich obowiązków. - Otworzył najbliższą teczkę leżącą na biurku i pochylił się nad nią.

Brunetti wrócił do swojego gabinetu; nie mogąc dłużej znieść niepewności, ponownie wykręcił numer Della Cortego. Nikt nie odebrał telefonu. Komisarz usiadł, wstał i podszedł do okna. Po chwili znów usiadł. Czas mijał. Wreszcie zadzwonił telefon.

- Guido, spodziewałeś się czegoś? - spytał ostrożnie Della Corte.

Brunetti poczuł, że dłoń, w której trzyma słuchawkę, jest śliska od potu. Przełożył słuchawkę do lewej ręki, a prawą wytarł o nogawkę spodni.

- Co się stało?

- Powiesiła się. Przywieźli ją przed godziną, zamknęli w sali przesłuchań, a sami poszli po magnetofon, żeby nagrać jej zeznania. Kiedy wrócili, nie żyła. Zrobiła sobie stryczek z rajstop i powiesiła się na kracie wentylacyjnej.

Brunetti milczał.

- Guido? Jesteś tam?

- Tak, jestem - rzekł ponuro komisarz. - Gdzie są ci z wydziału specjalnego?

- Wypełniają formularze. Powiedziała im w drodze, że zabiła Favera, Trevisana i Lotta.

- Dlaczego?

- Co dlaczego?

- Dlaczego ich zabiła? Jaki podała powód?

- Podobno w przeszłości miała z każdym z nich romans. Potem całymi latami ich szantażowała. Niedawno wszyscy trzej oznajmili, że nie zamierzają jej więcej płacić. Z wściekłości postanowiła ich zabić.

- Aha. Wszystkich trzech?

- Tak twierdzą ci z wydziału specjalnego.

- Ilu ich jest?

- Tych z wydziału specjalnego? - upewnił się Della Corte.

- Tak.

- Trzech.

- I wszyscy trzej twierdzą to samo? Że zabiła tamtych, bo nie dawali się dłużej szantażować?

- Tak.

- Rozmawiałeś z nimi?

- Nie. Opowiedział mi o wszystkim funkcjonariusz, który znalazł zwłoki.

- Ciekawe, kiedy zaczęli rozgłaszać, co im powiedziała. Przed jej śmiercią czy po?

- Nie wiem - przyznał Della Corte. - Czy to ważne?

Nie, to już nieważne, pomyślał Brunetti, bo trzej agenci wydziału specjalnego będą oczywiście obstawali przy swoim. Zdrada małżeńska, szantaż, zemsta - taka wersja wypadków brzmiała przekonująco. Nawet bardziej przekonująco i wiarygodnie niż jej własna opowieść o tym, jak powzięła decyzję zabicia trzech mężczyzn i zrealizowała ją z chłodną konsekwencją.

- Dzięki, przyjacielu - powiedział cicho komisarz i odłożył słuchawkę.

Przez długi czas siedział przy biurku, analizując wszystko po kolei i szukając czegoś, do czego mógłby się przyczepić, czegoś, co pozwoliłoby mu podważyć słowa agentów. Teraz, po śmierci Reginy Ceroni, jedynym namacalnym dowodem były wydruki z połączeniami telefonicznymi trzech zamordowanych. Ale o czym właściwie świadczyły? Że dzwonili do legalnie działających firm w różnych krajach i do jednego obskurnego baru w Mestre. To za mało, aby kontynuować dochodzenie. Mara dawno temu wróciła na ulicę, ale

pewnie przeniesiono ją do innego miasta. A Silvestri powie to, co mu każą dostawcy narkotyków. Albo policja znajdzie go gdzieś martwego, ofiarę przedawkowania. Brunetti wciąż miał kasetę, lecz powiązanie jej z Trevisanem wymagałoby złożenia zeznań przez Chiare, a nie zamierzał pozwolić, aby córka rozpamiętywała okropieństwa, które widziała. Bez względu na konsekwencje musiał jej tego oszczędzić.

Regina Ceroni uprzedzała go, ale nie wierzył. Wymieniła nawet nazwisko człowieka, który poleci ją zabić. A może w sprawę kaset zamieszany był ktoś jeszcze potężniejszy, też cieszący się powszechnym szacunkiem, kto niczym setnik w Biblii musiał tylko powiedzieć „Idź”, aby żołnierz natychmiast wypełnił jego rozkaz. Albo trzech żołnierze.

Brunetti wykręcił numer przyjaciela, pułkownika w Guardia di Finanza, i opowiedział mu pokrótce o działalności Trevisana, Favera i Lotta, podkreślając, że musieli jakoś ukryć ogromne pieniądze nagromadzone przez lata. Pułkownik obiecał, że jak tylko będzie miał czas i ludzi, postara się dokładnie sprawdzić finanse wdowy po adwokacie. Rozmowa z pułkownikiem nie przyniosła Brunettiemu ulgi. Wsparł łokcie na biurku, podparł dłońmi brodę i siedział tak przez dłuższy czas. Przyprowadził Reginę Ceroni do komendy przed świtem, a już o ósmej przybyli po nią agenci z wydziału specjalnego.

Wreszcie zmusił się, żeby wstać. Zszedł dwa piętra niżej, by odnaleźć Presidego, funkcjonariusza, który pełnił dyżur, kiedy komisarz przyprowadził zatrzymaną. Preside zakończył dyżur o ósmej, ale w dzienniku zanotował: „6.18. Dyżur przejmuje por. Scarpa. Przekazałem por. Scarpie meldunek kom. Brunettiiego”.

Brunetti wyszedł na korytarz i przystanął pod ścianą, żeby opanować drżenie. Po chwili skierował się w stronę drzwi wejściowych; chciał znaleźć się jak najdalej od komendy policji i tego, co przed chwilą odkrył. Schodząc po schodach, myślał o Reginie Ceroni i ich dziwnej nocnej podróży. Zdał sobie sprawę, że nigdy nie pojmie, dlaczego postąpiła tak, jak postąpiła. Może należało być kobietą, aby ją zrozumieć? Zapyta Paoli. Paola zazwyczaj rozumiała takie rzeczy. Na tę myśl poczuł się raźniej. Ruszył w kierunku domu.